

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1970

MODELE I PRAKTYKA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

BN 111111
JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1970

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Ewolucjonizm 1965 (wyczerpane)

Polityczne neurozy 1967

Gdy po maturze przyjechałem do Krakowa na uniwersytet zastałem mnóstwo ludzi z kresów. Może nie było ich tak wielu lecz wyróżniali się akcentem, sposobem bycia i całkowitym brakiem zrozumienia dla tradycji austriackiej, którą oddychał Kraków. Nie mogłem zrozumieć tragedii tych ludzi — bo przecież zakończenie dramatu, którego byli aktorami napisano i ogłoszono drukiem na wiele lat przed pierwszą wojną światową. Jako 18-letni chłopiec kojarzyłem ich dzieje z utratą Zadnieprza opisaną w sienkiewiczowskiej Trylogii. Jakiego innego losu mogli oczekiwać ci ludzie niż tego, który ich spotkał? Moi przodkowie za czasów Władysława Łokietka przenieśli się z Kujaw i osiedlili się w ziemi krakowskiej. Odczuwałem pewne zrozumiaste zadowolenie, że żadnemu z nich nie przyszło do głowy osiedlać się na kresach naznaczonych stygmatem klęski i utraty. Gdy hrabiny i hrabianki kresowe mówiły o swych majątkach na Ukrainie — słuchałem owych opowieści z tą samą pobłażliwością z jaką Anglicy wysłuchują dziś naszych zapewnień, że wrócimy do Wilna i Lwowa.

Kresy są peryferyjne i od stuleci poświęca się je w takich czy innych Jąłtach. Egzotyzm opowieści z owych pobrażnych kasztelanii polega na tym, że ludzie z głębi lądu są przekonani, że im nic podobnego przydarzyć się nie może.

Dziś sam jestem uchodźcą z pobrażnych kasztelanii, które odpadły od Zachodu. Kresy zaczynają się nie w Oszmiańskim powiecie jak za czasów mojej młodości lecz pod bramą brandenburską w Berlinie. Jednak właściwie nic się nie zmieniło. Kresy przybliżyły się lecz problematyka kresów i kresowców jest jak dawniej marginesowa i peryferyjna.

Czy istotnie mamy coś więcej do powiedzenia niż ludzie z bezpiecznych, centralnych kasztelanii?

... i wspaniałą i szlachetną osobą. Mój ojciec był wysoko za-
sekurowany w międzynarodowym towarzystwie asekuracyjnym w
Trieście. Ojciec mój stracił wszystko dwukrotnie — raz po upadku
Austrii, drugi raz po upadku Polski. Ja straciłem wszystko raz —
doszczętnie. Żaden zachodni ekonomista nie przekona mnie, że
istnieje na świecie pewna i twarda waluta. Nikt nie przekona mnie
również, że za pieniądze można kupić spokój i bezpieczeństwo.

Anglik, który widzi na swoim ekranie telewizyjnym dzieci-
szkielety w Białym, czy słyszy powtarzane cyfry wypadków samo-
chodowych — uważa, że to są nieszczęścia, które dotyczą „innych
ludzi” lecz nie jego. Przeciętny Anglik czy Francuz uważa za rzecz
mało prawdopodobną by on sam znaleźć się miał w grupie owych
„innych ludzi”, którzy giną w katastrofach lub umierają z głodu.

My jesteśmy owymi „innymi ludźmi” i dlatego tak trudno
zaaklimatyzować się nam wśród tych dla których „inność” to tylko
statystyki lub obrazek na telewizji.

Europa Wschodnia to są przysłowiowe quick sands — rucho-
me piaski. My to wiemy i nasi gospodarze to wiedzą. Lecz my
wiemy jeszcze coś więcej. Wiemy, że na ruchomych piaskach
mieszkają nie tylko „inni ludzie” lecz również Anglicy, Francuzi
i Niemcy. Cała Europa to są ruchome piaski.

Ludzie z pobrzeżnych kasztelanii słyszeli tylokrotnie galop
Historii, że siłą nawyku... nasłuchują. Naszym gospodarzom wy-
daje się to śmieszne. Tu bierze swe źródło historycyzm, który
nam wypominają. Jednak my wiemy, że historia nie dzieje się na
scenie tylko na widowni.

W prasie emigracyjnej stale oskarżamy Zachód, że oddaje się
złudzeniom. Nasi gospodarze oskarżają nas o „pobożne życzenia”.

Czy realne jest to, co jest słuszne — czy też realne jest tylko
to, co jest możliwe? My wiemy z naszych doświadczeń, że słuszne
nie stanie się nigdy realne jeżeli zwątpimy, że jest możliwe. Należy

być pewnym tylko jednej rzeczy — to jest słuszności swojej sprawy. Program maksymalny nigdy nie jest słuszny bo zawsze kogoś krzywdzi. Na naszych kresach popełniliśmy w przeszłości więcej krzywd — niż gdziekolwiek indziej.

Słuszność jest rzeczą znacznie trudniejszą niż realizm. Siłą można do czasu utrzymać krzywdę i jarzmo. Ale trwać i przetrwać można tylko w obronie słuszności. Dlatego jako pragmatyk sądzę, że ważniejszą jest rzeczą by nasza polityka była słuszna niż realna — bo realistami w ostatecznym obrachunku są ci, którzy potrafią trwać i przetrwać. Z tych przyczyn w rozważaniach, które złożyły się na niniejszą książkę — położyłem nacisk na problemy ustrojowe ponieważ słuszną politykę prowadzić można tylko w oparciu o ustrój społecznie sprawiedliwy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA



MODELE I PRAKTYKA

Przeciętny czytelnik gazet, który polityce nie poświęca więcej niż 30 minut dziennie — na ogół nie zdaje sobie sprawy, że prasa, nawet tzw. poważna, zajmuje się tylko jedną płaszczyzną polityki. Ową płaszczyzną są posunięcia i transakcje polityczne uprawiane z dnia na dzień przez wszystkie państwa. Oczywiście prasa odnotowuje również rozmaite wydarzenia jak strajki, demonstracje, rozruchy rasowe, negocjacje w przemyśle, obrady w parlamencie itp. Jednakże czytając wyłącznie prasę miliony ludzi dochodzą do fałszywego wniosku, że polityka jest w gruncie rzeczy *business'em*, który uprawiają wielkie przedsiębiorstwa określane mianem „państw”. Polityka jest *business'em*, który wymaga zdolnych administratorów i ekspertów lecz jest także czymś więcej. Z perspektywy historycznej widać jasno, że choć *business* odgrywał zawsze wielką rolę w polityce — sprężyna, która powoduje „tykanie” tej gigantycznej maszyny umieszczona jest na innej płaszczyźnie ludzkiej działalności.

Ludzie zajęci praktyczną stroną polityki a więc dyplomacją, administracją itp. po wielu latach pracy dochodzą do przekonania, że politykę — ową realną politykę robią oni i nikt poza nimi.

Wysokim urzędnikom w ministerstwie spraw zagranicznych w Londynie wydawałoby się szczytem komizmu gdyby im ktoś w owych czasach powiedział, że brodaty pan przesiadujący godzinami w British Museum może mieć coś wspólnego z realną polityką. Jednak brodaty pan imieniem Karol Marks wyrzucił świat do góry nogami — jeżeli wolno się tak wyrazić — natomiast po eleganckich panach z Foreign Office'u pozostały tylko w nielicznych wypadkach hebanowe laski z rączkami z kości słoniowej.

Gdybym dziś znalazł się jakimś cudem na przyjęciu dyplomatycznym i zapytał wysokiego urzędnika służby zagranicznej — czy

wie jaki model porządku światowego odpowiada poglądom Mao Tse — ów wysoki urzędnik spójrzyłby na mnie jak na pomyłkę — względnie teoretyka, co w opinii praktyków wychodzi na to samo. A jednak to jest bardzo ważne pytanie, ponieważ od pra-dawnych czasów polityka dotyczy w pierwszym rzędzie modelu porządku międzynarodowego.

Chiny nie są satelitą Moskwy i nie uznają ideologicznego prymatu Kremla ponieważ nie zgadzałoby się to z tradycyjną chińską koncepcją modelu świata.

Chiny przez długi okres czasu były upokorzone. Tablica z napisem: „Chińczykom i psom wstęp wzbroniony”, która zdobiła wejście do ogrodu jednego z zachodnich dygnitarzy — najplastyczniej reprezentuje owe czasy upadku i poniżenia. Tego rodzaju tablic było wiele i dziś przechowuje się je starannie w pekińskich muzeach ku pamiętce i przestrodze.

Młody Mao Tse w pismach Lenina szukał pocieszenia ponieważ Lenin obiecywał upadek kapitalistycznego imperializmu, który był głównym wrogiem i wyzyskiwaczem Chin.

Niniejszy szkic nie jest poświęcony Chinom. Chciałem tylko na chińskim przykładzie wykazać, że daleko łatwiej jest zmienić czy zreformować tzw. praktyczną politykę niż wyzwolić się z tradycyjnego modelu porządku rzeczy.

B. Schwarz w interesującej rozprawie pt. „The Maoist Image of World Order” (Columbia University Press) — zwrócił uwagę na fakt powszechnie znany i niedoceniany a mianowicie, że dwaj główni „święci” czerwonych Chin są barbarzyńcami. Mowa oczywiście o Marksie i Leninie.

Powstała dziwna sytuacja. Mao jest nacjonalistą. Dzieciństwo i młodość — a więc formatywny okres swego życia — spędził w czysto chińskim tradycyjnym otoczeniu. Czy można być nacjonalistą chińskim i odrzucać historyczny model Chin? W tym wypadku nie chodzi o cesarzy, systemy gospodarcze, rewolucje społeczne itp. Chodzi o rzecz znacznie bardziej istotną. Od tysiącleci Chiny produkowały i przekazywały mądrość. Cywilizacja i kultura chińska stanowiły najwyższe osiągnięcie ludzkie na ziemi i w konsekwencji wszyscy nie-Chińczycy byli z definicji barbarzyńcami, którzy w swoim własnym interesie winni uznawać prymat Pekinu. Chińczycy — (w interpretacji historycznego modelu) — nie prowadzili nigdy wojen zaborczych. Ilekroć podejmowali akcję zbrojną czynili to tylko w tym celu by uchronić barbarzyńców przed konsekwencjami ich własnej głupoty.

Ci sami Polacy, którzy gotowi są dyskutować poważnie model Polski super-mocarstwowej — po odrzuceniu Rosji za Dniepr — model historyczny Chin pokwitują wzgardliwym wzruszeniem ra-

mion. Podobnie wydawało się nam naiwną i niezdarną propagandą gdy Chruszczow w zgodzie z wielkorusyjskim modelem historycznym zapewniał prez. Eisenhowera, że jego wnuki będą komunistami.

Czarni sędziowie w wielu państwach afrykańskich noszą peruki na wzór sędziów brytyjskich — lecz byłoby śmieszne przypuszczać, że wraz z owymi perukami czarni dostojnicy wchłonęli setki lat demokratycznej kultury brytyjskiej.

W cywilizowanej i uzachodnionej Japonii do końca drugiej wojny światowej uczono dzieci w szkołach, że cesarz pochodzi w prostej linii od bogini słońca.

Modele historyczne należy traktować poważnie z dwóch przyczyn. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że i nasz model historyczny może innym wydawać się pretensjonalny a nawet śmieszny. Przed kilku tygodniami w artykule poważnego publicysty emigracyjnego natknąłem się na stwierdzenie, że „naród polski jest specjalnie uduchowiony”. Tego rodzaju modelowa teza u Anglika czy Francuza musi wywołać ironiczny uśmiech. I punkt drugi. Modele historyczno-tradycyjne trzeba studiować z całą powagą — ponieważ nawet wówczas kiedy wydają się nam pretensjonalne, a nawet absurdalne — wywierają bezpośredni wpływ na praktyczną politykę danego narodu.

Wróćmy jeszcze do przykładu z Mao Tse. Przywódca chiński znalazł się w paradoksalnej sytuacji. Z jednej strony był wyznawcą ideologii z pochodzenia barbarzyńskiej — z drugiej strony był gorącym patriotą i wielbicielem wszystkiego co chińskie. W historycznym modelu Chin nie ma miejsca na barbarzyńskich świętych i proroków.

Z tej sytuacji klasycznie chińskie wyjście było tylko jedno. I to wyjście obrał Mao Tse. Pekin jak przed stuleciami — ogłoszono za jedyne źródło prawdziwej mądrości. Marksizm-leninizm tylko w wydaniu chińskim jest prawdziwy — wszystko inne jest rewizjonizmem i herezją. W ten sposób barbarzyńska ideologia stała się chińską ideologią i stanowi część mądrości odwiecznych, historycznych Chin.

Model historyczny wpływa zawsze na praktyczną politykę choć nie zawsze w pożądanym kierunku. Wielu autorów — m.in. polska dziennikarka Helena Heinsdorf — zwróciło uwagę na fakt, że Izraelczycy często nie rozumieją Arabów i nie mogą z nimi znaleźć wspólnego języka. Wydaje mi się, że Izraelczyków i Arabów dzielą dwa całkowicie różne modele historyczne. Izraelczyk może sobie powiedzieć, że stoi za nim poczet gigantów od Mojżesza po Einsteina i że wkład Izraelczyków do religii, kultury, nauki

i sztuki jest tak wielki, że poniekąd potwierdza modelową tezę o „narodzie wybranym”.

Arabowie mieli swoje wielkie dni — mieli wybitnych matematyków, wydali Mahometa — lecz to wszystko działo się bardzo dawno. Dziś mają miliony analfabetów, wielką dumę i olbrzymie nierówności społeczne. Arabowie mówią, że są od stuleci na Środkowym Wschodzie i w Afryce i że Izraelczycy, nawet urodzeni w Izraelu, mogliby się wielu rzeczy od nich nauczyć. Izrael jest państwem o zachodniej kulturze — opanował mistrzowsko nowoczesną technologię i naukę — i fakt, że Żydzi i Arabowie są Semitami raczej utrudnia niż ułatwia porozumienie. W sumie odnosi się wrażenie, że Izraelczycy traktują Arabów tak jak przez wieki Polacy traktowali Białorusinów i Ukraińców, którzy, podobnie jak Polacy, są Słowianami. Ukraiński *szabes-goj* to znaczy Ukrainiec współpracujący z Polakami i lojalny w stosunku do państwa polskiego, był nieźle traktowany a w każdym razie tolerowany. Natomiast nacjonalista ukraiński szedł do więzienia.

Czy model historyczny stanowi nadbudowę, której nigdy nie można zmienić? Znaczny procent Brytyjczyków opowiada się za przystąpieniem Anglii do „wspólnego rynku”. Przewodniczący Komisji Zarządzającej w Brukseli p. F. Malfatti oświadczył korespondentowi *Newsweek* (12. VIII. 1970), że „wspólny rynek” obejmować będzie 10 państw, po przystąpieniu do wspólnoty Wielkiej Brytanii, Irlandii, Danii i Norwegii. Wówczas waluta, polityka zagraniczna, ekonomie itp. — będą wspólne i jednolite dla całego obszaru. Malfatti domaga się również by w stałym zarządzie EWG decyzje zapadały większością głosów, zamiast, jak dotąd, jednomyślnie.

Gdyby projekt EWG został kiedyś doprowadzony do swego logicznego i prawnego kształtu (traktat rzymski) — wówczas „dumny Albion” zamieniłby się w jedno z hrabstw czy departamentów Europy Zachodniej. Nie można również wykluczyć, że za kilka czy kilkanaście lat — Włochy będą rządzone przez komunistów. Czy Brytyjczycy są gotowi przyjmować decyzje pobierane w Brukseli większością głosów, być może obcych komunistów?

Osobiście w to nie wierzę. W mojej opinii EWG jest sukcesem właśnie dlatego, że nie doprowadzono do jego ostatecznego kształtu — to znaczy nie zastąpiono historycznej Europy Zachodniej sztucznymi „Stanami Europy Zachodniej”.

Z czysto gospodarczego punktu widzenia być może opłacałoby się zburzyć Wawel i zbudować na tym miejscu kolonię nowoczesnych bloków mieszkaniowych. Sytuacja mieszkaniowa w Krako-

wie uległaby pewnej poprawie. Jednak nie ma Polaka — komunisty czy nie-komunisty, który odważyłby się podjąć taką decyzję.

Jedną z tez niniejszego szkicu jest pogląd, że polityka nie może być a-historyczna. Należy historię własnego kraju studiować i krytykować bezlitośnie — zdając sobie jednak zawsze sprawę, że istnieją pewne granice historyczności, których przekroczyć nie można. Odrzucenie owych imponderabiliów oznaczałoby bowiem utratę narodowej identyczności.

Chiny mogą być komunistyczne, rewolucyjne, antycesarские — lecz jeżeli pozostać mają historycznymi Chinami nie mogą być politycznie czy ideologicznie zależne od Kremla.

Europa Zachodnia może mieć EWG, NATO i setki innych organizacji — nie może jednak przekształcić się w „Stany Zjednoczone”, ponieważ utraciłaby swoją historyczną identyczność. Powoływanie się na przykład Ameryki jest nonsensem, ponieważ w okresie kiedy w walce i w wojnie powstawały Stany Zjednoczone — Ameryka nie miała za sobą żadnej historii. Aby stworzyć nowy naród, nie obciążony historycznymi modelami, trzeba odkryć nowy kontynent.

Systemy międzynarodowe stanowią zawsze projekcję modelu historycznego. W zrozumieniu chińskim powstaną z czasem na gruzach kolonializmu i kapitalizmu nowe rewolucyjne państwa, które uważać będą Pekin za swą ideologiczną władzę zwierzchnią. To jest prastary chiński system lenniczy w rewolucyjnej wersji.

W Rosji model historyczny również wziął górę nad socjalizmem. Związek Sowiecki jako państwo i ustrój jest niepomniernie bardziej zbliżony do samodzierżawia niż do socjalizmu. Wystarczy porównać Sowiety z Szwecją.

Dziś nie potrzeba powoływać się na „mistyczne źródła imperializmu rosyjskiego” — ponieważ w owe mistyczne buty imperializmu wskoczył marksizm-leninizm. W Rosji rewolucja stała się pokorną służką wielkorosyjskiego, reakcyjnego modelu historycznego. To nie rewolucja zmieniła Rosję tylko Rosja zmieniła rewolucję. Na pytanie dlaczego po 50-ciu latach komunizm w Rosji nie upadł — należy odpowiedzieć, że komunizm w Sowietach już dawno upadł na kolana przed ikoną historycznego, wielkorosyjskiego modelu.

Ludzie, którzy mówią, że Rosja się nie zmieni bo imponderabilia z istoty rzeczy nie podlegają ewolucji ani rewolucji — pragną *de facto* powiedzieć, że demokratyczna i anty-imperialistyczna Rosja przestałaby być Rosją.

Gdzie leżą owe historycznie nieprzekraczalne granice, których Rosja nie może się wyrzec dopóki ma być autentyczną Rosją? Oczywiście nie mówimy o granicach w sensie terytorium, tylko

o granicach historycznego modelu, które określają zakres ewentualnych przemian. Któż zaręczy czy gdyby jutro wybuchła w Rosji rewolucja nie skończyłaby się tak jak wszystkie poprzednie? Któż zaręczy czy rosyjski Dubczek po paru miesiącach nie uległby siłom reakcji i wielkorosyjskiego nacjonalizmu?

Narody zwycięskie niemal nigdy nie zmieniają swoich modeli historycznych. Matką „wielkiej przemiany” bywa zwykle klęska. Model historyczny militarystycznej Rzeszy Niemieckiej zbankrutował i jego restauracja wydaje się mało prawdopodobna. Czy to oznacza, że w Rosji Sowieckiej nie nastąpią radykalne przemiany dopóki Sowiety nie poniosą poważniejszej klęski?

Model historyczny upada nie tyle na skutek klęski ile na skutek kompromitacji. Klęska musiałaby przekonać większość Rosjan, że model autokratycznej i imperialistycznej Rosji w jakimkolwiek wydaniu jest anachronizmem i dlatego nie funkcjonuje sprawnie. W chwili próby uciskane narody w Związku Sowieckim podniosłyby głowę — w krajach satelickich wybuchłyby przewroty i powstania — innymi słowy, Rosjanie przekonaliby się, że w ramach ich modelu wróg wewnętrzny jest groźniejszy od wroga zewnętrznego. Rosjanie, którzy stanowią dziś mniej niż 50 % ludności Związku Sowieckiego — muszą zrozumieć, że bezpieczeństwo zapewnia nie tylko armia lecz w pierwszej linii ustrój, cieszący się poparciem większości obywateli, oraz system sojuszków zawartych na zasadzie równości a nie satelictwa. Niewątpliwie długotrwały, nękający konflikt militarny dopomógłby Rosjanom w zrozumieniu powyższej lekcji. Lecz klęska spełnia tylko wówczas pozytywną rolę gdy powoduje przełom w psychice narodu. Niemcy i Japończycy nauczyli się bardzo wiele ze swoich klęsk i dzięki temu zdołali przekształcić je w zdumiewający sukces.

Mamy w tej chwili trzy systemy międzynarodowe: sowiecki, chiński i zachodni. W przeciwieństwie do doktryny Breżniewa Mao Tse głosi, że uchwały jakiejkolwiek partii komunistycznej są obowiązujące tylko w kraju przez nią rządzonym.

System zachodni opiera się na niezależnych państwach narodowych. Sowiety stosują w praktyce zarówno swój system jak i system zachodni. Wskutek tego małą Belgię Moskwa traktuje zupełnie inaczej niż wielką Ukrainę czy Polskę.

Na całym świecie obserwujemy z każdym rokiem przybierający na sile wybuch nacjonalizmu. Narody domagają się wszędzie równouprawnienia. Jeżeli proces „fermentacji społecznej” odbywa się jawnie — jeżeli istnieje wolna prasa i instytucje demokratyczne — „kocioł” rzadko grozi wybuchem ponieważ różnoraki dynamizm społeczny znajduje różnorakie ujścia. Z tej przyczyny Stanom

który zagadza Rosję drogę do postępu wydającej się sowiecką.
Dwa największe państwa w Europie Wschodniej to jest Rosja i Polska są rzekomo rewolucyjne i postępowe lecz w gruncie rzeczy uwięzione w swojej przeszłości. Odwieczna Rosja... odwieczna Polska... — węzeł gordyjski tych samych problemów, tych samych nienawiści, tych samych nierozwiązywalnych zagadnień.

Europa Wschodnia z Rosją włącznie jest muzeum modeli historycznych. Owe modele spowodowały, że mimo rewolucji, wojen, kataklizmów — właściwie nic się nie zmieniło. W Rosji jak dawniej — jak zawsze — rządzą autokraci w oparciu o aparat ucisku, przemocy i cenzury. Historia Rosji okazała się mocniejsza od Marksa.

Zdaję sobie sprawę, że opinia, którą chciałbym zakończyć ten szkic wyda się wielu moim Czytelnikom kontrowersyjna a może nawet odrażająca. Niemniej przedkładam ją pod rozwagę.

Był czas, że Kościół palił ludzi na stosie i torturował w kazamatach inkwizycji. Wielkie czystki i procesy czarownic to nie jest wynalazek sowiecki. Wielu ludziom, którzy żyli w tej epoce ciemności — wydawać się musiało, że chrześcijaństwo przekształciło się w swoją własną szyderczą karykaturę. Lecz kościół nigdy nie przestał głosić Ewangelii, nigdy nie przestał głosić przykazań miłości i przebaczenia, nawet wówczas, gdy praktyka kościoła odbiegała od posłania Ewangelii.

Chrześcijaństwo nie upadło, lecz przeciwnie zbliża się ku odrodzeniu poprzez nowoczesne głębokie reformy. Ewangelia okazała się — w ramach chrześcijańskich kościołów silniejszą od ułomności ludzkich.

Sowiety są karykaturą — często szyderczą karykaturą, państwa socjalistycznego. Niemniej jednak w Sowietach od pół wieku głosi się socjalizm — często w skażonej formie — lecz w książkach

z roku 1984.

Sowiety winne były wyprodukować również własną, reakcyjną ideologię, która pokrywałaby się z rzeczywistością łagrów i łochów Łubianki. Wszystkie pisma Marksa i innych klasyków socjalizmu winny być w Sowietach od dawna zakazane, ponieważ pisma te wydatniej niż propaganda zachodnia podkopują system sowiecki.

Jestem przekonany, że tysiące ludzi w Rosji są prawdziwymi socjalistami, którzy lepiej niż inni zdają sobie sprawę, że Rosja... nie ma gdzie pójść. Wielopartyjna demokracja na wzór zachodni nie ma w Rosji ani tradycji ani korzeni. Właściwie Rosja miała zawsze do wyboru: albo samodzierżawie albo rewolucja — albo wielkorosyjski ucisk i autokratyzm albo socjalizm. Osobiście nie wątpię, że socjalizm w Rosji zwycięży.

WARIANT SYTUACYJNY PIERWSZY

Gdy byłem małym chłopcem — podobnie jak moi rówieśnicy — interesowałem się znaczkami pocztowymi. W owych czasach poczta austriacka wydała piękny, podłużny znaczek z profilowym portretem trzech starszych panów i cesarzy: Franciszka Józefa i Wilhelma oraz Sułtana tureckiego. W owej epoce sułtan turecki był równy w swym dostojństwie dziekanowi monarchów europejskich Franciszkowi Józefowi — nie mówiąc o cesarzu Wilhelmie, który był najpotężniejszym władcą na kontynencie. Dziś nie ma śladu z sułtana, który był „spokrewniony z ciałami niebieskimi” — i można czytać prasę światową miesiącami i nie spotkać słowa „Turcja”. Imperia jak Turcja, Austria a nawet w pewnym stopniu Anglia — przemieniły się w „Szwecję” — z tym, że nie we wszystkich nowych Szwecjach panuje taki ład jak w Szwecji autentycznej.

Czy Polska również mogłaby się przekształcić w Szwecję?

Historycy przeanalizowali przyczyny, które spowodowały upadek imperiów europejskich. Nasi historycy nie robią nic innego od stu lat tylko analizują przyczyny upadku Polski imperialnej. Jasienica uważa na przykład, że zawiniła nie tyle szlachta ile magnateria. To jest teza, która nie wydaje mi się przekonująca. Magnaci w owych czasach byli wszędzie i wszędzie zachowali się bardzo podobnie.

Wydaje mi się, że szereg przyczyn, które spowodowały upadek Pierwszej Rzeczypospolitej — można zredukować do dwóch punktów: uwiadu myśli politycznej oraz zmiany sytuacji geo-politycznej. Taką zmianę w sytuacji geo-politycznej przyniósł wzrost potęgi Rosji. To zagrożenie wymagało wybitnej myśli politycznej ze strony Polski — i tej myśli brakło.

Trzeba było kreować wielkiego hetmana Kozaków i Ukrainie

dać całkowitą autonomię. Trzeba było kreować hetmana tatarskiego — z buławą, z buńczukiem o statusie równym wszystkim innym hetmanom. Gdyby polscy Tatarzy traktowani byli jak żołnierze z otwartą drogą do szlachectwa — kto chciałby służyć Chanowi, który traktował ich jak niewolników? Lecz dla Kozaka czy Tatara istniała tylko jedna droga do nobilitacji a mianowicie całkowita polonizacja. Naszym ideałem i pomnikiem polityki narodowościowej był pan Longinus Podbięta, który wprowadzić był urodzonym Litwinem, lecz nie umiał słowa po litewsku. Przez politykę narodowościową nie rozumieliśmy nigdy *partnership'u* tylko zawsze wynarodowienie.

Gdyby Polska niepodległa z okresu dwudziestolecia — przyznała była Małopolsce Wschodniej szeroką i autentyczną autonomię — gdyby język ukraiński był językiem urzędowym na równi z językiem polskim — gdybyśmy byli ufundowali we Lwowie ukraiński uniwersytet — wówczas Ukraińcy musieliby dojść do wniosku, że za partnerów traktują ich Polacy a nie Rosjanie. Wówczas byłiby lojalni w stosunku do Polski ponieważ traktowano by ich za równorzędnych partnerów w wielonarodowej Rzeczpospolitej.

Gdy byłem małym chłopcem śpiewałem w szkole: „obok Orła znak Pogoni — poszli nasi w bój bez broni...”. Dziś nie ma Pogoni obok Orła polskiego i Litwini nie życzą sobie unii z Polską. Ukraińcy doczekali się wolnego uniwersytetu w Monachium lecz nie w polskim Lwowie.

Jesteśmy zawsze pierwsi do krytykowania narodowościowej polityki rosyjskiej, lecz nasza polityka narodowościowa pozostawała niezmiennie wiele do życzenia. W rezultacie tak jak Polacy głoszą hasło „ani z Rosją ani z Niemcami” — tak Ukraińcy, Litwini i Białorusini głoszą hasło „ani z Rosją ani z Polską”.

Przedmiotem tych rozważań nie są zagadnienia narodowościowe. Pragnąłem tylko wykazać, że ponieważ sami nie umieliśmy prowadzić polityki partnerstwa w stosunku do innych narodów — nie wierzymy by ten typ polityki był możliwy z Rosją, która jest wielokrotnie potężniejsza od naszych ex-kandydatów na partnerów.

Oczywiście przyczyną upadku Pierwszej i Drugiej Rzeczpospolitej były nie tylko nasze błędy lecz również konfiguracja geo-polityczna. Nasi sąsiedzi tzn. Rosja i Niemcy z każdą dekadą przerastają nas coraz bardziej liczebnością i potencjami przemysłowymi. Kilkakrotnie w moich artykułach przytaczałem cyfry ilustrujące ową dysproporcję, która rośnie w postępie geometrycznym na naszą niekorzyść. Na pierwszy rzut oka wydawać by się

mogło, że tkwi w tej sytuacji jakiś dziejowy fatalizm, przed którym nie ma ucieczki.

Termin „geopolityka” zawiera w sobie dwa pojęcia: geografii i polityki. Warunki geograficzne nie ulegają większym zmianom — natomiast czym jest w istocie dany obszar geograficzny o tym decyduje koniunktura polityczna. W jednym okresie dany obszar geograficzny może stanowić kwitnące mocarstwo — w następnym okresie ten sam obszar może ulec „bałkanizacji”. Będziemy zawsze w sensie geograficznym sąsiadowali z Rosją i z Niemcami — lecz to nie oznacza, że to sąsiedztwo będzie zawsze miało ten sam wyraz polityczny jak w ubiegłych dwustu latach.

Nim podejmiemy dalsze rozważania — chciałbym pewną sprawę wyjaśnić. Zamierzam przedstawić Czytelnikom model sytuacji, który w wielu punktach odbiega od tego co pisałem do tej pory. Liczni krytycy komunistyczni trudnią się zawodowo wykrywaniem sprzeczności w moich pracach. Cytatami z Biblii, z Marksa czy z Lenina — można — jak wiadomo — udowodnić absolutnie wszystko. Podobnie jest z autorami mniejszego kalibru, jak piszący te słowa. Mój sąd o Niemczech w ostatnich latach uległ pewnym zmianom. To nie oznacza, że popadam w sprzeczność z tym co pisałem o Niemczech 15 lat temu. Oznacza to tylko, że sytuacja w Niemczech uległa ewolucji i wskutek tego musi być dziś inaczej interpretowana.

Odrębny gatunek publicystyki stanowią artykuły spekulatywne. W oparciu o zaobserwowane *trend'y* w sytuacji międzynarodowej — publicysta stara się zbudować model układu ku któremu zmierzamy. Model spekulatywny jest tylko wariantem sytuacji, wariantem jednym z wielu możliwych i nie należy traktować go inaczej. Z drugiej strony warto podkreślić, że nie ma polityki bez spekulacji. Trzeba być przygotowanym na wszystkie ewentualności jeżeli nie chce się być martwym pionkiem, przesuwanym z miejsca na miejsce.

Szkic niniejszy jest spekulacją. Niemniej muszę podkreślić, że obserwując uważnie scenę międzynarodową — z każdym miesiącem skłaniam się ku pogładowi, że wariant, który zamierzam przedstawić jest więcej niż prawdopodobny. Gdybym myślał inaczej, nie pisałbym tego.

Wydaje mi się, że historyczny układ, który powodował uwięzienie nas pomiędzy Rosją a Niemcami dobiega kresu. Wydaje mi się również, że tradycyjna polityka rosyjska będzie musiała ulec rewizji — ponieważ Rosji nie zagraża dziś nic ze strony Zachodu, tylko ze Wschodu.

Na Niemcy patrzymy historycznie a nie realistycznie. Niemiec, których my się boimy — po prostu nie ma. Francja tak się wy-

krwawiła po pierwszej wojnie światowej, że w pierwszym okresie drugiej wojny światowej — ku zdumieniu świata — poniosła błyskawiczną klęskę. Niemcy w obrębie jednego pokolenia przegrali dwie wojny, a w drugiej wojnie światowej ponieśli totalną klęskę. Reakcje w narodzie niemieckim muszą być daleko głębsze niż reakcje jakie dokonały się w narodzie francuskim po roku 1918. Nie brak argumentów do poparcia tej tezy. Sądzę, że gdyby traktatem Wersalskim podzielono Niemcy, gdyby odebrano im równie znaczne obszary jak po drugiej wojnie światowej, gdyby w roku 1918 i później zagrodzono im drogę do zbrojeń — równie wydajnie jak uczyniono to z bronią atomową po roku 1945 — wówczas Hitler objąłby władzę w Niemczech nie w roku 1933 lecz w roku 1923.

Po drugiej wojnie światowej Niemcy zostały okupowane, poćwiatowane, upokorzone — lecz w trzydzieści lat, które upłynęły od wybuchu wojny — Niemcy wyprodukowały tylko operetkowego „Hitlera”, który nie zdobył nawet jednego miejsca w federalnym parlamencie. Niewątpliwie reakcje Niemiec po pierwszej wojnie światowej i reakcje Niemiec po drugiej wojnie światowej są zdumiewająco różne. Młodzież jest w większości antymilitarystyczna a rewizjonistyczny mit „IV Reich'u” zamiera wraz ze starszym pokoleniem.

Wszystko to może się zmienić lecz w niniejszym wariantcie sytuacyjnym przyjmujemy założenie, że Niemcy nie będą już nigdy mocarstwem światowym ani potęgą militarną w skali europejskiej. To zresztą dotyczy nie tylko Niemiec. Anglia czy Francja nie mają również żadnej szansy przekształcenia się w mocarstwa światowe. Epoka mocarstw europejskich należy do przeszłości. Rosja jest w znacznej mierze mocarstwem azjatyckim.

Los Polski i Europy Wschodniej był funkcją stosunków obu naszych potężnych sąsiadów. Z chwilą gdy zmienia się pozycja tak Niemiec jak i Rosji — zmienia się również układ sytuacyjny, który dominował w naszym rejonie Europy niemal od dwustu lat.

Na czym polega zmiana pozycji Rosji i Niemiec? Niemcy — jak zaznaczyłem powyżej — przestały być tym czym były tzn. najpotężniejszym militarnym mocarstwem na kontynencie Europy. Rosja natomiast „zyskała” od wschodu potężnego, wrogiego sąsiada, który zmienił azjatycki *balance of power*.

Akceptujemy pogląd Joan Robinson'a i wielu innych znawców przedmiotu, że Chiny przed upływem bieżącego stulecia będą wielkim sukcesem tak w sensie gospodarczym jak i militarnym.

Podkreślałem na tych łamach, że Rosja nie ma polityki w stosunku do potężnych Chin. Potężne Chiny stanowią całkowicie nowy element w rosyjskiej polityce dalekowschodniej. Tradycyjna

polityka rosyjska opierała się na przesłance, że Chiny są wielokrotnie słabsze od Rosji i nie mogą stanowić dla niej zagrożenia. Nic więc dziwnego, że w opinii wielu wybitnych sowietologów — problem Chin stanowi obecnie centralne zagadnienie polityki sowieckiej.

Jak więc widzimy sytuacja naszych zaborczych sąsiadów ulega głębokim przemianom — co wcześniej lub później musi spowodować zmianę układu w Europie Wschodniej.

Prof. Toynbee obliczył, że na przestrzeni ubiegłych wieków ataki inwazyjne przeciwko Rosji szły dwudziestokrotnie z Zachodu. W ramach modelu, który prezentujemy Czytelnikowi — przyjmujemy, że dwudziestej pierwszej inwazji Rosji od strony Zachodu nigdy nie będzie. Daleko łatwiej wyobrazić jest sobie czołgi sowieckie nad kanałem angielskim niż czołgi NATO pod Leningradem. Rosji od strony Zachodu nic nie zagraża.

Jeżeli Chiny — jak zakładamy — będą potężnieć z dekady na dekadę — Rosja będzie musiała szukać sojuszników nie przeciwko Niemcom, ale przeciwko nuklearnie uzbrojonym Chinom. Lecz co innego było mobilizować opinię, Polaków, Czechów czy Węgrów przeciwko Niemcom, a co innego jest szukać sojuszników w Europie Wschodniej przeciwko Chinom. Nie trudno sobie wyobrazić nastroje żołnierzy ukraińskich na dalekim wschodzie. Co Ukraińiec ma do szukania pod chińskim murem? Wiadomo również, że Ukraińcy są bardzo rozgoryczeni faktem, że znaczna część ich dochodu narodowego inwestowana jest na Syberii.

Wyobraźmy sobie, że jutro wybucha wojna rosyjsko-chińska i zapytajmy jakie byłyby reakcje Polaków — największego narodu satelickiego? Warszawiacy mówiliby po cichu, że Chińczycy biją kacapów. Polacy cieszyliby się z każdej przegranej Sowietów. Jako naród nie mamy żadnego szczególnego sentymentu do Chińczyków — odczuwamy jednak szczególną i niemal powszechną nienawiść do Rosjan.

Narody Związku Sowieckiego reagowałyby podobnie. Dlaczego naród ukraiński miałby się wykrwawiać w długotrwałej wojnie z Chinami? Co Ukraińców obchodzi Chińczycy, z którymi nigdy nie mieli żadnego zatargu?

W miarę upływu czasu — w omawianej sytuacji — pomiędzy Polakami a Ukraińcami tzn. pomiędzy dwoma największymi narodami słowiańskimi (wyjawszy Rosjan) — zaczęłoby się zarysowywać nieoficjalne, niepartyjne lecz faktyczne porozumienie i zrozumienie. Jest oczywiste, że w razie wojny czy poważniejszego kryzysu Rosja nie mogłaby dopuścić do jakiegokolwiek zbliżenia polsko-ukraińskiego ponieważ tego typu *entente* obejmowałaby przeszło 75 milionów ludzi.

Ukraińcy związani są z Rosjanami wiekami wspólnej historii. Z tych przyczyn wyraziłem na tych łamach pogląd, że gdyby Rosja uległa „europeizacji” — gdyby przekształciła się w federację niezależnych narodów — Ukraińcy, być może, woleliby pozostać w orbicie rosyjskiej niż szukać zbliżenia z Polską.

Długotrwała wojna z Chinami mogłaby zmienić powyższą sytuację. Polska wydać by się mogła Ukraińcom daleko bardziej naturalnym i bardziej atrakcyjnym sojusznikiem niż Rosja.

Polacy, podobnie jak Ukraińcy, nie mają najmniejszego powodu czy narodowego interesu wykrwawiać się w Chinach w wojnie, która może trwać latami. Pewien procent tak Ukraińców jak i Polaków jest za porozumieniem z Rosją. Jeżeli jednak zwycięstwo Rosji nad Chinami miałyby oznaczać wzmocnienie totalnej władzy na Kremlu i jeszcze większe uzależnienie jak uprzednio Polski i Ukrainy od Moskwy — w takim wypadku należałoby stwierdzić, że zwycięstwo Rosji w Chinach nie leży w interesie ani Ukraińców ani Polaków. Pragniemy porozumienia z Rosją, lecz nie z Rosją, która jest więzieniem narodów i zandarem Europy.

W sytuacji jaką rozważamy — w Moskwie zdawano by sobie sprawę, że owego sowieckiego więzienia narodów nie rozbiją Tatarzy czy Kirgizi lecz rozbić je mogą Ukraińcy i Polacy. Ruchy wolnościowe na większą skalę w Polsce i na Ukrainie w chwili gdy Rosja byłaby zaangażowana w Chinach — mogłyby uruchomić łańcuchową reakcję trudną do opanowania. Z tej przyczyny jednym z naczelných postulatów polityki sowieckiej — byłoby poróżnić Polaków i Ukraińców w myśl wypróbowanej zasady *divide et impera*.

Rosja mogłaby to zrobić łatwo i tanio. Wystarczyłoby Polakom oddać Lwów, by przekreślić wszelkie szanse porozumienia polsko-ukraińskiego. Ukazałby się komunikat oficjalny, że delegacje partyjno-rządowe polska i radziecka po zbadaniu problemu doszły do przekonania, że Lwów Polakom zabrał Stalin w okresie „błędów i wypaczeń”.

Polacy przekształciliby tę okazję w drugie Zaolzie. Wmaszerowaliby do Lwowa z rozwiniętymi sztandarami, a w prasie byłoby pełno artykułów na temat powrotu na odwieczne polskie ziemie itp., itd.

Na Ukrainie doszłoby prawdopodobnie do rozruchów, które zostałyby krwawo zgniecione. Ukraińcy byłiby w kleszczach. Po jednej stronie mieliby wrogo nastrojonych Polaków, a po drugiej stronie wrogo nastrojonych Rosjan. Moskwa osiągnęłaby swój ważny cel a mianowicie unicestwienie w zarodku potencjalnych nawet możliwości porozumienia polsko-ukraińskiego.

Odebranie Polakom Lwowa było politycznym błędem z punktu widzenia sowieckiego, ponieważ polski Lwów dzieliłby owe pobratymcze narody — co leży w interesie Moskwy w każdych warunkach, a nie tylko w okresie wstrząsów i kryzysów. Stalin zabrał nam Lwów w układzie rozbiorowym, kiedy zarówno on jak i Hitler nie liczyli się z odbudową Państwa Polskiego. Dlatego nie zdziwiłbym się gdyby Rosjanie w chwili znacznie mniej dramatycznego kryzysu niż wojna z Chinami — zdecydowali się oddać nam Lwów, by wskrziesić nienawiść pomiędzy Polakami a Ukraińcami. Jeżeli problem narodowościowy w Sowietach ulegałby dalszemu zaostreniu — leżałoby w interesie Moskwy „kupić” sobie Polaków, a przede wszystkim poróżnić ich z Ukraińcami.

Tak oto w momencie korzystnej dla nas koniunktury, kiedy Sowiety uwikłane byłyby w kryzysie wewnętrznym a może i w wojnie — cała nasza przeszłość historyczna obróciłaby się przeciwko nam i uniemożliwiła Polsce wykorzystanie dziejowej szansy.

Uszeregujmy powtórnie przesłanki wariantu sytuacyjnego który omawiamy. Długofalowy proces historyczny wydaje się sprzyjać naszemu nadziejom, ponieważ pozycja zarówno Rosji jak i Niemiec ulega zmianie. Niemcy przestały być mocarstwem militarnym, Rosja natomiast znalazła się w cieniu rosnącej potęgi Chin.

Polska nie jest „skazana na wielkość” lecz dzięki swej pozycji geo-politycznej nie może być „Szwecją”. Będziemy albo średnim mocarstwem, które spełnia konkretną rolę w Europie Wschodniej — albo będziemy Królestwem Kongresowym, czy satelicką Polską Ludową czy nie ludową.

Upadek Pierwszej Rzeczypospolitej był spowodowany zwichnięciem proporcji pomiędzy Rosją a Polską. Inaczej mówiąc — by przywrócić ową proporcję do znośnych wymiarów — albo Rosja musi być osłabiona, albo Polska wzmocniona.

Terytorium tylko do pewnego stopnia stanowi element potęgi. W moim przekonaniu gdyby Polacy w sprzyjających warunkach odebrali Litwinom Wilno a Ukraińcom Lwów — pozycja Polski *vis-à-vis* Rosji uległaby wybitnemu osłabieniu. Nie liczą się bowiem miasta, tylko liczą się narody. Nie chodzi o zdobycie Wilna i Lwowa, chodzi o zdobycie zaufania i przyjaźni Ukraińców, Litwinów, Białorusinów. W gruncie rzeczy — w porównaniu z przeszłością jesteśmy w uprzywilejowanej sytuacji ponieważ Ukraińcy, Litwini i Białorusini nienawidzą Rosjan. Mądra polska polityka w chwili odpowiedniej koniunktury winna ów fakt wykorzystywać. Jeżeli jednak wskoczmy w buty naszych przodków z XVII wieku — odzyskamy może Wilno i Lwów lecz nie odbudujemy zdrowej proporcji pomiędzy Polską a Rosją. A w końcu tylko to się liczy a nie jedno miasto więcej czy jedno miasto mniej.

Partnership jest zawsze współpracą i rywalizacją. Nikt w tej sprawie nie powinien mieć żadnych wątpliwości. Rosja nie uzna nas nigdy za równorzędnego partnera, dopóki nie uzna nas za rywala na wschodzie Europy. Z kimś niezdolnym do rywalizacji nie ma powodu szukać *partnership'u*. To jest elementarna zasada, która obowiązuje zarówno w polityce jak i w wielkim *business'ie*.

Ktoś powie, że to są „sny o potęgę”, idea jagiellońska itp. Niczego podobnego nie mam na myśli. Przyjdzie chwila kiedy Ukraińcy, Bałtowie i Litwini — będą mieli szanse zdobycia jeżeli nawet nie pełnej niepodległości to w każdym razie autentycznej autonomii. Polska powinna popierać interesy tych narodów w Moskwie i bronić ich przed Moskwą.

Można wysunąć pozornie logiczny argument, że nie mamy powodu poświęcać naszych interesów dla interesów ukraińskich, że nie powinniśmy pogarszać naszych stosunków z Rosją „adwokując” w sprawie ukraińskiej czy litewskiej.

Istotą stosunków polsko-rosyjskich była zawsze rywalizacja i tę rywalizację przegraliśmy nie bezpośrednio z Moskwą — tylko na Ukrainie. Owczesnym narodom wschodnioeuropejskim nie mieliśmy niczego do zaoferowania poza wyzyskiem i kolonizacją i z tej przyczyny o idei jagiellońskiej Polacy mówią z namaszczeniem a Ukraińcy czy Litwini mówią z odrazą.

Nie proponujemy federacji polsko-ukraińskiej tym mniej nowej wyprawy na Kijów. Lecz, mówiąc obrazowo, wygrać z Rosją możemy tylko na Ukrainie. Przy odpowiedniej koniunkturze odbudować nasz status w stosunku do Rosji — będziemy mogli wówczas gdy narody oddzielające Polskę od rdzennej Rosji będą pewne naszej przyjaźni i poparcia. To nie jest ani imperializm ani idea jagiellońska, lecz zwyczajna, rozsądna polityka. Rozsądna i dalekowzroczna polityka jest rzeczą daleko trudniejszą niż imperializm. Najłatwiejszy, choć katastrofalny w skutkach — jest mini-imperializm jak Zaolzie, czy odebranie przy sprzyjającej okazji małemu narodowi Wilna.

Jedną z tez niniejszego wariantu sytuacyjnego jest pogląd, że o tym czy będziemy czy nie będziemy równorzędnym partnerem Rosji — zadecydują nie Rosjanie tylko Ukraińcy, Litwini, Białorusini, Bałtowie. Jeżeli w korzystnej koniunkturze zdołamy przekonać te narody, że Polska ma im coś więcej do zaoferowania niż Moskwa, że nasza polityka nie ma nic wspólnego z imperializmem czy zaborem — wówczas niejako automatycznie odzyskamy naszą utraconą pozycję *vis-à-vis* Rosji. Rozpatrywana w tej płaszczyźnie rezygnacja ze Lwowa jest fragmentem naszej polityki nie w stosunku do Ukraińców, lecz w stosunku do Rosji. Nie możemy ułatwiać Rosji poróżnienia nas z Ukraińcami a nasze żądanie

niecniego jako instrumentu podboju. Może tak być — może tak nie być.

Natomiast wszystko to co napisałem na temat stosunków polsko-rosyjskich nie jest spekulacją. Niepodległość w polskim zrozumieniu oznacza niepodległość od Rosji. Wyjąwszy wojnę atomową — na temat której trudno jest nawet spekulować — nie ma przed nami innej drogi wiodącej ku niepodległości jak odbudowanie pozycji Polski *vis-à-vis* Rosji. Wydaje mi się również, że ów cel nie jest możliwy do osiągnięcia inaczej jak poprzez zjednanie przyjaźni i zaufania narodów, które oddzielają nas od rdzennej Rosji. Im więcej będzie się liczył ambasador polski w wolnym Kijowie — tym więcej będzie się liczył ambasador polski w Moskwie.

Nie ma w polityce trudniejszego zadania jak odrabianie własnych błędów, ponieważ tych błędów nie odrobi za nas najkorzystniejsza koniunktura. Te błędy, w sprzyjających warunkach, odrobić mogą tylko sami Polacy — nikt poza nami.

Kultura nr 4/271, kwiecień 1970

W poprzednim artykule rozpatrzyliśmy wariant sytuacyjny — wychodząc z założenia, że Chiny w najbliższych dekadach staną się potęgą militarną i gospodarczą i że ów fakt wywrze wpływ na rozwój stosunków politycznych i narodowościowych w Europie Wschodniej. Wychodziliśmy również z przesłanki, że Niemcy przestały być potęgą militarną i że zjednoczonych Niemiec typu Trzeciej Rzeszy już nigdy nie będzie.

Wariant sytuacyjny, który pragnąłbym rozpatrzeć w niniejszym rozdziale dotyczy w pierwszym rzędzie Niemiec. Federalna Republika nie jest potęgą militarną, lecz niewątpliwie jest potęgą gospodarczą. Wydaje się prawdopodobne, że im bardziej napięcie na granicy rosyjsko-chińskiej będzie rosnąć — tym Kreml coraz uporczywiej będzie szukać porozumienia z Niemcami.

Europa Zachodnia to nie jest ani NATO ani „wspólny rynek” ani dziesiątki komitetów urzędujących w Brukseli. Europa Zachodnia to są Niemcy. Kto zdobędzie — względnie pozyska — Niemcy — zdobędzie automatycznie Europę Zachodnią nie wystrzeliwszy ani jednego naboju.

Rosja nie może prowadzić ofensywy na dwóch frontach, to znaczy na granicy chińskiej i w Berlinie. Bezpieczeństwo od strony Zachodu zapewnić mogą Rosji tylko Niemcy. Jest również rzeczą bardzo istotną, by w razie konfliktu z Chinami — Niemcy nie dostarczali po cichu Pekinowi skomplikowanych produktów nowoczesnej technologii — nie mówiąc o doradcach i ekspertach.

Argumenty, które przemawiają — z punktu widzenia Rosji — za porozumieniem z Niemcami można by mnożyć w nieskończoność. Dlaczego więc tego typu porozumienia jeszcze nie ma — skoro wydaje się oczywiste, że leżałoby w interesie obu stron?

Anglia i Francja nigdy nie dopuszczą do powtórnej dominacji

Niemiec w Europie. Niemcy mogliby przeciwstawić Anglii i Francji tylko Rosję. Porozumienie rosyjsko-niemieckie — bez względu na formę prawną jaką by przyjęto — stanowiłoby najpotężniejszą „kombinację” militarno-przemysłową jaka kiedykolwiek istniała w Europie. Wydaje się, że Niemcy tylko na tej drodze mogliby odzyskać status wielkomocarstwowy. Niemcy zachodni są narodem zbyt licznym i gospodarczo zbyt potężnym, by groziła im „satelizacja”. Przeciwnie, mieliby wszelkie szanse stać się pełnoprawnym partnerem Rosji i ciągnąć z owego partnerstwa wielkie zyski polityczne i gospodarcze.

Dlaczego więc tak się nie dzieje? W mojej opinii Stalin popełnił błąd tworząc NRD. Gdyby nie istniała Niemiecka Republika Demokratyczna — porozumienie rosyjsko-niemieckie byłoby już dawno faktem dokonanym. Stalin powinien był oddać sowiecką strefę okupacyjną rządowi w Bonn i postawić sobie za cel zdobycie całych Niemiec.

Ulbricht — z punktu widzenia zachodnioeuropejskiego — spełnia niezmiernie ważną i pożyteczną funkcję. Uniemożliwia bowiem zjednoczenie Niemiec, a tym samym uniemożliwia zbudowanie systemu hegemonii rosyjsko-niemieckiej w Europie.

Ideologia nie zawsze jest służbą polityki. Gdyby Chinami rządili demokraci — być może daleko łatwiej porozumieliby się z Rosją niż marksiści. Gdyby nie było NRD jako komunistycznego państwa — Rosji byłoby daleko łatwiej porozumieć się z Niemcami i narzucić Europie Zachodniej hegemonię rosyjsko-niemiecką.

Ani Anglicy ani Francuzi nie chcą zjednoczenia Niemiec. Europa boi się zjednoczonych Niemiec. Stalin tworząc odrębne państwo niemieckie spełnił „polityczne zamówienie” Europy Zachodniej i równocześnie oddalił widmo grożące zawsze Europie w postaci porozumienia rosyjsko-niemieckiego.

Jak wiadomo oba państwa niemieckie mają ustroje nie tylko różne lecz antagonistyczne. Ów antagonizm ideologiczny wyłącza możliwość zjednoczenia. Rosja ze względów prestiżowych i politycznych nie może w takiej czy innej formie „sprzedać” Ulbrichta. Upadek komunizmu w NRD pociągnąłby za sobą poważne konsekwencje w Europie Wschodniej.

Koncepcja Stalina zmierzała do stworzenia komunistycznego państwa niemieckiego, które byłoby w sojuszu z Sowietami. Gdyby Stalinowi powiodło się zagarnąć 80 % Niemiec i gdyby dziś NRD była tym czym są Niemcy zachodnie — hegemonia rosyjsko-niemiecka w Europie byłaby od dawna zrealizowana. Jednak w oparciu o Ulbrichta i jego państewko można robić rozmaite rzeczy, lecz nie panować nad Europą Zachodnią. Równo-

częśnie Rosjanie muszą sobie zdawać sprawę, że bez Niemców jako partnerów nie ustalą nigdy swojej hegemonii w Europie.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że dzięki Ulbrichtowi — jego nazwiska używam tu symbolicznie — problem niemiecki w rosyjskiej perspektywie jest dosłownie kwadraturą koła. Istotnie dla polityków kalibru Breżniewa czy Kosygina tak to się musi przedstawiać. Lecz kiedyś może pojawić się w Rosji polityk o dużej imaginacji, który pokusi się o rozwiązanie problemu niemieckiego. Należy podkreślić jeszcze raz, że korzyści, które płynęłyby z porozumienia rosyjsko-niemieckiego — dla obu stron zainteresowanych byłyby tak duże, że proces historyczny w obu mocarstwach będzie parł ku temu rozwiązaniu mimo wszelkich przeszkód.

Zjednoczyć Niemcy mogą tylko Rosjanie. Zjednoczyć w pewnym sensie. Za ustępstwa, za długo-terminowe kontrakty, za stopniowe podporządkowywanie się politycznym koncepcjom Moskwy — politycy na Kremlu mogą wydać następcom Ulbrichta polecenie zlikwidowania berlińskiego muru oraz przyznania obywatelom NRF specjalnych przywilejów.

Innymi słowy porozumienie rosyjsko-niemieckie musi oznaczać porozumienie między Moskwą a Bonn kosztem NRD. Jeżeli rozwój sytuacji poszedłby po wyżej naszkicowanych liniach — NRD nie zniknęłaby z mapy lecz uległaby całkowitej deklasacji.

W naszym wariantcie zakładamy, że uległa zmianie ogólna orientacja narodu niemieckiego w tym sensie, że tradycyjny *Drang nach Osten* zastąpiono *Drang nach Westen*. Niemcy ponieśli na wschodzie totalną klęskę — natomiast na Zachodzie niezmiernie szybko przedzierzgnęli się z wrogów w sojuszników i budowniczych nowej Europy. Dziś Niemcy są znacznie bardziej zainteresowani Brukselą, wspólnym rynkiem i szukaniem dla siebie nowej pozycji pomiędzy Francją a Anglią — niż Warszawą i Pragą. Tysiącletni *Drang nach Osten* leży w gruzach i Niemcy uświadomili sobie, że mocarstwową pozycję odbudować będą mogli tylko na Zachodzie a nie na wschodzie Europy.

Jeżeli *Drang nach Osten* uznamy za pogrzebany — należałoby zadać pytanie czy nie powinniśmy postulować orientacji pro-niemieckiej? Niemcy nie są wprawdzie Słowianami — lecz są narodem zachodnim i kto wie czy w wielu punktach nie mają więcej z nami wspólnego niż Rosjanie. Gdyby w przyszłości doszło do porozumienia polsko-niemieckiego — byłoby to potężne zgrupowanie w Europie Środkowej o wielkich możliwościach politycznych i gospodarczych.

Drang nach Osten jest reliktem przeszłości — nie widzę również w najbliższych dekadach... niemieckich czołgów pod

Leningradem. Niemniej nie jestem zwolennikiem orientacji pro-niemieckiej. Należy rozważać i analizować warianty sytuacyjne — nie oznacza to jednak, że przed każdym narodem istnieje ta sama różnorodność możliwych rozwiązań politycznych. Rosjanie czy Niemcy mają niepomniernie więcej wariantów do wyboru niż my.

Rosjanie — być może — będą szukali w przyszłości porozumienia z Niemcami. Lecz każda polska orientacja pro-niemiecka byłaby zawsze oceniana w Moskwie jako ruch polityczny anty-rosyjski. Rosjanie może zgodzą się na polsko-niemieckie szersze układy handlowe, na wyrównanie stosunków polityczno-dyplomatycznych lecz z całą pewnością nie zgodzą się na *partnership* polsko-niemiecki.

Musimy również pamiętać, że Niemcy zorientowane są ku Zachodowi. Gdyby doszło kiedyś do *partnership*'u niemiecko-rosyjskiego — to tematem owego porozumienia byłby Zachód a nie Wschód. Rosjanie nie potrzebują Niemców jako partnerów na wschodzie Europy — potrzebują ich poparcia, by dominować nad Europą Zachodnią. Podobnie Niemcy porozumienia z Rosją nie inkasowałyby politycznie w Pradze czy w Warszawie, lecz w Brukseli, w Paryżu i w Londynie.

Choć wydać się to może dziwne a nawet paradoksalne — właśnie *Drang nach Osten* stwarzał możliwości porozumienia polsko-niemieckiego. Mogliśmy iść z Niemcami przeciwko Rosji, mogliśmy szukać niemieckiej gwarancji przeciwko Rosji — mogliśmy wreszcie w sojuszu z Niemcami przebudować Wschodnią Europę, wyzwolić Ukrainę itd. Do przebudowywania Zachodniej Europy Polska Niemcom nie jest potrzebna. Nasze poparcie Niemców w Paryżu czy w Londynie nie byłoby ani efektywne ani skuteczne. Polska jest wyobcowana z systemu zachodniego i w stolicach zachodnich polskie wpływy po prostu nie istnieją. I punkt ostatni, najistotniejszy. W wariacie sytuacyjnym, który rozważamy — Niemcy zorientowane ku Zachodowi mając do wyboru porozumienie z Polską czy z Rosją — wybiorą zawsze Rosję. Należy jeszcze raz podkreślić, że Niemcy nie zamierzają wyzwalać Ukrainy czy przebudowywać europejskiego wschodu. Polacy popełnili w przeszłości wielkie błędy na Ukrainie i w stosunku do innych narodów, które oddzielają nas od rdzennej Rosji. Niemniej zbrodnie i błędy popełnione przez Niemców w tym rejonie Europy są nieporównywalnie większe niż nasze. Niemcy zdają sobie obecnie sprawę, że *Drang nach Osten* upadł nie tylko militarnie, lecz przede wszystkim upadł jako koncepcja polityczna. Bezprzykładna klęska Niemiec w Rosji była w całości spowodowana bezsensowną polityką Trzeciej Rzeszy. Niemcy nie mają

czego szukać na wschodzie Europy i wydaje mi się, że większość współcześnie żyjących Niemców zdaje sobie z tego sprawę.

Lecz mimo klęsk i błędów Niemcy mają zawsze przed sobą więcej możliwości niż my. *Drang nach Osten* odłożyli do muzeum i zabrali się z zapałem do organizowania „brukselskiej” Europy Zachodniej. Ci sami Anglicy, którzy 30 lat temu równali Niemcy z ziemią a następnie wraz z Rooseveltem i Stalinem decydowali o ich losie — dziś zabiegają o poparcie Bonn w sprawie przystąpienia Wielkiej Brytanii do wspólnego rynku. To nie jest przykład ilustrujący przysłowie, że „fortuna kołem się toczy”. To jest tylko przykład ilustrujący fakt, że nawet pobite Niemcy mają przed sobą więcej politycznych możliwości niż my. 1000 lat niemieckiej *Ostpolitik* legło w popiołach. *Drang nach Osten* został odrzucony dosłownie na punkt wyjściowy sprzed 10 wieków. Niemcy zwrócili się ku Zachodowi i są dziś wzorowymi Europejczykami. Dla Niemców klęska ich polityki wschodniej oznaczała konieczność zdynamizowania programu zachodniego. Dla nas klęska naszej polityki wschodniej oznaczała historyczną katastrofę, z której nie zdołaliśmy się podnieść przez dwieście lat. Ponieważ w przeciwieństwie do Niemiec, Polska nie ma alternatywy zachodniej.

Czy to wszystko co powiedzieliśmy powyżej należy podsumować w stwierdzeniu, że orientacja pro-niemiecka już nigdy w polskiej polityce nie odegra najmniejszej roli?

W wariancie, który analizujemy — wyszliśmy z przesłanki, że Rosja zagrożona od strony Chin szukać będzie porozumienia z Niemcami. Przez Niemcy Moskwa rozumie NRF — bo tylko porozumienie z NRF pozwoliłoby Rosji zainkasować Europę Zachodnią bez wystrzału. Nie byłoby oczywiście inwazji — ponieważ inwazja byłaby całkowicie zbędna. Tego typu plan musiałby być realizowany nie tylko ponad głową rządu NRD — lecz kosztem NRD jako państwa. Niemcy wschodni czuliby się zdradzeni, sprzedani, upokorzeni — ponieważ panowie z Bonn znaczyliby w Moskwie znacznie więcej niż towarzysze wschodnioniemieccy.

Jeżeli Rosja pragnęłaby porozumienia z NRF nie miałyby innego wyjścia jak zgodzić się na degradację NRD — ponieważ owej degradacji domagaliby się Niemcy zachodni. Domagaliby się przede wszystkim Berlina. To byłaby cena, którą Kreml w końcu musiałby zapłacić za zdobycie nowego potężnego alianta.

Łatwo sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji pro-rosyjskich Niemców byłoby daleko więcej w Republice Federalnej niż w NRD. Nastąpiłoby powszechne rozczarowanie reżymem stalinowskim, który Niemcy wschodni obwinialiby za degradację NRD.

Rozważamy problem polskiej orientacji pro-niemieckiej. Sądzę,

przed sobą wyboru i w przyszłości to się nie zmieni. Możemy realizować tylko program wschodni ponieważ programem wschodnim Polska stoi i upada. Na Zachodzie będziemy tyle znaczyli ile znaczyć będziemy na Wschodzie — a nie odwrotnie. Trudno przychodzi nam pojąć, że nie możemy wziąć przykładu z postępowania Niemiec i program wschodni zastąpić programem zachodnim. Nasze położenie geograficzne wyłącza tego typu rozwiązanie.

W moim przekonaniu wcześniej czy później dojdzie do wojny rosyjsko-chińskiej. Wojna w różnych fazach może trwać kilka lub kilkanaście lat. Nacjonalizm — choćby przybrany w romantyczną formę („za wolność naszą i waszą”) — wówczas nie wystarczy. Przez program wschodni, który byłby zdolny dokonać wielkiej przemiany — rozumieć należy ideę socjalną. Nie ma rewolucji bez idei socjalnej. Polska w sprzyjającym momencie winna podnieść twardo i wysoko sztandar socjalizmu z ludzkim obliczem i stać się Piemontem rewolucji społecznej, która przekształciłaby Wschodnią Europę a z czasem i Związek Sowiecki.

Ludziom na Zachodzie wydaje się, że wiek ideologii dobiegł kresu, że wszyscy mają dość socjalizmu, komunizmu itd., itp.

Nikt nie mówi o chlebie tam gdzie chleba jest pod dostatkiem. Nie ma powodu wiecznie dyskutować o socjalizmie w państwie, w którym panuje ład i sprawiedliwość społeczna. Lecz w bloku wschodnim wszelkie zło płynie z wadliwie rozumianego i wadliwie wcielanego w życie socjalizmu. W Czechosłowacji gdy w okresie rewolucji Dubczeka zniesiono cenzurę — ludzie o niczym innym nie mówili jak tylko o socjalizmie. Wadliwego socjalizmu nie można niczym innym zastąpić tylko prawidłowym socjalizmem. Zastąpienie wadliwego socjalizmu dyktaturą wojskową czy rządami nacjonalistyczno-faszystowskimi — jest zawsze krokiem wstecz a nie naprzód.

— miałyby jeszcze dość sił by te państwa wygrywać jedno przeciwko drugiemu dążąc do całkowitej bałkanizacji Europy Wschodniej. Moskwie przyświecałaby uzasadniona nadzieja, że gdy upora się z Chinami opanuje z powrotem zwaśnioną Europę Wschodnią.

I jeszcze jeden punkt bardzo istotny. Powstania wymierzone byłyby przeciwko Rosji — rewolucja wymierzona byłaby nie przeciwko Rosji lecz przeciwko stalinizmowi i totalizmowi. Inteligencja rosyjska i rewizjoniści rosyjscy poparliby rewolucję lecz nie poparliby nacjonalistycznych powstań. Inteligencja rosyjska w znacznym procencie była za Dubczekiem i, jak wiadomo, kilku nie polskich lecz sowieckich oficerów popełniło samobójstwa w okupowanej Pradze.

Zasadniczym problemem w tej całej sprawie jest Rosja. Celem rewolucji byłoby objąć Związek Sowiecki i dopomóc postępowym kołom rosyjskiego społeczeństwa w nadaniu rosyjskiemu socjalizmowi ludzkiego oblicza. Przebudowa Związku Sowieckiego w *commonwealth* niezależnych państw byłaby do osiągnięcia wyłącznie w konsekwencji zwycięskiej rewolucji.

Polska polityka wschodnia winna postulować rewolucję socjalistyczną we wszystkich państwach bloku z Rosją włącznie. Oczywiście w ramach wariantu sytuacyjnego który omawiamy — rewolucja socjalistyczna w sprzyjającej koniunkturze winna zacząć się w Polsce względnie w Polsce i w Czechosłowacji równocześnie. Ponieważ analogiczna koniunktura panowałaby wówczas w całej Europie Wschodniej — jest wielce prawdopodobne, że przy poparciu Polski i Czechosłowacji rewolucja objęłaby szybko wszystkie państwa satelickie. Gdyby tak się stało — sukces programu wschodniego byłby zapewniony. Rosja w danej sytuacji nie mogłaby sobie pozwolić na zbrojną interwencję w większości państw satelickich. Nie potrzebuje dodawać, że zwycięska rewolu-

cja socjalistyczna w państwach bloku wschodniego — wywierałaby przemożny wpływ na narody wchodzące w skład Związku Sowieckiego a przede wszystkim na Ukraińców. Tak oto zostałaby ustawiona scena dla ostatniego aktu wielkiej przemiany, tj. rewolucji w Rosji i przebudowy Związku Sowieckiego.

Nie twierdzę, że tak się stanie. Twierdzę natomiast, że jeżeli narody dziś satelickie — nie wykorzystają w przyszłości sprzyjającej koniunktury w celu dokonania rewolucji socjalistycznej — program wschodni — tak jak go rozumiemy — upadnie. Winniśmy zawsze pamiętać, że Rosji nie można ani pobić ani narzucić jej bardziej postępowego ustroju. Rosję można natomiast w sprzyjających warunkach otoczyć pasem państw socjalistycznych — co umożliwiłoby potężne oddziaływanie, które z całą pewnością doprowadziłoby w Rosji do przewrotu.

Wreszcie uwaga końcowa:

Ludzie, którzy nie są gotowi zapewnić triumfu socjalizmowi z ludzkim obliczem w swojej własnej ojczyźnie — nie mają moralnego prawa domagać się przemian w Rosji.

Kultura nr 5/272, maj 1970

STARE WINO W NOWYCH BECZKACH

W rozmowach z młodymi ludźmi z Kraju padają nieodmien- nie dwa stwierdzenia: a) po co mówić o polityce kiedy jest tyle innych ciekawszych tematów? Oraz — b) po co mówić o polityce kiedy my i tak na to nie możemy nic poradzić. Wielu moich rozmówców dodaje jeszcze uwagę, że *Kultura* udziela rad rządzącym a nie rządzonym i jeżeli prowadzimy dialog to raczej z Gomułką i z partią a nie ze społeczeństwem.

W pokoju w którym pracuję znajdują się setki książek i czasopism. 80 % owych wydawnictw nie można by przewieźć do Kraju. Na przeszkodzie stoi polityka. Ze względów politycznych Jasienica zamilkł a Kołakowski wykładą zagranicą zamiast w Warszawie. Byłoby krzywdzące powiedzieć, że w Polsce czy w Rosji nie ukazują się interesujące książki. Lecz nie ulega wątpliwości, że w innym systemie politycznym literatura i sztuka kwitłyby w obu cytowanych krajach podczas gdy dziś zaledwie wegetują.

Dla wielu polityka jest nudna. Lecz życie w Polsce nie stanie się bardziej interesujące dopóki nie zmienimy systemu politycznego, który jest źródłem polskiej nudy. Prasa polska jest jedną z najnudniejszych na świecie. Zeszyty *Kultury* mają wysoką cenę na czarnym rynku w Kraju nie dlatego, że *Kultura* daje jakąś czarodziejską receptę na rozwiązanie obecnej sytuacji — lecz dlatego, że jest to pismo żywe i interesujące.

Nuda jest „społecznym złodziejstwem”. Fakt, że *Kultura* nie może ukazywać się w Warszawie oznacza, że tysiące ludzi okradziono z dobrego pisma. Miliony ludzi w Polsce i w Rosji okradziono ze wspaniałej literatury, która powstałaby w innym ustroju. Owym milionom ukradziono historię, filozofię, socjologię — ukradziono kontrowersyjną, czasem dziwaczną lecz zawsze fascynującą i przebogatą, problematykę dwudziestego wieku. To jest

typ zbrodni, której nie można wyrównać w stosunku do danego pokolenia. Za dwa czy trzy lata przewrót może przynieść wolność i demokrację. Lecz polski inteligent na prowincji liczący dziś 40 czy 45 lat, który nie miał dostępu do książek zachodnich — jeżeli za trzy lata wybuchnie wolność — choćby „wyczytał” swoje oczy, nie zdoła przeczytać tego co mógłby być przeczytać gdyby przepędził życie w innym ustroju. Z pewnych istotnych wartości okradziono go nieodwracalnie i na zawsze. Jeżeli za kilka lat zniesiona będzie cenzura — setki współczesnych pisarzy nie napisze już tych książek, które napisaliby, gdyby dziesięć lat temu istniała wolność.

Czy istotnie na to wszystko nie możemy nic poradzić?

Lecz nim odpowiem na to pytanie spójrzmy na sytuację Polski niejako z lotu ptaka. Jak dawniej jesteśmy pomiędzy Rosją a Niemcami. Nasze położenie uległo pogorszeniu ponieważ nasi obaj sąsiedzi są dziś znacznie potężniejsi niż w przeszłości. Na Zachodzie mamy sympatyków lecz nie mamy sojuszników. Jedyny problem w Europie Środkowej, który w pewnej mierze interesuje mocarstwa zachodnie to jest Berlin i zjednoczenie Niemiec. Lecz na tym koniec.

W tej chwili na scenie światowej dominującą pozycję zajmują dwa super-mocarstwa, tzn. Stany Zjednoczone i Rosja. Należy jednak podkreślić, że super-mocarstwowość nie jest wyłącznym wynalazkiem Amerykanów i Rosjan. Super-mocarstw będzie przybywać. Kandydatami na tej liście są Japonia, Niemcy i Chiny. Nie można wykluczyć, że za 50 lat super-mocarstwami będą Indie i Brazylia. Przypuszczam, że małe i średnie państwa łączyć się będą w federacje, unie celne i bloki gospodarcze, by móc konkurować z super-mocarstwami na rynkach światowych.

Siła w polityce jest pojęciem relatywnym. Z chwilą gdy Rosja będzie jednym z czterech czy pięciu super-mocarstw nie będzie miała tego statusu, który posiada dziś. Lecz to jeszcze nie wszystko. O statusie super-mocarstwa decyduje w znacznej mierze polityka zagraniczna. Ubezpieczenie granic, sojusze, korzystna w danym rejonie równowaga sił, a nawet kwestia wojny czy pokoju — wszystko to stanowi przedmiot polityki zagranicznej. Istnieje ścisły związek funkcjonalny pomiędzy polityką zagraniczną a wewnętrzną. Jeżeli w danym kraju 20 partii w parlamencie skacze sobie do gardła — jeżeli rządy zmieniają się co kilka miesięcy, a czasem co kilka tygodni — jest oczywiście, że państwo tego typu nie może mieć dobrej polityki zagranicznej.

W Rosji nie ma dwudziestu partii a rządy nie zmieniają się co parę tygodni — lecz tym niemniej ustrój państwowy jest

anachronizmem co odbija się na polityce zagranicznej. Związek Sowiecki nie ma i nie może mieć dobrej polityki zagranicznej.

Czechosłowaków — którzy byli najbardziej pro-rosyjskim narodem w Europie — Rosjanie zdołali przekształcić w najbardziej anty-rosyjski naród w Europie. Blok państw satelickich w koncepcji Stalina miał na celu chronić Sowiety przed Niemcami i ich sojusznikami. W okresie Stalina państwa satelickie były bezwzględnie posłusznymi pionkami trzymanymi przez Moskwę żelazną ręką. Obecnie terroru jest mniej lecz nie oznacza to, że terror zastąpiła obopólna dobra wola i współpraca. Pewne państwa satelickie — jak Rumunia czy Węgry — są dziś bardziej samodzielne niż w przeszłości. Wydaje się prawdopodobne, że ów proces częściowej emancypacji satelitów będzie postępować. Gdyby wzrost tej emancypacji oznaczał poprawę stosunków pomiędzy Rosją a jej sojusznikami — wówczas byłby to sukces sowieckiej polityki zagranicznej. Wiemy że tak nie jest.

Satelici będą w przyszłości stanowili coraz większy problem dla Związku Sowieckiego. Przywódcy typu Gomułki i Ulbrichta są na wymarciu. Oprócz tego system satelicki nie spełnia swojego zadania. W razie wybuchu wojny Moskwa nie mogłaby liczyć na żadną z armii satelickich. Polacy walczyliby przeciwko Niemcom — lecz przeciwko Amerykanom nie walczyłby nikt. W razie wybuchu konfliktu zbrojnego w państwach satelickich nastąpiłaby seria przewrotów i rewolucji. Zamiast wału obronnego, który miał chronić Sowiety od Zachodu — Rosja miałaby pożar wzdłuż swoich granic.

Ponieważ w Rosji nie nastąpiły poważniejsze przemiany drogi komunizmu sowieckiego i komunizmu zachodnioeuropejskiego rozchodzą się coraz bardziej. Polityka zagraniczna Sowietów traci jeden ze swoich głównych atutów.

Skłaniam się do przypuszczenia, że komuniści włoscy będą partią współrządzającą w obrębie dziesięciu lat a może wcześniej. Gdyby w Moskwie sprawował władzę rosyjski Dubczek — nie byłoby żadnego sporu i nieufności pomiędzy komunistami włoskimi i sowieckimi. Dziś Rosjanie określają włoską partię komunistyczną mianem „socjał-demokracji”. Moskwa ma trudności w znalezieniu wspólnego języka nie tylko z zachodnioeuropejskimi komunistami lecz również z komunistami azjatyckimi i afrykańskimi.

Do czego zmierzają powyższe uwagi?

Chciałem wykazać, że Rosja nie jest w stanie prowadzić dobrej polityki zagranicznej i w konsekwencji jest więcej niż prawdopodobne że jej status zacznie maleć. Można by tu oczywiście dodać sprawy gospodarcze, narodowościowe itp. Ograniczam się

jednak tylko do jednego aspektu tego złożonego zagadnienia to jest polityki zagranicznej. Twierdzę, że jeżeli w Rosji nie nastąpią radykalne przemiany sowiecka polityka zagraniczna z każdym kwartałem będzie coraz bardziej reakcyjna, coraz mniej owocna, coraz bardziej carsko-tradycyjna.

Czytelnik zauważy w tym miejscu: jeżeli rozpoczął się już zmierzch Rosji — nie ma powodu do zmartwienia. Wystarczy cierpliwie czekać bo czas pracuje na naszą korzyść.

Nie podzielam tego optymizmu. Historia się nie powtarza lecz pewne schematy historyczne powtarzają się z przerażającą dokładnością.

Może wyjaśnię łatwiej moją tezę posługując się anty-tezą. Wyobraźmy sobie, że rewolucja reformatorska objęła nie tylko Czechosłowację lecz stopniowo rozszerzyła się na Polskę, Węgry i zatriumfowała również w samej Rosji. Wówczas odwieczny schemat historyczny zostałby wreszcie przełamany i z czasem pogrzebany. Pomiędzy Polską a przebudowaną nową Rosją nastąpiłoby rzetelne wyrównanie stosunków i żaden Polak pisząc sojusznicza Rosja, słowa „sojusznicza” nie ujmowałby w cudzysłowy.

W Historii nie ma żadnej ciągłości. Istnieje tylko ciągłość przemian. Wczorajsi sojusznicy stają się wrogami — wrogowie sojusznikami itd. Lecz warunkiem przemiany jest zawsze przełamanie poprzedniego schematu. Niemcy są dziś sojusznikami Francji. Totalna klęska przypieczętowana bezwarunkową kapitulacją Trzeciej Rzeszy przełamała schemat historyczny trwający od Sedanu.

Nie zawsze wojna przełamuje schemat historyczny. Czasem ów schemat grzebie rewolucja, upadek imperialnej potęgi, brak „adaptacji do zmienionych warunków itp.

Musimy przełamać historyczny schemat stosunków polsko-rosyjskich. Ten schemat nie został przełamany ani w roku 1920 — kiedy zwycięzcami byli Polacy — ani w roku 1945 kiedy zwycięzcami byli Rosjanie.

W porównaniu z b. zaborem rosyjskim PRL jest semi-wolna i semi-niepodległa. W Warszawie nie rządzi gubernator rosyjski, ulic nie patroluje policja rosyjska, nie wywozi się już ludzi na Sybir ani nie wiesza się patriotów polskich na stokach cytadeli. Niemniej schemat polsko-rosyjski nie uległ zmianie na jotę. Jednym z istotnych i klasycznych aspektów owego schematu jest potencjalna groźba porozumienia rosyjsko-niemieckiego.

Wielu Polaków na Emigracji, zwłaszcza starszego pokolenia — uważa, że Rosję trzeba wyprzeć z Europy. Kto ma to zrobić? Jedynym narodem o potencjalnych możliwościach pod tym wzglę-

dem są Niemcy. Niemcy są kandydatem na liście przyszłych supermocarstw i już dziś posiadają dostateczną bazę przemysłową by podjąć poważny program zbrojeń atomowych. Któż zaręczy czy za 20 lat Niemcy owego programu nie zrealizują?

Wroga można pobić albo można się z nim porozumieć. Gdyby kiedyś doszło do porozumienia rosyjsko-niemieckiego Polska straciłaby nie tylko ziemie zachodnie lecz utraciłaby również możliwość rozwoju gospodarczego i politycznego. Natomiast Rosjanie w porozumieniu z Niemcami dominowaliby nad całym kontynentem Europy.

Dążeniem polskiej polityki w jakimkolwiek wydaniu musi być stworzenie układu, który wyłączałby porozumienie rosyjsko-niemieckie czyniąc je zbędnym. Gdyby kiedyś powstała federacja polsko-czechosłowacka — lub luźniejszy związek polsko-czechosłowacko-węgierski — to tego rodzaju zgrupowanie mogłoby być pełno-wartościowym partnerem Rosji. Federacja polsko-czechosłowacka chroniłaby Rosję przed Niemcami a z drugiej strony byłaby zbyt potężna, by jej kosztem Moskwa mogła porozumieć się z Niemcami. Wtedy, lecz dopiero wtedy, ów schemat polskorosyjski, którego istotą jest potencjalne porozumienie rosyjsko-niemieckie kosztem Polski — zniknąłby z naszych dziejów.

W roku 1939 po czwartym rozbiorze Polski — Mołotow wyraził radość, że ów „brzydki karzeł traktatu wersalskiego” zniknął z mapy Europy. Mołotow wyraził się ordynarnie, lecz zgodnie z tradycją.

Polacy uważali Rosję za rywala — nigdy za partnera. Rywala trzeba oczywiście rozbić i zlikwidować. Mołotow myślał po tych samych liniach. Uważał Polskę za rywala, którego trzeba podzielić i wymazać z mapy Europy. Pokonany rywal nie przestaje być rywalem, ponieważ decyduje w tej sprawie tradycyjne nastawienie całego narodu. Przykładem tej postawy było Powstanie Warszawskie, które było wojskowo wymierzone przeciwko Niemcom a politycznie przeciwko Rosji.

Nie wybielając Rosjan — co nie byłoby zadaniem łatwym — należy jednak pamiętać, że ich nastawienie do nas jest w pewnej mierze odbiciem naszego nastawienia do nich. Pokonany rywal rodzi powstańców i kolaborantów. Komitet Lubelski to byli kolaboranci, a żołnierze AK w Warszawie to byli powstańcy. Ani kolaboranci ani powstańcy nie stanowią materiału na partnerów i Rosjanie nie ufają tak jednym jak i drugim.

Ponieważ jesteśmy nie partnerem Rosji lecz tylko pokonanym rywalem — określenie Mołotowa nie straciło niczego ze swej aktualności. W razie wybuchu konfliktu Rosjanie będą się starali tradycyjną metodą wykupić Niemców z koalicji anty-rosyjskiej.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że Rosjanie mają czym Niemcom zagrozić i mają również czym Niemcom zapłacić. Piąty rozbiór Polski byłby w takiej sytuacji z punktu widzenia Rosji logicznym rozwiązaniem — jeżeli tym posunięciem można by kupić neutralność Niemiec.

Obaj nasi sąsiedzi od 200 lat dążą do finalnego rozwiązania kwestii polskiej. Hitlerowska „Generalna Gubernia” i PRL stanowią najświeższe przykłady w tym względzie. PRL jest nową beczką, która zawiera stare imperialne wino. Dzieje się tak dlatego, że Polska jest zbyt słaba by prowadzić politykę pod hasłem „ani z Rosją ani z Niemcami”. Stanowimy natomiast bramę wypadową tak Niemiec przeciwko Rosji jak i Rosji przeciwko Niemcom. Polska jest bardzo ważnym elementem w systemie bezpieczeństwa zarówno Rosji jak i Niemiec. Stąd tendencja obu naszych sąsiadów albo do zagarnięcia całego polskiego przedpola — albo do jego podziału pomiędzy oba zainteresowane mocarstwa.

Historia się nie powtarza lecz ten sam zespół przyczyn który tworzy dany schemat historyczny — powoduje skutki podobne w formie i identyczne w treści. Czwarty Rozbiór Polski dokonany przez Hitlera i Stalina różnił się w formie od trzeciego rozbioru — lecz w treści był identyczny — oznaczał bowiem utratę niepodległości. Teżą niniejszego szkicu jest pogląd, że ów schemat historyczny, który w odstępach czasu produkuje rozbiór Polski trwa nadal. Piąty rozbiór Polski jest historycznie nieuchronny jeżeli ów schemat nie zostanie przełamany.

Czytelnik zauważy, że rozbiór nam nie zagraża ponieważ PRL nie jest państwem niepodległym tylko państwem satelickim wchodzącym w skład imperium sowieckiego.

Jeżeli przyjąć tezę, że pozycja Rosji na skutek jej archaicznej polityki będzie słabnąć — pozycja Niemiec będzie proporcjonalnie rosła. Rosji będzie coraz trudniej przeciwstawiać się gospodarczemu *Drang nach Osten* jednej z największych potęg ekonomicznych świata. Zwalczanie reformistów, rewizjonistów i rewolucjonistów w krajach satelickich będzie również coraz trudniejsze i coraz mniej wydajne.

Jeżeli sytuacja przybierze obrót naszkicowany powyżej — politycy na Kremlu będą musieli dojść do prostego wniosku, że jedynym zabezpieczeniem rosyjskiego imperium we Wschodniej Europie jest porozumienie rosyjsko-niemieckie.

W okresie kiedy Niemcy były okupowane i przemysł niemiecki leżał w gruzach — Rosjanie przypuszczali, że koncepcje zaboru zrealizują sami — to znaczy bez udziału Niemiec. Rewizjonizm terytorialny współczesnych potężnych Niemiec nie jest w gruncie

rzeczy niczym innym jak przypomnieniem pod adresem Moskwy, że polityka zaborcza wymaga tradycyjnego współ-udziałowca. Gdyby Niemcy otrzymali to czego się domagają — zabór byłby gwarantowany zarówno przez Rosję jak i przez Niemcy — ponieważ zmiana układu w Europie Wschodniej nie leżałaby wówczas w interesie polityki niemieckiej.

Jeżeli Rosja będzie zdecydowana prowadzić politykę imperialną — rozbiór Polski — jak podkreśliłem uprzednio — wydaje się nieuchronny bo tylko porozumienie rosyjsko-niemieckie może zabezpieczyć satelizację Europy Wschodniej. Niemcom nic nie zależy na tym by w Warszawie obradował demokratyczny parlament — tylko zależy im na odzyskaniu Wrocławia. Za tę cenę byłiby gotowi pomóc Rosji w „żandarmowaniu” Europy Wschodniej.

Wielu Polaków sądzi, że rozbięcie jednego z owych kamieni młyńskich — tzn. Rosji albo Niemiec — wywiodłoby Polskę z tego historycznego potrzasku. Doświadczenie nie potwierdza tej tezy. W rezultacie drugiej wojny światowej Niemcy zostały powalone lecz Polska niepodległości nie odzyskała. Jeżeli w wyniku ewentualnej trzeciej wojny światowej Rosja zostałaby rozbita a Niemcy byłyby jednym z mocarstw zwycięskich — w moim przekonaniu nie odzyskalibyśmy również niepodległości. Musiałaby się powtórzyć sytuacja z roku 1918 — kiedy oba kamienie młyńskie były w rozsypce. Lecz tego rodzaju układ może się nigdy nie powtórzyć i byłoby naiwnością wiązać z nim jakiekolwiek nadzieje.

Europa Wschodnia by mogła przeciwstawić się swoim sąsiadom musi być inaczej zorganizowana. Trzeba mieć możliwość przeciwstawienia się sąsiadowi, by z owym sąsiadem móc żyć w unormowanych stosunkach. Federacja polsko-czechosłowacka wydaje się rozwiązaniem najkorzystniejszym. Federacja winna być związkiem otwartym umożliwiającym w przyszłości przystąpienie do związku innym państwom naszego rejonu Europy.

Na temat federacji polsko-czechosłowackiej napisano setki artykułów i sporą ilość książek. Autorzy tych prac omówili i przeanalizowali wszystkie aspekty tego złożonego zagadnienia. O Federacji wiemy wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy, a mianowicie jak ją powołać do życia? W tej sprawie entuzjaści federacji zachowują dyskretne milczenie. Czytelnikowi daje się do zrozumienia, że federacja powstanie gdy koniunktura międzynarodowa ulegnie korzystnej przemianie.

Osobiście obawiam się, że gdyby „korzystna zmiana koniunktury” wyraziła się nową edycją 1918 r. — Polacy, i prawdopodobnie Czechosłowacy, doszliby do wniosku, że federacja nie jest

Stosunek ów proporcja wyraża się stosunkiem 1 : 10. W okresie pierwszego rozbioru nasi sąsiedzi przerastali nas dwukrotnie — dziś przerastają nas dziesięciokrotnie. Lecz powyższe cyfry — raczej przerażające — nie zapadły w świadomość narodu. Polacy kochają tradycję i tradycję identyfikują z historią. Historii często nie rozumieją i dlatego niewiele się z niej uczą.

W świetle powyżej przytoczonych cyfr jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy nie mogą osiągnąć niepodległości inaczej jak łącznie i wspólnym wysiłkiem. Jeżeli narody ujarzmione nie będą działać solidarnie — indywidualnie nie osiągną niczego.

Ewolucję w kierunku jedności utrudnia fakt, że narody ujarzmione — nie mają ani tradycji ani wyrobienia demokratycznego. Daleko trudniej jest ujarzmić naród demokratyczny niż naród bez tradycji demokratycznej. Naród bez wyrobienia demokratycznego nie ma wiary w moc ludu. Posiada natomiast nieograniczoną wiarę w moc policji i aparatu przemocy.

Polacy mają uzasadnioną historycznie opinię nieustraszonych żołnierzy. Gdyby Rosjanie zechcieli podjąć inwazję Polski na wzór Czechosłowacji — Polacy prawdopodobnie chwyciliby za broń. Lecz ci sami Polacy, których łatwo sobie wyobrazić walczących na barykadach przeciwko potędze Związku Sowieckiego, uważają Gomułkę czy Moczara za niezwycięzonych.

Nie namawiam Polaków w Kraju do powstania — pragnę natomiast zilustrować tezę, że najłatwiej jest ujarzmić naród, który nie jest dogłębnie przekonany, że rządzić można tylko w oparciu o społeczeństwo.

Ci, którzy rządzą są zawsze silniejsi od rządzonych. Tak jest nie tylko w Polsce lecz również w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, wszędzie. Obserwując od ćwierć wieku demokrację brytyjską doszedłem do wniosku, że jej siłę stanowi fakt, że każdy dom

w chwili zagrożenia z zewnątrz. Wówczas każdy Polak powinien, że obrona kraju jest jego sprawą.

Nie jestem pesymistą, ponieważ człowiek zaangażowany nie może być pesymistą. Niemniej w mojej ocenie, sytuacja Polski jest zła i będzie się stale pogarszać. Nasi sąsiedzi przerastają nas dziś dziesięciokrotnie. Za 50 lat będą nas przerastali piętnastokrotnie. Żadna „zmiana koniunktury międzynarodowej”, z którą starsi panowie na emigracji wiążą wszystkie swoje nadzieje, nie odwróci tego procesu. Niektórzy Polacy wyobrażają sobie, że kiedyś wybuchnie wojna. Wówczas Rosjanie unicestwią Niemcy a Amerykanie unicestwią Rosję. Na takie cuda nie możemy liczyć. Historia nie jest robiona na polski obstalunek.

Wydaje mi się, że przed Wschodnią Europą istnieją tylko dwie możliwości. Albo obszar o którym mowa zostanie politycznie i gospodarczo scalony — albo zostanie podzielony. Rosjanie nie zdołają utrzymać swoich europejskich zdobyczy i będą zmuszeni szukać wyrównania stosunków z Niemcami kosztem podziału.

Polska od 200 lat znajduje się na równi pochyłej choć Polacy nie są ani lepsi ani gorsi od innych narodów. Czesi być może górują nad Polakami pewnymi cnotami obywatelskimi, lecz i oni dzielą dziś z nami ową równię pochyłą. W gruncie rzeczy już od bardzo dawna pomiędzy Rosją a Niemcami nie ma miejsca na mozaikę małych i średnich niepodległych państw. Niepodległość można by zapewnić tym państwom gwarancją międzynarodową. Koncepcja pasa neutralnego — wysuwana swego czasu przez *Kulturę* — zmierzała ku temu celowi. Wadą tego typu rozwiązań jest fakt, że jest w nich coś sztucznego. Gwarancja trwa tak długo, jak długo utrzymuje się dany „porządek rzeczy”. Wersalski „porządek rzeczy” trwał zaledwie 20 lat. Nie wydaje mi się również by Stany Zjednoczone zechciały w przyszłości zwiększać swoje zobowiązania w Europie — zwłaszcza w Europie Wschodniej,

współczesnym idealnym.

Rosja jest najpotężniejszym krajem wschodnioeuropejskim, lecz nawet w skali wschodnioeuropejskiej jest krajem najbardziej opóźnionym w rozwoju. Rosjanie cenią sobie gdy mogą przyjechać do Polski i w rozmowach z Polakami nie tają, że Polskę uważają za Zachód. Warszawa to wprawdzie nie Paryż — lecz niewątpliwie Warszawa a nie Moskwa w pewnym sensie podobna jest do Paryża. Rosjanie podkreślają, że tylko niebo nad Warszawą jest rosyjskie — wszystko inne jest zachodnie. Byłoby więc czymś logicznym i naturalnym gdyby rewolucja czy reformacja przyszły do Rosji z Zachodu — to znaczy z Warszawy i z Pragi.

W drugiej połowie dwudziestego wieku trudno mi uwierzyć w rewolucję typu rewolucji październikowej z tłumami szturmującymi siedzibę KC w Warszawie. Nowoczesna rewolucja jest dziś przede wszystkim prądem umysłowym i programem stopniowej reformy ustroju. W tym sensie rewolucja czechosłowacka posiadała wszystkie znamiona nowoczesności.

W mojej książce „Neurozy Polityczne”, w szkicu pt. „Rozprawa o Metodzie”, starałem się przeanalizować błędy przywódców powstania węgierskiego. Czechosłowacy popełnili również poważne błędy. Błędem było nadawanie specjalnych programów radiowych po ukraińsku, ponieważ słuszne posunięcie, ale dokonane przedwcześnie — jest zawsze błędem. Lecz zasadniczym błędem rewolucji czechosłowackiej był fakt, że od samego początku pomysłała była jako „odwrotność” powstania węgierskiego. Nie zarzucam Czechom, że w chwili gdy ulice Pragi zaroily się od czołgów sowieckich nie podjęli walki. Uważam natomiast za kardynalny błąd, że na wiele tygodni przed inwazją czechosłowackie przywództwo partyjne podjęło decyzję, że w żadnym wypadku siła nie zostanie użyta. Rosjanie o tej decyzji oczywiście wiedzieli. Podjęcie inwazji niczym im nie groziło. Gdyby Czesi głosili od

od czego jak dotąd są bardzo dalecy — że pewien stopień niepodległości możemy odzyskać tylko łącznie, nie oddzielnie.

Dzieli nas wiele spraw, między innymi problem niemiecki. Polacy mają spór z Niemcami o granice na Odrze i Nysie. Czechosłowacy i Węgrzy nie chcieliby obciążać swych przyszłych stosunków z Niemcami solidaryzując się z polskim punktem widzenia. Winniśmy przekonać tak Czechosłowaków jak i Węgrów, że nasz wspólny polsko-czechosłowacko-węgierski spór z Rosją jest stokroć ważniejszy i istotniejszy niż indywidualny spór polsko-niemiecki.

Niemcy, podobnie jak Rosja, odnoszą się zawsze z największą podejrzliwością do wszystkich projektów scalenia Europy Wschodniej ponieważ silna gospodarczo i politycznie federacja polsko-czechosłowacka wyłączałaby politykę podziału w porozumieniu z Rosją.

Nie mamy wiele czasu przed sobą. Jeżeli bowiem pozycja Rosji będzie słabnąć — jeżeli doszłoby do zaostrzenia konfliktu rosyjsko-chińskiego — jeżeli inicjatywy Moskwy zorganizowania europejskiej konferencji bezpieczeństwa spałą na panewce — wszystko to przyspieszy porozumienie rosyjsko-niemieckie wraz z jego konsekwencjami.

Rosja dążyć będzie do „odprężenia” w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi w nadziei, że na tej drodze sparaliżuje wpływy tych polityków w Ameryce, którzy proponują zbliżenie pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Polityka „odprężenia” grałaby na korzyść Niemiec ponieważ załatwienie „kwestii niemieckiej” jest jedynym warunkiem wysuwany pod adresem Moskwy przez Zachód. Istnieje „kwestia niemiecka” — lecz nie istnieje „kwestia polska” czy „kwestia czechosłowacka”.

PRL nie jest na pewno finalnym kształtem Polski. Lecz nie wiemy czy alternatywą PRL będzie Polska wolna i niepodległa.

Jeżeli Polacy, Czechosłowacy i Węgrzy w bliskiej przyszłości nie zdobędą się na przemyślaną i odważny wysiłek wydobywania się z potrzasku — jeszcze za naszego życia doczekamy się porozumienia rosyjsko-niemieckiego. Wówczas losy Wschodniej Europy będą przypieczętowane na bardzo długo.

◆

Rosjanie wystąpili z całą brutalnością przeciwko reformacji czechosłowackiej lecz nacjonal-komunizm PRL w pełni aprobuje. Nacjonal-komunizm z jednej strony daje upust dynamice narodowej — z drugiej strony wyłącza scalenie. Nacjonalizm dzieli a nie łączy. Z tych przyczyn sądzę, że Rosjanie będą popierali nacjonal-komunizm w Europie Wschodniej. Antysemityzm, totalizm o charakterze „narodowo-endeckim”, pseudo-mocarstwowość, front narodowy jako nowa forma „OZONU” — wszystko to stanowi realizację marzeń polskiej reakcji. Klaudiusz Hrabek miał rację twierdząc, że komuniści robią dziś „naszą” politykę. Ideowych komunistów jest coraz mniej, ale na reakcjonistów można liczyć zawsze. Z rosyjskiego imperialnego punktu widzenia wszystko co dzieli jest dobre — wszystko co łączy jest złe. Nacjonal-komunizm jest groźny w Chinach lecz nie w Polsce czy w Rumunii.

Na emigracji większość moich rówieśników mniema, że kiedyś naród powstanie przeciwko najeźdźcy. Komuniści, nacjonal-komuniści, byli endecy, antysemita, i masy polskich nacjonalistów bez politycznego wyznacznika, z obecnego stanu rzeczy w Polsce są w większej lub w mniejszej mierze zadowoleni. Niezadowoleni są tylko aktywni i potencjalni rewolucjoniści — oraz większość proletariatu robotniczego.

Komunizm w krajach którym brak głębszej tradycji demokratycznej ewoluuje w kierunku narodowego, totalnego „socjalizmu” czyli faszystwu. Stawka na anty-komunistyczną kontrrewolucję straciła wszelki sens, ponieważ kontrrewolucja jest w toku. W Czechosłowacji — która posiada tradycje demokratyczne — komunizm ewoluował w kierunku socjalizmu demokratycznego. Ten proces został zdławiony kontrrewolucyjnymi siłami Breżniewa-Ulbrichta-Gomułki.

Stalinowców w Rosji czy w Polsce łączy z nacjonalistami wspólna postawa totalistyczna i wspólna nienawiść do demokratycznego socjalizmu.

Polityka niepodległościowa polska, czechosłowacka czy węgierska może być tylko socjalistyczna ponieważ tylko socjalizm stanowi antytezę zarówno komunizmu jak i nacjonalizmu względnie stalinizmu, który stanowi zlepek komunizmu z nacjonalizmem.

Jednym z największych atutów komunistów w Polsce jest fakt, że bardzo znaczny procent Polaków w Kraju i na emigracji uważa socjalizm za kuzyna komunizmu. Działa w tym wypadku zarówno rodzima ciemnota jak i koncepcje tzw. frontów ludowych. Trzeba jednak pamiętać, że poprzez fronty ludowe komuniści nigdzie w Europie Zachodniej nie zdobyli władzy — natomiast poprzez sojusz z nacjonalistyczną reakcją w Polsce utrzymują się przy władzy. Nie socjaliści popierają „zmoczarowany gomulizm” lecz ową rodzimą formę faszyzmu popierają paxowcy, ex-endecy i hurra-nacjonaści.

W warunkach polskich nie można być anty-komunistą i anty-socjalistą równocześnie. Kto jest anty-socjalistą — czy chce czy nie chce — jest *de facto* sojusznikiem komunistów, którzy socjalistów demokratycznych uważają słusznie za swoich głównych wrogów.

Wydaje mi się, że istnieje przed nami tylko jedno wyjście. Anty-stalinowcy — tak w partii jak i poza partią — winni szukać platformy wspólnego porozumienia. Jeżeli anty-stalinowskie podziemie działa aktywnie w Sowietach — dlaczego nie miałyby działać w Polsce? Jeżeli w Sowietach krążą podziemnie książki, manuskrypty, manifesty, listy otwarte — dlaczego w Polsce Ludowej miałyby to być niemożliwe? Trzeba jeszcze dodać, że podziemie anty-stalinowskie w Sowietach jest całkowicie izolowane. Nie byłoby izolowane gdyby w Polsce i w Czechosłowacji doszli do władzy zwolennicy komunizmu z ludzką twarzą.

Jestem przeciwnikiem wszelkiej spontaniczności w polityce. Musi się działać planowo w ramach konkretnej koncepcji.

Zarówno komunizm włoski jak i jugosłowiański określić można mianem komunizmu z ludzkim obliczem. Ewolucja jaka dokonała się w Jugosławii jest szczególnie godna podkreślenia ponieważ, w przeciwieństwie do Włoch — komuniści są partią rządzącą w Jugosławii.

Reformacja czeska była próbą zorganizowania modelu komunistycznego z ludzkim obliczem w sferze wpływów Sowietów. Jedną z przyczyn upadku reformacji czechosłowackiej była jej całkowita izolacja. Koncepcja była słuszna lecz uznać należy za pewnik, że żadne państwo satelickie w Europie Wschodniej nie może zapewnić sukcesu ewolucji, rewolucji czy powstaniu — w izolacji.

Polska i Czechosłowacja nie mają powodu budować identycznych ustrojów socjalistycznych. Pomiedzy włoskim a jugosłowiańskim komunizmem istnieją poważne różnice. Lecz obie partie łączy anty-stalinowska postawa co powoduje, że tak włoscy jak i jugosłowiańscy komuniści odrzucają doktrynę Breżniewa.

Polscy i czechosłowaccy anty-stalinowcy winni szukać porozumienia tylko w najszerzej lecz i zasadniczej płaszczyźnie. Istotny jest tylko jeden punkt tzn. odrzucenie stalinizmu (totalizmu) i zaangażowanie się po stronie komunizmu z ludzkim obliczem.

Różnorodność jest do osiągnięcia tylko poprzez jedność. Inaczej mówiąc Polacy i Czechosłowacy będą mogli realizować i obronić swoje indywidualne modele socjalizmu wówczas — gdy w podstawowych punktach będą zgodni i gotowi do solidarnej akcji.

Reformacja czechosłowacka była dziełem ewolucjonistów a nie rewolucjonistów. Osobiście jestem ewolucjonistą lecz nie typu czechosłowackiego. Ewolucjoniści muszą być przygotowani do demonstracji siły — muszą być gotowi do przedzierzgnięcia się w rewolucjonistów, jeżeli sytuacja tego wymaga. Ewolucja i rewolucja — jak podkreślałem to wielokrotnie — nie są celami same w sobie tylko metodami działania. Liczy się nie metoda lecz realizacja programu. Ewolucjoniści, którzy z góry rezygnują z użycia siły, bez względu na układ sytuacyjny — rezygnują w rzeczywistości z realizacji swojego programu na drodze pokojowej. Stalinowcy bowiem — mogą zrezygnować z użycia siły przeciwko postępowcom i reformatorom tylko wówczas, gdy przywódcy w Moskwie będą pewni, że odpowiedzią na siłę będzie siła.

Gdyby w Polsce i w Czechosłowacji zwyciężył z czasem komunizm z ludzką twarzą — powstałby potężny blok „komunizmu otwartego”, który obejmowałby komunistów polskich, czechosłowackich, węgierskich, jugosławiańskich, włoskich i — nie wątpię — francuskich. Wówczas anty-stalinowskie podziemie w Związku Sowieckim mogłoby podnieść głowę.

Program piękny — zauważy w tym miejscu Czytelnik krajowy — ale „czym to się je”, jak to się robi?

Przemian społecznych, przebudowy ustroju, jeśli trzeba — rewolucji — nie robią „inni” ludzie, tylko Ty, Czytelniku. W Polsce nie będzie nigdy demokracji dopóki Ty, Czytelniku, nie uświadomisz sobie w pełni, że demokracja zaczyna się od Ciebie i walka o nią, a następnie jej obrona, nie jest zadaniem „innych ludzi” tylko Twoim. Ustroju demokratycznego nigdzie nie budowano inaczej i innej drogi do demokracji nie ma.

FUTUROLOGIA POLSKA

Polacy mają na ogół pogardliwy stosunek do polityki. Można tłumaczyć Szekspira — można pisać eseje o kulturze antycznej — lecz pisanie o polityce nie jest zajęciem godnym intelektualisty. Tkwi w tym pewien paradoks. Publicystyka jest dziś dyscypliną tak trudną, że powątpiewam czy w ogóle można być dobrym publicystą. Polityczny pisarz winien być socjologiem, ekonomistą, naukowcem politycznym (*political scientist*), powinien znać sześć głównych języków światowych, czytać około 15-tu książek tygodniowo i około trzydziestu gazet i tygodników dziennie. To wszystko przekracza siły i możliwości jednego człowieka, choćby najbardziej zamięłowanego w swoim zawodzie.

Od polityki zależy wszystko. Wolność osobista, wolność prasy, niezawisłe sądy, służby społeczne, szkolnictwo, kultura. Człowiek, który deklaruje swoją a-polityczność — umywa ręce i *de facto* oświadcza, że to wszystko nic go nie obchodzi. A-polityczność jest więc równoznaczna z postawą antyobywatelską i antyspołeczną.

Przez pokolenia dla Polaków polityka oznaczała politykę zaborczą. Polacy studiowali historię lecz polska *political science* nie miała szansy się urodzić. Podobnie było z dziennikarstwem. Za czasów mojej młodości nie istniały szkoły dziennikarskie. Dziennikarze dzielili się wówczas na dwie kategorie: dziennikarzy z talentu i dziennikarzy z przypadku. Procent dziennikarzy, którzy nie ukończyli wyższych studiów był bardzo znaczny. Żaden inny zawód nie stanowił przytułku dla takich mas dyletantów i nieuków jak dziennikarstwo.

Politycznych pisarzy całą gębą mieliśmy zaledwie kilku. Tych kilku nie zdołało przełamać nieufności do polityki zarówno szerokich mas jak i intelektualistów. Wychodziły w Polsce przed wojną wykwitne pisma literackie jak *Skamander*, lecz periodyków poli-

tycznych na poziomie amerykańskiego kwartalnika pt. *Foreign Affairs* — nie było.

Publicystyka była sub-gatunkiem literackim podobnie jak w XIX wieku. U większości autorów nigdy nie było wiadomo gdzie kończy się literatura a zaczyna się publicystyka i na odwrót. Klasycznym przykładem w tej sprawie jest Józef Mackiewicz. Byliśmy wychowani w tradycyjnym przekonaniu, że narodowi przywodzi wielka literatura a nie pisarze polityczni. Piłsudski cytował Słowackiego a nie Lubeckiego. Istniała dziwaczna przepaść pomiędzy patriotyzmem a polityką. Patriotyzm to był „Karmazynowy Poemat”, „Wolność Tragiczna”, szopenowska muzyka, teatr narodowy z „Weselem” na czele. Polityka natomiast to była „kiełbasa wyborcza”, napaści i wyzwiska oraz brudne interesy prawdziwe i zmyślane. Fakt, że patriotyzm winien wyrażać się poprzez koncepcje polityczne — był obcy dla większości Polaków.

W przeciwieństwie do Anglików i Amerykanów Polacy traktują politykę jeszcze dziś za dyscyplinę podrzędną, którą — o ile można — należy dyskretnie i wstydliwie przemilczać.

Polityków wychowuje ustrój społeczny. Od upadku pierwszej Rzeczypospolitej nie mieliśmy właściwie własnego ustroju społecznego. Po pierwszej wojnie światowej zaadoptowaliśmy francuski wielopartyjny system demokracji. Nie usprawiedliwiając tzw. „zamachu majowego” wypada stwierdzić, że system wielopartyjny nie funkcjonował prawidłowo w naszych ówczesnych warunkach. Stały rząd nie jest równoznaczny z sukcesem. Lecz system, który nie jest w możności wyłonić stałego rządu nie osiąga nigdy sukcesu. Rząd, który nie ma zapewnionych przynajmniej 5-ciu lat istnienia — nie może ani planować gospodarki ani podejmować żadnych długofalowych reform społecznych.

Czy byłoby rzeczą możliwą w sprzyjających warunkach wprowadzić w Polsce system dwupartyjny? Jak wiemy w systemie dwupartyjnym inne partie nie są zakazane lecz alternatywne rządy ograniczają się tylko do dwóch głównych partii.

Partia Pracy i Partia Konserwatywna to są dwa różne ugrupowania polityczne — lecz to nie są partie antagonistyczne. Tak socjaliści jak i konserwatyści akceptują *welfare state* — tak jedni jak i drudzy akceptują brytyjski tradycyjny system demokracji i różnice pomiędzy obu partiami sprowadzają się właściwie do spraw administracyjno-gospodarczych. Tak zwany „gabinet cieniów” Labour Party i gabinet konserwatystów — to są dwie ekipy ekonomistów, administratorów i ekspertów, którzy walczą o władzę. Ideologia w tej walce odgrywa rolę marginesową a często dekoracyjną. To są konkurenci, może nawet przeciwnicy, lecz nie antagonistyczni wrogowie.

U nas te sprawy przedstawiają się zupełnie inaczej. Bez względu na to kto nami w danym okresie rządzi — Polaków można podzielić na dwie grupy. Po jednej stronie będziemy mieli ludzi lewicy — zaczynając od rewizjonistów, rewolucjonistów, neomarksistów i na staroświeckich socjal-demokratach kończąc. Mówimy o poglądach i postawach a nie o przynależności partyjnej. Podobnie prawica polska składa się nie tylko z endeków, wyznających Dmowskiego, lecz obejmuje również nacjonalistów, konserwatystów, i setki tysięcy ludzi dla których słowo „lewica” jest terminem podejrzany.

Przyjmijmy, że owe różnorodne elementy prawicowe organizują endecy — a lewicę, bez względu na jej fragmentaryzację, organizują socjaliści. Lecz nawet wówczas układ polityczny w Polsce nie przypominałby w niczym systemu angielskiego. Endecy nie stanowią alternatywy socjalizmu ponieważ wyznają ideologię, która jest antagonistyczna w stosunku do socjalizmu. Gdyby — powiedzmy dla przykładu — po pięciu latach rządów socjalistów przyszli do steru endecy — rozpoczęliby swe rządy od likwidacji socjalizmu. Socjaliści i endecy to nie są dwie różne administracyjno-technokratyczne ekipy. W gruncie rzeczy to są dwie antagonistyczne ideologie i endecy nie dążą do współpracy z socjalizmem, ale dążą do jego likwidacji. W polskich warunkach olbrzymią rolę w tych sprawach odgrywa kościół, który poparłby raczej katolicką narodową prawicę niż laicki socjalizm.

Gdyby w przyszłej Polsce istniała ortodoksyjna partia komunistyczna — nie wykluczam, że w pewnych sytuacjach mogłoby dojść do porozumienia pomiędzy endekami a komunistami przeciwko socjalistom. Gdyby ówczesna polska partia komunistyczna była nacjonalistyczna i totalistyczna — znalazłaby daleko łatwiej wspólny język z endekami niż z socjal-demokratami.

Owe antagonistyczne postawy prawicy i lewicy polskiej powodują, że problem ustrojowy w naszym kraju jest kwadraturą koła.

Celem systemu demokratycznego nie jest umożliwienie wyborcy głosowania na dziesięć różnych partii. Celem głównym i zasadniczym systemu jest umożliwienie wyłonienia poprzez wybory rządu alternatywnego. Założeniem brytyjskich konserwatystów nie jest likwidacja socjalizmu i Labour Party — tylko zapewnienie Brytyjczykom innego rządu. Gdyby konserwatyści postawili sobie za cel likwidację Labour Party i socjalizmu — mielibyśmy w Anglii wojnę domową a nie demokrację.

Wielopartyjność nie gwarantuje demokracji. Jeżeli w danym kraju mamy dwie potężne partie o antagonistycznie sprzecznych programach i ideologiach — jest oczywiste, że silniejsza z owych

dwu partii dążyć będzie do zagarnięcia całej władzy, której użyje bez wahania do zlikwidowania politycznych przeciwników.

Do czego zmierzają powyższe uwagi?

Pragnąłem wykazać, że demokracji nie gwarantuje wielopartyjność. Demokrację gwarantują tylko demokraci. Jeżeli w danym kraju demokratów nie ma — względnie są nieliczni — żadna ustrojowa struktura, choćby pomyślana jak najbardziej demokratycznie — nie zapewnia demokracji.

Rzetelny demokratą gotów jest w dobrej wierze współpracować z każdym — komunistów nie wyłączając — ponieważ swojego programu nie uważa za antagonistycznie sprzeczny z innymi politycznymi programami. To jest ów „zgniły” i pogardzany liberalizm, bez którego ustrój demokratyczny jest nie do pomyślenia.

Trzeba również z naciskiem podkreślić rzecz następującą. Nikt nie może wymagać od endeka czy socjalisty by programów swoich partii nie uważali za słuszne. Lecz co innego jest program swojego stronnictwa uważać w ogólnym zarysie za słuszny — a co innego jest uważać ów program za wyłączną i jedyną prawdę. Jeżeli bowiem dany program partyni uznajemy za jedyną i wyłączną prawdę — jest wówczas oczywiste, że programy innych stronnictw muszą być kłamliwe i fałszywe. Tu jesteśmy u źródła owej antagonistycznej sprzeczności o której mówiłem powyżej, Partia, która uważa się za dzierżycielkę wyłącznej i jedynej prawdy — zajmuje antagonistyczne pozycje w stosunku do wszystkich innych partii i programów. Zbędne dodawać, że antagonizm wyłącza jakąkolwiek demokrację.

Na emigracji znaczny procent ludzi jest antyliberalny, antykomunistyczny i w swojej własnej ocenie — demokratyczny. Nie wystarczy nazwać się „Narodową Demokracją” by mieć cokolwiek wspólnego z demokracją. Nie wystarczy również być antykomunistą. Musi się być liberałem jeżeli chce się być demokratą — ponieważ *nie istnieje na świecie antyliberalna demokracja*. Z chwilą kiedy demokracja przestaje być liberalna — przestaje równocześnie być demokracją.

Kto jest liberałem? Liberałem jest człowiek, który podpisuje się pod słowami prof. Toynbee’ego, że nie ma jedynej prawdy i nie ma wybranego narodu. Jestem z przekonania socjalistą. Nie oznacza to jednak bym uważał, że socjalizm demokratyczny jest jedyną i wyłączną społeczną filozofią. Socjalizm z całą pewnością będzie ewoluował i pewne jego tezy zostaną odrzucone a nowe tezy sformułowane. Ponieważ jestem zarówno liberałem jak i socjalistą stać mnie na stwierdzenie, że pewne tezy w programie Stronnictwa Narodowego są słuszne. Jestem przeciwnikiem

endecji ponieważ endecy w większości nie są liberałami — co ich reklamowaną demokratyczność stawia pod znakiem zapytania.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że głoszę relatywizm polityczny i ideologiczny. Mieszkam na demokratycznym Zachodzie niemal od 30 lat i gdybym miał zdefiniować demokrację w jednym zdaniu powiedziałbym co następuje: demokracja jest kultem relatywizmu. Kto odrzuca relatywizm — odrzuca liberalizm i tym samym odrzuca demokrację. Ponieważ jak podkreśliłem powyżej — nie ma i nie może być antyliberalnej demokracji. Tak zwane „demokracje ludowe” są antyliberalne i z tej przyczyny nie są demokratyczne.

Mówiąc o liberalizmie nie mam na myśli programu żadnej partii liberalnej. Przez liberalizm w tym kontekście rozumiem postawę kulturalno-społeczną. Polacy są urodzonymi „wolnościowcami”. Można powiedzieć, że wolność jest naszym zawodem. W każdym przemówieniu i w każdym artykule wolność jest wymieniana dziesiątki razy. Równocześnie, w większości nie jesteśmy liberałami. Z tej przyczyny naszego umiławania wolności nie można identyfikować z umiławaniem demokracji. Polacy przez wolność rozumieją niepodległość i nic więcej. Sprawa przedstawia się podobnie w innych krajach wschodnioeuropejskich z wyjątkiem Czechosłowacji. Z powyższych przyczyn obawiam się, że nawet przy korzystnej koniunkturze — demokracji w Polsce nie będzie w najbliższym czasie. Nie może być demokracji tam, gdzie nie ma demokratów, względnie tam, gdzie demokraci stanowią mniejszość. Możemy odzyskać niepodległość lecz odzyskanie niepodległości nie jest równoznaczne z demokracją.

Cóż nam więc pozostaje? Wydaje mi się, że w sprzyjającej sytuacji powinniśmy uczynić wszystko, by nie wpaść z deszczu pod rynnę. Rozumiem przez to zastąpienie komunizmu taką czy inną formą reakcyjnej dyktatury. W Polsce nie ma endecji jako partii — lecz są setki tysięcy endeków, którzy nawet nie wiedzą, że są endekami.

Jeżeli na skutek przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych komunizm w Polsce zacznie się walić — pojawi się nie tylko Dubczek lecz i Moczar. Obu tych nazwisk używam jako symboli pewnych określonych postaw. Z jednej strony będziemy mieli nacjonal-komunizm — z drugiej strony socjalizm o ludzkim obliczu. W sytuacji, którą rozpatrujemy — endecy ci z legitymacją partyjną i ci bez legitymacji — mogą poprzeć masowo „Moczara” — głównie z tej przyczyny by nie dopuścić do triumfu socjalizmu w Polsce. Polska przemieniona w Czechosłowację z okresu przed inwazją — byłaby politycznym grobem endecji. Leżałoby we wspólnym interesie tak nacjonal-komunistów jak

i endeków nie dopuścić do przekształcenia się Polski w Czechosłowację typu Dubczeka. „Dubczekizm” w polskim wydaniu nie byłby stuprocentową demokracją — lecz byłby ustrojem nie reakcyjnym i w naszych warunkach najbardziej zbliżonym do demokracji. Socjalizm z ludzkim obliczem otwierałby drogę — może długą i mozolną do ustroju demokratycznego.

Endecy uważają się za demokratów. Demokrację można pojmować rozmaicie. Pewne natomiast jest, że endecy są antyliberałami, nacjonalistami i wrogami socjalizmu. Każda rewolucja w Polsce będzie miała nie tylko socjalistyczne lecz i nacjonalistyczne skrzydło. Endecy z całą pewnością poprą tych, którzy będą zwalczali socjalistów.

Każda rewolucja jest w gruncie rzeczy wojną domową. Byłoby naiwnością przypuszczać, że w sprzyjających okolicznościach zjawi się polski Dubczek, który porwie za sobą cały naród. Te same sprzyjające okoliczności, które umożliwią wydobycie się na powierzchnię postępowym socjalistom — stworzą również szanse dla prawicy i reakcji.

Za Dubczkiem stał istotnie cały naród lecz wszyscy Czesi i Słowacy zdawali sobie sprawę z kryzysowej sytuacji i z zagrożenia z zewnątrz. Gdyby w owym czasie Rosja była uwikłana w konflikcie na Dalekim Wschodzie i nie mogła pozwolić sobie na interwencję — Dubczek musiałby przeprowadzić batalię z rodzimą reakcją, ponieważ grupy antysocjalistyczne nie dałyby za wygraną. Również gdyby nie było zagrożenia z zewnątrz — Dubczek nie byłby popularnym bohaterem narodowym tylko jednym z reformistycznych przywódców.

Twierdzenie, że w Czechosłowacji cały naród stał przeciwko Rosji jest nieścisłe. Reakcyoniści byli gotowi do kolaboracji ponieważ uważali, że wszystko jest lepsze od reformizmu Dubczeka.

W ostatecznym jednak obrachunku rewolucję trzeba wygrać nie przeciwko Rosji tylko przeciwko własnej reakcji. Rewolucja tym różni się od powstania, że w pierwszym rzędzie jest problemem wewnętrznym. Innymi słowy — jak to podkreśliłem uprzednio — rewolucja jest zawsze wojną domową, krwawą lub bezkrwawą, prowadzoną przez siły postępu i reformy przeciwko zmobilizowanej reakcji.

Zgadzam się z tezą, że stalinizm nadaje się na złom. Lecz celem rewolucji czy przewrotu w sprzyjających okolicznościach — może być tylko socjalizm a nie dyktatura nacjonalistyczna.

W moim przekonaniu rewolucje w krajach wschodnioeuropejskich rozegrane zostaną przez komunistów. W chwili gdy Rosja zostanie zaangażowana w konflikcie dalekowschodnim — w chwili gdy widmo interwencji wydatnie zmaleje — komuniści będą

musieli szukać poparcia w masach społeczeństwa. Za postępowcami, nazwijmy ich dla skrótu „dubczekistami” — opowie się klasa robotnicza i inteligencja pracująca. Lecz za „mocarowcami” (podkreślam, że są to tylko symbole rozpoznawcze) — prawdopodobnie opowie się nacjonalistycznie nastrojone wojsko, aparat bezpieczeństwa, urzędnicy a przede wszystkim neo-mieszczaństwo.

Jeszcze raz należy podkreślać punkt następujący. Zakładamy, że rewolucja wybuchnie wówczas gdy widmo interwencji zmaleje. Wówczas przywódcy socjalistycznemu — jeżeli zwycięży tak jak zwyciężył Dubczek — będzie z jednej strony łatwiej realizować program radykalnych reform — z drugiej jednak strony przyjdzie mu znacznie trudniej niż Dubczekowi zjednoczyć za sobą cały naród. Reakcja nacjonalistyczna i prawicowa podniesie głowę usiłując pozbyć się za jednym zamachem socjalizmu i perspektyw demokracji.

Polski Dubczek — jeżeli miałby odnieść pewne zwycięstwo — musiałby uniknąć błędów czechosłowackiego Dubczeka. Są sytuacje, gdzie największym zagrożeniem dla socjalizmu jest... socjalizm. W zapale rewolucyjnym wszyscy równocześnie i zawsze w imię socjalizmu domagają się reform, wolnych wyborów, wielopartyjności i tysięcy innych rzeczy, które realizowane zbyt szybko i bez selekcji prowadzić by musiały do chaosu i bankructwa socjalizmu. Socjalizm ma nie tylko prawo lecz i obowiązek bronięcia swoich pozycji i osiągnięć.

Należałoby uniknąć następującej sytuacji. Reakcyjna prawica domagałaby się od polskiego Dubczeka by rozpiśał powszechne wybory i zalegalizował partie prawicowe. Domagano by się tego w imię demokracji, którą identyfikuje się z socjalizmem. Lecz ugrupowaniom prawicowym nic nie zależałoby na demokracji tylko na zlikwidowaniu socjalizmu.

Czy rząd socjalistyczny, który na skutek rewolucji czy przewrotu znalazłby się w Polsce przy władzy miałby obowiązek ulegalizowania partii prawicowych? Oczywiście na emigracji pisało by, że jedynym sprawdzianem demokracji polskiego Dubczeka byłoby gdyby ulegalizował endeków, Falangę, ONR czy jakąkolwiek inną partię nacjonalistyczno-prawicową. Rzecz jasna nie chodzi o nazwy tylko o treść. Partie o których mówimy mogłyby mieć zupełnie inne nazwy niż przed wojną.

Trzeba zapytać co jest naszym celem — czy budowa nowego systemu socjalistycznego czy restauracja wielopartyjnej przedwojennej demokracji? Trzeba również zastanowić się, który z tych systemów stanowi pewniejszą drogę do prawdziwej demokracji i lepiej chroni przed dyktaturą.

Partie o antagonistycznych programach nie mogą z sobą współ-

pod warunkiem, że będą solidarni i zjednoczeni. Akcent spoczywa na słowie „solidarni”. Zjednoczenie nie jest tak istotne. Co to oznacza? Oznacza to, że polscy socjaliści gdziekolwiek by przebywali — powinni solidarnie poprzeć rewolucyjnego polskiego przywódcę gdy się pojawi, pomimo, że na pewno nie wyjdzie on z kół PPS.

Szkic niniejszy — jak wskazuje tytuł — dotyczy przyszłości. Nie było moim zamiarem uprawiać propagandy na rzecz socjalizmu. Sądzę, że gdybym był konserwatywnym publicystą brytyjskim czy francuskim, zaproszonym przez redakcję *Kultury* do wypowiedzenia się na powyższy temat — ująłbym ten temat podobnie.

Nie mam nic przeciwko konserwatystom, pod warunkiem, że są liberałami. Niestety komunizm ureakcyjnił naszych konserwatystów. Nie istnieje nawet pojęcie „otwartej prawicy” w analogii do „otwartego socjalizmu”. Z tych przyczyn socjalizm z ludzkim obliczem wydaje mi się najlepszym „przedszkolem” demokracji dla odrodzonej Polski.

Kultura nr 6/273, czerwiec 1970

Wszyscy ze wszystkimi prowadzą dialog. Katolicy z Protestantami — Anglikanie z Metodystami — Marksści z Liberałami itd., itp. Pokojowa koegzystencja oparta jest na szukaniu „płaszczyzn porozumienia” czyli na dialogu. Wydaje mi się, że jeszcze nigdy w historii nie było tylu dialogów i równocześnie tak mało wzajemnego zrozumienia.

Ci, którzy biorą udział w owych rozlicznych dialogach, nie zdają sobie sprawy z faktu, że porozumienie, względnie zrozumienie pomiędzy stroną A i stroną B to nie jest wszystko. Stronie A musi być wolno zrozumieć stronę B i musi być wolno jawnie stwierdzić ów fakt.

W roku 1956 wśród wielu Polaków z Kraju, którzy mnie odwiedzili — złożył mi również wizytę p. Jerzy Wiatr. Rozmawialiśmy przyjaźnie i bez trudu znaleźliśmy wiele płaszczyzn porozumienia. Lecz wówczas wolno nam było szukać porozumienia. W owym okresie kilku redaktorów z Warszawy i z Krakowa przeprowadziło ze mną „dialog” telefonicznie.

Wówczas przekonałem się, że podstawowym warunkiem porozumienia jest zezwolenie na szukanie porozumienia. Ludzie wykształceni i dobrej woli porozumiewają się ze sobą stosunkowo łatwo. Natomiast rządy, aparaty partyjne i reżymy porozumiewają się ze sobą trudno.

Z powyższego faktu można wyciągnąć dwa całkowicie odmienne wnioski. Można przyjąć pogląd, że dialogi są bez sensu. Do porozumienia dojść nie może, ponieważ nie wolno go osiągnąć. Drogę zagraadza *establishment* sowiecki czy polski i wprawdzie trzeba by owe reżymy obalić, by porozumienie uczynić osiągalnym.

Lecz można również wnioskować, że reformacja reżymów totalnych związana jest w jakiś sposób z dialogiem. Gdyby było

inaczej reżym komunistyczny w Polsce nie mobilizowałby tak wielkiej ofensywy przeciwko tym instytucjom na Zachodzie, które szukają porozumienia z ludźmi w Wschodniej Europie. *Kultura* jest atakowana i potępiana przez czynniki reżymowe nie za swój antykomunizm — lecz przeciwnie za swój pogląd, że ze zreformowanym komunizmem dialog i porozumienie byłyby możliwe.

Gdybyśmy mieli spełnić „zamówienie społeczne” Gomułki należałoby przyjąć stanowisko bezkompromisowe. Odrzucając wszystkie możliwości dialogu przestalibyśmy być groźni.

Dlaczego reżym boi się wszelkich form dialogu? W tym wypadku — jak i we wszystkich innych sprawach społecznych — decyduje prawo większości. Większość polskiego społeczeństwa znalazłaby niepomiarnie więcej punktów stykowych z ludźmi na Zachodzie niż rządzący owym społeczeństwem biurokratyczny aparat. To samo dotyczy Związku Sowieckiego. Ryzykuję pogląd, że nigdy dotąd w dziejach Rosji nie było tak licznej warstwy uczonych i inteligencji, która łatwiej niż w przeszłości nawiązałaby dialog z Zachodem gdyby to było dozwolone.

Większość wojen, konfliktów, kryzysów, uprzedzeń, nienawiści rasowych itd. — bierze swoje źródło z ignorancji. Gdyby upowszechnienie informacji, które pod względem technicznym nie przedstawia żadnych trudności — zostało urzeczywistnione w skali globalnej — sprawa pokoju zyskałaby na tym niepomiarnie.

Kłamstwo i dezinformacja odgrywały zawsze w polityce olbrzymią rolę. Weźmy konflikt rosyjsko-chiński. Dla Rosjan prawdą w tej sprawie jest to co pokrywa się z interesem Sowietów i rządzącej na Kremlu biurokracji. Dla Chińczyków prawdą jest to co pokrywa się z interesem Chin i rządzącej w Pekinie biurokracji. Za tydzień czy za miesiąc może wybuchnąć wojna atomowa sowiecko-chińska o nieobliczalnych wprost konsekwencjach, lecz nikt nigdy nie dowie się obiektywnej prawdy o tej katastrofie.

Nikt nigdy nie dowie się prawdy obiektywnej ponieważ w tych sprawach nie ma prawdy obiektywnej. Polityka nie jest zainteresowana prawdą obiektywną tylko sukcesem lub zwycięstwem. Prawda historyczna jest mitem. Wystarczy przeczytać kilkanaście książek historycznych z okresu ostatniej wojny światowej by się przekonać, że ważniejsze wydarzenia mają dwie lub trzy wersje, przy czym każda wersja ma zarówno pretensje jak i tytuły do obiektywizmu.

Weźmy przykład z naszego domowego podwórka. Prawda historyczna o tzw. zamachu majowym wygląda inaczej w ujęciu piłsudczyków i inaczej w ujęciu pisarzy opozycyjnych. Ktoś powie, że nie może być dwóch różnych prawd. Jedna relacja musi być prawdziwa a druga błędna. Często tak jest, lecz nie zawsze.

Tzw. prawda historyczna w większości wypadków składa się z dwóch elementów. Owe dwa elementy stopione są w nierozdzielalną całość. Mam na myśli stan faktyczny i zaangażowanie uczestników. Zaangażowanie osobiste jest czynnikiem ważniejszym od stanu faktycznego — ponieważ poprzez perspektywę osobistego zaangażowania patrzymy na rozgrywający się dramat, jak również w skali naszego zaangażowania analizujemy i oceniamy dane wydarzenia.

To samo dotyczy publicystyki, która komentuje bieżącą historię, tzn. politykę. Nigdy nie było i nigdy nie będzie obiektywnej publicystyki. Analizę faktów można i trzeba udokumentować rzeczowo. Analiza polityczna jest niezmiernie ważna i wymaga fachowego przygotowania oraz wielu lat doświadczenia. Lecz publicystyki nie mierzy się analizą tylko wnioskami. Analizę można poprzeć faktami — wniosków nie można poprzeć faktami. Wnioski przyjmujemy „na wiarę” jeżeli darzymy zaufaniem danego publicystę.

Weźmy przykład ze sceny londyńskiej. Zarówno Victor Zorza jak i prof. Z. Stahl są zawodowymi sowietologami. Od wielu lat studiują prasę sowiecką i wszystkie dostępne materiały. Jednak ze stanu faktycznego i identycznych dostępnych im materiałów Zorza i Stahl wyciągają biegunowo różne wnioski. Okazuje się więc, że analiza stanu faktycznego nie jest czynnikiem najważniejszym. Istotne jest zaangażowanie i osobista postawa pisarza, które determinują zarówno analizę jak i wnioski. To jest typ subiektywizmu przed którym nie ma ucieczki.

Do czego zmierzają te uwagi? Chciałem wykazać, że dialog jest możliwy tylko pomiędzy pluralistami — to znaczy pomiędzy ludźmi, którzy podpisują się pod słowami Toynbee'ego, że *there is no unique truth and there is no chosen people* (nie ma jedynej prawdy i nie ma wybranego narodu).

Pomiędzy pryncypialistami dialog nie jest możliwy, bo w takiej sytuacji dać się przekonać stronie przeciwnej oznacza zdradzić swoje dogmatyczne zasady, które uważa się za *unique truth*. Ponieważ nie może być dwóch jedynych prawd — dialog pomiędzy dogmatykami nie ma żadnej szansy sukcesu.

Skrajny relatywizm podobnie jak skrajny dogmatyzm — nie może stanowić fundamentu ani dialogu ani porozumienia. Jeżeli wszystko jest względne i niepewne — nie ma powodu jednego relatywnego poglądu przeciwstawiać drugiemu relatywnemu pogładowi. Jakie jest więc wyjście z tego dylematu?

W moim przekonaniu największe szanse porozumienia zapewnia postawa naukowego humanizmu. Naukowy humanizm zakła-

pogląd, że myśl świecka jest głównym źródłem reformy. Napór laikatu na aparat kościołów stale rośnie i ów napór spowodował wiele zasadniczych przemian.

W moim przekonaniu podobna sytuacja zaczyna zarysowywać się w sferze polityki. Wpływ laikatu politycznego stale rośnie ponieważ „kościół” polityczny, tak na Wschodzie jak i na Zachodzie, nie dość szybko postępuje z duchem czasu. Kościoły polityczne, podobnie jak kościoły religijne, niechętnie poddają się reformom i czynią to tylko pod naporem.

Ostatnio fala strajków w zakładach Forda wstrząsnęła Anglią. W Anglii — w przeciwieństwie do Francji — nigdy nie było prawdziwej rewolucji. Dlaczego? Wydaje mi się, że Anglia uniknęła rewolucji z dwóch przyczyn — po pierwsze parlamentaryzm rozwinął się w tym kraju szybciej i pełniej niż gdzie indziej — i po drugie, klasa robotnicza przywykła uważać parlament za swego obrońcę a maszynię demokratyczną za jedyną i zadawalającą instytucję negocjacyjną.

Brak wspólnego języka pomiędzy robotnikami a rządem, a w pewnych wypadkach nawet pomiędzy robotnikami a związkami zawodowymi — nie dowodzi „zbolszewizowania” brytyjskiej klasy robotniczej, jak oceniają to pewni emigracyjni publicyści. Nie dowodziło to również braku dobrej woli ze strony rządu Labour Party, który dba o interesy robotników więcej i lepiej niż większość innych rządów europejskich. Ów brak wspólnego języka dowodzi natomiast, że maszynia nie tylko związków zawodowych lecz również rządu i parlamentu dojrzała do reformy. Ponieważ owa maszynia jest zbyt staroświecka by funkcjonować sprawnie — robotnicy nawrócili do swej klasycznej metody działania tj. akcji bezpośredniej. W tym sensie robotnicy walczą nie tylko o podwyżkę płac, lecz również i przede wszystkim o przebudowę ustroju Anglii.

jak ich ojcowie 30 lat temu.

Przebudowa ustroju w Europie dokona się pod naporem klasy robotniczej. Inteligencja tylko poprzez sojusz z klasą robotniczą może zdobyć nowy status społeczny. Ów sojusz stanowi widmo, przed którym drżą wszystkie biurokracje a w szczególności biurokracje komunistyczne.



Na emigracji prowadzimy od wielu lat dialog z Krajem. Przeszkodą w owym dialogu jest mur nieporozumień, który rośnie z każdym rokiem. Polityczny laikat w Kraju nie akceptuje w całości oficjalnej wykładni — nie mniej lata indoktrynacji nie pozostały bez skutku.

Skąd inąd inteligentni i wykształceni Czytelnicy wysuwali wielokrotnie pod moim adresem zarzut, że w moich artykułach zbyt często powtarzają się terminy „wolność” i „niepodległość”. To są słowa, które nie licują z intelektualną i postępową publicystyką. Według tych opinii Polska w odczuciu większości Polaków krajowych jest wolna i na pewno bardziej niepodległa niż Szkocja czy Walia. Ponieważ o wolności i niepodległości piszą bez przerwy tzw. „niezłomni” — słowa te w umyśle Czytelnika kojarzą się z reakcyjnym kierunkiem politycznym na emigracji. Owe hasła reprezentują wczorajszą, zdyskredytowaną mitologię narodową, którą operują jeszcze endecy i moczarowcy.

Weźmy dla przykładu inne nieporozumienie, które należy do tej samej kategorii. Leszek Kołakowski przez poważny odłam młodzieży w Kraju uważany jest za ideowego przywódcę. Kołakowski od wielu miesięcy przebywa na Zachodzie i korzysta z pełnej wolności. W Kraju młodzież czeka na jego artykuły. Te

szablonowi ludzi. Konwencje utrudniają dialog w znacznie większym stopniu niż przekonania i poglądy polityczne.

Domaganie się niepodległości dla Wietnamu zgodne jest z konwencjonalną postępowością. Domaganie się niepodległości dla Polski ma poddźwięk reakcyjny. Polacy nie są dobrymi, socjalistycznymi Czechami — lecz przeciwnie są antysemitami, nacjonalistami, i neo-stalinowcami i dlatego mają taki ustrój na jaki zasługują. To jest opinia o Polakach, która przeważa w intelektualnych postępowych kołach na Zachodzie.

Kołąkowski zapewne czytuje *Kulturę* z zainteresowaniem, lecz do nas nie napisze bo zgodnie z konwencją *Kultura* jest pismem emigracyjnym, a więc tym samym białogwardyjskim i reakcyjnym. Postępowy neo-marksista może wyklądać na amerykańskim uniwersytecie czy pobierać amerykańskie stypendia — lecz musi unikać kontaktów z emigracją polityczną, która w myśl obowiązującej konwencji jest bardziej reakcyjna niż wszyscy Amerykanie razem wzięci.

W okresie kiedy socjalizm jest głównym problemem w Europie Wschodniej a tym samym i w Polsce — na emigracji w tej dziedzinie panuje chaos pojęć. Po ostatnim kongresie Ligi Komunistów Jugosławiańskich — *Dziennik Polski*, który nie jest pismem lewicowym — nazwał komunizm jugosławiański „komunizmem z ludzkim obliczem”. Czy to już jest socjalizm — czy pół-socjalizm?

Moskwa rości sobie prawo do wyłącznego decydowania co jest komunizmem a co komunizmem nie jest. Kto ma natomiast decydować o tym czym jest socjalizm?

W moim przekonaniu nie ma innego socjalizmu poza socjalizmem demokratycznym. Demokratyczność oznacza pluralizm, tzn. różnorodność. Socjalizm jest dziś pojmowany bardzo różnorodnie. Nowoczesny ustrój socjalistyczny może być odmienny od modelu

z nimi podjąć dialog?

Na tych łamach wysuwałem wielokrotnie tezę, że na obczyźnie powinien powstać polski niezależny ośrodek lewicowy. W ramach tego typu ośrodka PPS mogłaby odegrać wielką rolę. Wymagałoby to jednak dużej imaginacji i dynamiki. PPS w nowym układzie musiałaby reprezentować nie tylko tradycję i „historyczną schedę” — lecz przede wszystkim „socjalizm otwarty”. Należy pamiętać, że działaczami socjalistycznymi w Kraju będą nie panowie którzy dziś dobiegają siedemdziesiątki — lecz ludzie średniego i młodego pokolenia uformowani w całkowicie różnych warunkach niż my. Ich koncepcje dotyczące socjalizmu siłą rzeczy są w wielu aspektach odmienne od PPS. Przyjęcie postawy „otwartego socjalizmu” oznaczałoby, że gotowi jesteśmy do dialogu z każdym lewicowcem, który odrzuca komunizm w jego totalnej formie.

Przez „otwartość” nie należy rozumieć rezygnacji z zasad. Przyjmując postawę otwartą PPS uznałaby natomiast, że jej program nie jest ostatnim słowem w dziejach polskiego socjalizmu. Program każdej demokratycznej partii socjalistycznej musi podlegać prawu rewizji reformy i odnowy.

PPS reprezentuje historię a rewizjoniści różnych szkół reprezentują projekty i teorie. Nowoczesny polski socjalizm będzie się krystalizował powoli i — jak zaznaczyłem uprzednio — jego ostateczny program nie będzie ani kopią programu PPS ani kopią programów rewizjonistycznych.

Lewicowy ośrodek na emigracji o postawie otwartej — miałby szanse przyciągnięcia młodych ludzi z drugiej i trzeciej fali emigracyjnej. Wówczas ośrodek lewicowy zdobyłby konkretne szanse dialogu z socjalistami w Kraju.

Wydaje mi się, że zbliżamy się do momentu kiedy trzeba — jak mówią Anglicy — zwołać się i policzyć. Coraz wyraźniej zary-

sowuje się następujący schemat sytuacyjny. W Kraju — po jednej stronie moczarowcy po drugiej stronie rewizjoniści. Na górze reżym, słaby i niepopularny. Rewizjoniści rozbici są na frakcje — moczarowcy stanowią zwartą grupę.

Na emigracji układ jest niemal identyczny. Po jednej stronie mamy endeków — najlepiej zorganizowaną i zdyscyplinowaną partię na obczyźnie. Po drugiej stronie mamy lewicowców rozczarowanych i rozbitych na frakcje. Na górze reżym — niepopularny i słaby.

Nie trzeba jednak zapominać, że lewica posiada wielki potencjalny atut, tj. poparcie polskiej klasy robotniczej.

Chciałbym przekonać socjalistów polskich na emigracji — tych z legitymacją partyjną i tych bez legitymacji — że mają wręcz wyjątkową misję do spełnienia, której winni sprostać. Przyszła Polska będzie socjalistyczna nie dlatego, że „przeorał nas komunizm”, nie dlatego, że sąsiadujemy z Rosją — tylko z tej przyczyny, że w przeciwieństwie do Polski przedwojennej klasa robotnicza stanowi dziś ilościowy i jakościowy trzon narodu. Wyzwolenie klasy robotniczej — przywrócenie jej praw demokratycznych będzie równoznaczne z ustanowieniem w Polsce socjalizmu. Robotnicy w Polsce — podobnie jak robotnicy w Czechosłowacji — nie pragną restauracji ustrojów przedwojennych. Ponieważ robotnicy plus postępową inteligencją stanowią większość wyborców będą mieli taki ustrój jakiego zechcą. Demokracja nie polega na zwalczaniu się wzajemnym dwudziestu partii. Demokratyczny jest ustrój jakiego sobie życzy większość wyborców.

Gdy się rozmawia z szeregowym członkiem PPS nie ma trudności w ustaleniu płaszczyzny porozumienia. Lecz partia to jest konwencja — statuty, programy, uchwały — polityczny kościół w którym laikat ma niewiele do powiedzenia. Niniejszy artykuł zaadresowany jest do „socjalistycznego laikatu” do którego sam się zaliczam. Przywódcy powołują się zawsze na „dziejowe dziedzictwo”, tradycję itp. — w przekonaniu, że tylko rodowód historyczny zapewnia ciągłość i trwanie. Nic fałszywszego. Ciągłość i trwanie zapewnia tylko walka o rozwiązanie współczesnych problemów i jeżeli tradycja stoi temu na przeszkodzie — należy tradycję przekazać archiwom.

„List Otwarty do Partii” Kuronia i Modzelewskiego poddałem surowej krytyce. To nie jest typ socjalizmu, który uważałbym za ideał. Niemniej, ponieważ Kuroń i Modzelewski są przeciwnikami komunistycznego totalizmu, uważam ich za tych z którymi byłaby możliwa dyskusja i współpraca. Ich bezkompromisowe oddanie idei socjalistycznej — choć rozumieją ją inaczej niż ja,

czy PPS, nie może być poddawane w wątpliwość. By móc współpracować z ludźmi tego typu trzeba być „otwartym socjalistą” — to znaczy zdawać sobie sprawę, że ani program PPS, ani „List Otwarty do Partii”, ani reformizm czeski — to nie są ostatnie słowa polskiego socjalizmu.

Kultura nr 5/260, maj 1969

ROZMOWY Z MŁODYMI

„Jestem młodym inżynierem i zarabiam 4.000 zł. Skromny samochód kosztuje 60.000 zł. Obliczyłem, że z moich oszczędności będę sobie mógł kupić samochód w 70-tym roku życia”.

Mój rozmówca należy do „przelotnej” emigracji. Pracuje na West End jako *barman* i zarabia £ 20 tygodniowo. Po czterech tygodniach musi wrócić do Kraju. Takich „przelotników” w Londynie i na prowincji w okresach letnim i jesiennym jest bardzo wielu.

Wielu młodych mówiło mi, że przeżyli szok po przeczytaniu kilkunastu numerów *Kultury*. Po prostu nie wyobrażali sobie realnie, że takie polskie pismo może istnieć na świecie. Łatwiej zrozumieć ów szok jeżeli weźmiemy pod uwagę rolę jaką spełniają przemilczenia w polskim systemie społecznym. Wielu inteligentów średniego i starszego pokolenia przyjęło postawę określaną mianem „pozytywnych bezpartyjnych”. Według ocen moich rozmówców „pozytywni bezpartyjni” profesorowie i docenci pełnili haniebne funkcje w okresie tzw. wydarzeń marcowych. Ci panowie są asekurowani na obie strony. Jeżeli jutro zaszłyby jakieś radykalne zmiany to powiedzą, że zawsze byli bezpartyjni. Jeżeli Gomułka będzie rządził przez następne 10 lat — ci panowie pozostaną „pozytywni” w stosunku do reżymu. Bywały wypadki, że partyjni komuniści głosowali wraz ze strajkującymi studentami, natomiast „pozytywni bezpartyjni” zaklinali młodzież by przyjęła warunki... honorowej kapitulacji.

Filozofia „pozytywnych bezpartyjnych” polega na tym, że pewnych rzeczy nie widzą, nie słyszą a przede wszystkim, o pewnych rzeczach nie mówią.

Jeden z moich młodych znajomych opowiedział mi następujący epizod, który charakteryzuje atmosferę domu inteligenta

„pozytywno-bezpartyjnego”. W małej grupie studentów dysku-
towano na temat Czechosłowacji. Ktoś powiedział, że inwazja
Czechosłowacji była poprzedzona inną inwazją w dniu 17 września
1939 roku. Obecna przy tej rozmowie studentka pierwszego roku
— otworzyła szeroko oczy i zapytała: „A cóż się stało 17 września
1939 roku?” Okazało się, że dziewczyna zdała wprawdzie maturę
lecz nie wiedziała, że 17 września 1939 r. wkroczyli do Polski
Bolszewicy. Wyobrażała sobie, że Lwów i Wilno zostały po uwol-
nieniu przez Armię Sowiecką dobrowolnie oddane bratnim na-
rodom. W jej domu o „takich rzeczach” nikt nie mówił, a w pod-
ręcznikach szkolnych nie ma słówka o jakiegokolwiek inwazji.

Młodzi pragną zmian nie z romantycznych lecz z konkretnych
powodów. Inżynier, którego wspominałem na wstępie — powie-
dział mi, że £ 20, które zarabia tygodniowo w Londynie jako
barman mają większą siłę kupna niż 4.000 zł, które zarabia mie-
sięcznie w Warszawie. Ponieważ pracują zarówno on jak i jego
żona — uskładali po 6-ciu latach trochę gotówki, dopożyczyli
resztę i kupili mieszkanie. Lecz w gruncie rzeczy to nie jest kupno
tylko długoterminowy wynajem. Gdyby ów inżynier zginął czy
umarł — jego syn nie odziedziczyłby mieszkania kupionego z ta-
kim trudem — lecz miałby jedynie pierwszeństwo opcji w ponow-
nym kupnie tego samego mieszkania. „Rachmanizmu” tych wy-
miarów nie obserwujemy w krajach Zachodu.

Możemy wyliczać na dziesiątkach stron znane i mniej znane
absurdy życia w PRL. Wszystkie te absurdy tworzą łącznie gigan-
tyczny mur oddzielający młodego człowieka od perspektyw nor-
malnego rozwoju i sukcesu. „Jeżeli nie nastąpią zmiany — przed
nami nie ma żadnej przyszłości” — powtarzali wszyscy moi roz-
mówcy.

Znaczny procent młodych komunistów myśli podobnie. Trud-
no im się dziwić, ponieważ nawet dla młodego człowieka z legi-
tymacją partyjną szanse kariery są znikome. Młodzi nie byli par-
tyzantami ani nie walczyli w AL — nie budowali „zrębów ojczyz-
ny ludowej” — jednym słowem nie byli w „legionach”. Nato-
miast powtarza im się przy każdej okazji, że wszystko mają do
zawdzięczenia Polsce Ludowej, która jednak w rzeczywistości ma
im bardzo niewiele do zaoferowania.

Mołotow posiada specjalny gabinet w bibliotece moskiewskie-
go uniwersytetu i stałą sekretarkę do dyspozycji. Pozycja Ulbrich-
ta w Moskwie jest wyjątkowa, ponieważ sędziwy przywódca
NRD współpracował z Leninem i lubi wypowiadać opinie zaczy-
nające się od sakramentalnej frazy: „wiem z ust Lenina, że...”.
Młodzi w bloku wschodnim stoją *vis-à-vis* piramidy zasłużonych
zaczynając od tych, którzy rozmawiali z Leninem i zdołali prze-

żyć wszystkie czystki — a skończywszy na tych, którzy walczyli w lesie w okresie ostatniej wojny światowej. Młodzi często cytują Putramenta. Pisarz drugorzędny lecz co za kariera. Komisarz polityczny armii, redaktor, poseł, ambasador, dygnitarz partyjny. Wielokrotnie zdolniejszy od niego młody człowiek z ukończonymi wyższymi studiami — nie ma żadnej szansy zdobycia połowy tego sukcesu, który osiągnął Putrament.

Dyskutowałem z młodymi o wydarzeniach marcowych. Zano-
tować można wspaniałe osiągnięcia organizacyjne. Na wydziale elektronicznym U.W. zorganizowano podstęp radiowy na krótkich falach, których używa milicja. Kierownictwo akcji studenckiej poinformowane było o każdym meldunku patrolujących samochodów milicji i o rozkazach nadawanych z komendy milicji. Nie zabrakło również manifestacji solidarności społecznej. W Warszawie zebrano jednego dnia 35.000 złotych i przekazano studentom. Jednak robotnicy nie wyszli na ulicę i Gierek nie poparł studentów — na co w pewnych kołach naiwnie liczono.

Kontakty studentów z robotnikami ograniczają się w praktyce do stosunków rodzinnych. W Polsce to nie jest bez znaczenia ponieważ znaczny procent studiującej młodzieży pochodzi z klasy robotniczej. Wielu moich młodych znajomych sądzi, że gdyby strajk trwał kilka dni dłużej — robotnicy w niedzielę wyszliby na ulicę by zademonstrować swą solidarność ze studentami. Nie podzielał tego poglądu. Jeżeli robotnicy nie zdecydowali się na strajk w dniu roboczym — nie wyszliby na ulicę i w niedzielę.

Co więc należy robić i czy warto cokolwiek robić?

Na młodych deprymująco działa fakt, że Zachód *de facto* uznał podział Europy i dojrzał do oficjalnego ratyfikowania *status quo*.

Hans J. Morgenthau napisał, że polityka amerykańska przez ubiegłe dekady żyła z intelektualnego kapitału wyprodukowanego w okresie 15-tu wiosennych tygodni 1947 roku. W owym okresie politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych dynamizowały i kształtowały trzy potężne koncepcje: plan Marshalla, „Containment” i Doktryna Trumana. Ów kapitał intelektualno-polityczny został wyczerpany. Dziś koncepcji nie ma, pozostała tylko rutyna.

Powyższe trzy doktryny stały się przeżytkiem — lecz nowej generacji politycznych koncepcji nie widać na horyzoncie. Świat wygląda dziś inaczej niż w 1947 r. i galwanizowanie przebrzmiałych doktryn, które w swoim czasie spełniły zadanie — nie prowadzi do niczego.

Polityka Zachodu ma na swym koncie znakomite osiągnięcia. Plan Marshalla — odbudowa Europy — „cudy gospodarcze” Niemiec i Japonii — likwidacja kolonializmu i przekreślenie nadziei Stalina na wielki kryzys gospodarczy, który miał — według ocen

marksistowskich wstrząsnąć od podstaw gospodarką kapitalistyczną w okresie przejścia z ekonomii wojennej na ekonomię pokojową.

Lecz równocześnie tym osiągnięciom w ostatniej dekadzie towarzyszy jałowość polityki. Być może i w tym wypadku jest to problem pokolenia. Ludzie, którzy są na szczycie — jak prez. Nixon — walczyli w czasie ubiegłej wojny — później organizowali i odbudowywali świat zachodni na nowych podstawach — a dziś owo pokolenie jest jak wyczerpany akumulator, który nie produkuje ani energii ani światła.

Spotykałem młodych, którzy twierdzą, że Polska podobnie jak Izrael w pewnej mierze jest zbędna — ponieważ można sobie doskonale wyobrazić poprawnie funkcjonujący system międzynarodowy bez Polski i bez Izraela. Ponieważ Polski niepodległej nie było przez 200 lat a państwa żydowskiego nie było przez tysiące lat — społeczność międzynarodowa nie uważa istnienia tych dwóch państw za dziejową konieczność. Według tej tezy Żydzi w diasporze znaczą niepomrotnie więcej niż Izrael. Czy to nie jest i dla nas właściwa droga? Rozbudowywać i umacniać diasporę do momentu kiedy Polacy zagraniczni będą mieli większe wpływy i znaczenie w świecie niż nasi rodacy mieszkający nad Wisłą. Twórcami niepodległego Izraela byli Żydzi z diaspory i bez nich nie byłoby niepodległego państwa żydowskiego.

Tego typu poglądy wygłaszają młodzi ludzie, którzy uważają, że w PRL nie ma przed nimi ani przed ich dziećmi żadnej przyszłości. Ci ludzie zdecydowani są osiedlić się za granicą i do Kraju nie wracać. To są opinie nie typowe i odosobnione — niemniej charakterystyczne dla nastrojów nurtujących wśród młodych. Młodzież techniczna — inżynierowie wszelkich specjalności ukończeni i ci, którzy kończą studia — zdają sobie doskonale sprawę, że Ameryka, Kanada czy Australia mają im daleko więcej do zaoferowania niż PRL.

Osobiście jestem przekonany, że o ile nie nastąpią zasadnicze zmiany w Europie Wschodniej emigrantów będzie przybywało z każdym rokiem. Lecz pomiędzy starą emigracją a nową emigracją nie ma do tej pory wspólnego języka. Odważniejsi młodzi ludzie z Kraju odwiedzają mnie jako *pupila* Gomułki i jako autora heretyckich książek a nie jako starego emigranta.

Dyskutowaliśmy rolę emigracji, politykę Zachodu a w szczególności Stanów Zjednoczonych — lecz w końcu w każdej rozmowie wracaliśmy do punktu wyjścia: co należy robić by osiągnąć poprawę sytuacji w Kraju?

Niektórzy rozmówcy przyznawali, że w okresie wydarzeń mar-

cowych liczyli na Gierka. Gdyby strajk studencki objął również fabryki i zakłady przemysłowe — gdyby równocześnie strajkowało dziesiątki tysięcy ludzi w głównych miastach Polski — wówczas jeżeli obecne kierownictwo partyjnie nie zdołałoby opanować kryzysu w centralnych władzach partyjnych prawdopodobnie nastąpiłby rozłam. Partia zastosowałaby manewr z okresu Października. Wysunięto by na czoło powiedzmy Gierka, który obiecałby wszystko bez zamiaru dotrzymania czegokolwiek. Po dwóch, trzech miesiącach gdy fala by opadła — Gierek czy ktokolwiek inny, który zastąpiłby Gomułkę — zacząłby powoli przykręcać śrubę i mielibyśmy z powrotem „gomułkizm” tylko bez Gomułki.

Następujące dwa punkty uznać należy za pewniki:

I. Najbardziej imponujący strajk studentów i robotników — nie przemieni Cyrankiewicza, Gomułki czy Gierka w polskiego Dubczeka.

II. Strajk i protest — choćby podjęte na dużą skalę — nie rodzą programu. Strajk, protest, demonstracje — produkują slogany a nie program.

Mówiąc o programie trzeba zdać sobie sprawę do czego się zmierza. Czy do całkowitego obalenia systemu i jego likwidacji — czy do zdemokratyzowania istniejącego ustroju.

Na emigracji przeważa opinia, że celem rewolucji w Europie Wschodniej winna być całkowita likwidacja komunizmu. Muszę powiedzieć, że wśród dziesiątków Polaków z Kraju, którzy odwiedzają mnie każdego roku — nie spotkałem ani jednego, który uważałby likwidację komunizmu na drodze kontrewolucji za propozycję realną w dającej się wymierzyć przyszłości.

To jest zrozumiałe. Studenci i młodzi robotnicy ani nie pamiętają ani nie znają demokracji typu zachodniego. Młodzi Polacy, którzy mieli okazję zapoznać się bliżej z demokracją zachodnią nie zawsze są nią zachwyceni. Wydaje się więc oczywiste, że punktem wyjścia musi być przebudowa obecnego ustroju — ponieważ rosnąca z każdym dniem większość nie zna innego ustroju.

Przekonałem się wielokrotnie, że nawet ci młodzi, którzy odrzucają nie tylko komunizm lecz i socjalizm — w dyskusjach na tematy ustrojowe i społeczne — operują kategoriami socjalistycznymi, ponieważ innych kategorii nie znają.

Czesi i Słowacy mimo poniesionej klęski — są w znacznie lepszej sytuacji niż my. Jeżeli za miesiąc czy za rok koniunktura ulegnie radykalnej zmianie — Czesi i Słowacy powołają Dubczeka i jego zwolenników by realizowali przerwany inwazją „Program Akcji”. Wydaliliśmy w książce „Program Akcji” przede wszystkim

w tym celu by udostępnić go Polakom w Kraju. Z mojego wstępu do tej książki wyjmuję następujący fragment:

„Istnieje podstawowa różnica pomiędzy antykomunizmem a rewizjonizmem. Wadą antykomunizmu jest jego negatywizm. Działas w swojej „Nowej Klasie” dał nam niezmiernie wnikliwą krytykę systemu komunistycznego — lecz owej negatywnej krytyce nie odpowiada żaden pozytywny program.

„Program Akcji” stopniowo wcielany w życie w Czechosłowacji do dnia najazdu sowieckiego — stanowił niezbitą dowód, że komunizm jest zdolny do ewolucji. Owa ewolucja nie załamała się — lecz przeciwnie z każdym tygodniem przybliżała ustrój Czechosłowacji do modelu rzetelnej demokracji. Interwencja nastąpiła późno — ponieważ jak dziś wiadomo — stalinowcy zarówno w Moskwie jak i w Pradze — liczyli, że nowy model zbankrutuje. Stalinowcy uważają wolność za synonim chaosu a decentralizację władzy za synonim kapitulacji. Moskwa zdecydowała się na zgniecenie reformacji przemocą ponieważ stało się oczywiste, że reformacja czechosłowacka jest sukcesem i zlikwidować ją mogą tylko czołgi lecz nie bankructwo wewnętrzne”.

W polskich warunkach program alternatywny musi postulować uwłaszczenie robotników. Uwłaszczenie klasy robotniczej musiałoby oznaczać przekształcenie robotników we współwłaścicieli i współzarządców zakładów przemysłowych jak i współdysponentów towarów przez nich wyprodukowanych. Osiągnąć to można poprzez spółdzielczość i system rad robotniczych na wszystkich szczeblach struktury gospodarczej i przemysłowej.

Znaczny procent młodych z którymi rozmawiałem — nawet technicy i inżynierowie — zgodnie z tradycją polskiej inteligencji główny nacisk kładli na wolności humanistyczne jak wolność słowa, wolność prasy, zniesienie cenzury w radiu, w telewizji, w teatrze itp. O zakazie wystawienia „Dziadów” co drugi młody inteligent z Kraju gotów jest dyskutować godzinami — lecz problem rad robotniczych nie budzi takiej pasji ani zainteresowań. To jest ów literacki — niemal młodopolski socjalizm, który u wielu inteligentów przetrwał do dziś. Zbędne dodawać, że tego typu podejście nie ułatwia budowy sojuszu pomiędzy inteligencją a robotnikami.

Prof. Schaff, który obecnie uznany został za „rewizjonistę” — od lat głosił tezę, że rewizjonizm jest pojęciem martwym. Polski Październik, Powstanie węgierskie, wydarzenia marcowe, reformacja czechosłowacka — tego wszystkiego dokonali rewizjoniści.

W oparciu o doświadczenie i analizę ubiegłych 13 lat musi się dojść do wniosku, że główną siłą rewolucyjną w bloku wschodnim są rewizjoniści. Opozycja nie-marksistowska nie wypracowała żadnego programu alternatywnego i wskutek tego owa opozycja

głosować na kandydatów aktywnych, przesileni kolegow. Studentów nie komunistów. W moich rozmowach z młodymi ludźmi z Kraju sugerowałem, że nie powinni tracić energii na przekonywanie przekonanych. Całą energię i wszystkie argumenty należy skoncentrować na młodych komunistach. Nie należy namawiać ich by występowali z partii. Natomiast należy przekonać ich, że winni pracować nad zreformowaniem partii — tak by ci co z nimi dyskutują mogli uczciwie do partii wstąpić. Młody marksista, który kończy uniwersytet — powinien wchodzić w życie jako przekonany rewizjonista. Jeżeli tak się nie dzieje oznacza to, że nie-marksiści nie dorośli do swego zadania.

Inteligenci marksiści jeżeli rozmawia się z nimi w cztery oczy bez świadków — w większości okazują się potencjalnymi rewizjonistami. To jest w pewnym sensie oczywiste. Od żadnego inteligenta — marksisty czy nie-marksisty nie można oczekiwać, że za swój ideał uzna „gomułkizm”. Lecz inteligent w Kraju z chwilą gdy zostaje członkiem partii — nie przestaje być inteligentem i dzieli ze swoją warstwą kompleks „niemożności”.

Wśród młodego i średniego pokolenia inteligentów-komunistów — potencjalni rewizjoniści stanowią znaczny odłam. Lecz ci ludzie są nieświadomi ani swojej liczebności ani swojej siły. Brak jest programu i przywódcy, który by ich ujawnił i skupił.

W Polsce istnieją dwie opozycje. Opozycja nie-markсистowska, względnie anty-markсистowska — oraz opozycja rewizjonistyczna, socjalistyczna. Ani jedna ani druga opozycja nie mają zatysowanego programu.

W moim przekonaniu cel pierwszej z wymienionych opozycji tj. likwidacja komunizmu jest nie do osiągnięcia bez pomocy z zewnątrz. Musiałoby dojść do wojny i rozpadu Związku Sowieckiego — co w konsekwencji mogłoby oznaczać likwidację milionów ludzi nie tylko narodowości rosyjskiej. Bez pomocy

— przyznałbym rację pp. Pragierowi i Stahlowi. Lecz jak wiemy w Czechosłowacji komunizmu nie likwidowano — tylko mozolnie przebudowywano go w system socjalistyczny z ludzkim obliczem.

Obłąd zachodniego antykomunizmu polega na tym, że sądzi się, że im ktoś jest bardziej prawicowy tym jest bardziej antykomunistyczny. To jest po prostu nonsens. Prawicowy antykomunizm jest politycznie bezużyteczny ponieważ prawicowcy nie mają żadnej szansy pociągnięcia za sobą robotników i chłopów — a tym samym nie mają żadnej szansy obalenia komunizmu czy to na drodze rewolucyjnej czy reformatorskiej.

Powyższe uwagi stanowią margines przeznaczony dla Czytelników emigracyjnych. Młodzi ludzie z Kraju z którymi rozmawiałem uważali za rzecz nie podlegającą dyskusji, że alternatywą komunizmu może być tylko socjalizm. Obalić czy przekształcić komunizm może tylko zjednoczona lewica, bo tylko za programem lewicowym opowie się klasa robotnicza i większość pracującej inteligencji.

Polscy socjaliści na emigracji powinni się zjednoczyć i powinni szukać porozumienia z rewizjonistami przebywającymi za granicą — jaka jest szansa, że porozumieją się z rewizjonistami w Kraju?

Jeszcze raz należy podkreślić fakt następujący. Ujawnionych rewizjonistów w Kraju jest niewielu ponieważ są tępieni, więzieni i prześladowani. Lecz owi rewizjoniści stanowią tylko szczyt góry lodowej, której masa znajduje się pod powierzchnią. Potencjalnych rewizjonistów są dziesiątki tysięcy. Tylko ośrodek, który skupiałby zarówno socjal-demokratów jak i rewizjonistów z najnowszej emigracji — miałby możliwość wypracowania „polskiego Programu Akcji”, który byłby przyjęty w Kraju.

Młodzi ludzie oceniali bardzo sceptycznie powyższy plan. Młodzi uważają, że PPS jest wyobcowana, nie rozumie „specyfiki”

krajowej, utraciła dawno swą dynamikę rewolucyjną, żyje przeszłością itd. itp.

Argumentowałem, że PPS reprezentuje to — czego rewizjonistom jest brak a mianowicie tradycję, wyrobienie polityczne, dziesiątki lat doświadczeń. Wśród rewizjonistów jest wielu ludzi wykształconych i bardzo utalentowanych — lecz niemal wszystkim rewizjonistom brak jest wyrobienia politycznego. W Polsce Ludowej owego wyrobienia nie mieli sposobności zdobyć.

Młodzi ludzie z Kraju — zwłaszcza ci, którzy czasowo przebywają za granicą — skarżyli się przede mną, że z wyjątkiem szpicłów z ambasady PRL — nikt się nimi nie zajmuje.

Ośrodek polityczny, który skupiałby rewizjonistów z nowej emigracji i postępowych socjal-demokratów ze starej emigracji — miałby możliwość dotarcia do młodej emigracji stałej i przelotnej. Należałoby młodych z Kraju zapraszać na selektywnie zorganizowane dyskusje w prywatnych domach — udostępniać im książki o określonej tematyce — a czasem należałoby dla nich wydawać specjalny biuletyn.

Nie chodzi w tym wypadku o „budowanie mostów”. Chodzi o rzecz znacznie bardziej istotną a mianowicie o zbudowanie przyczółka politycznego w Kraju. Niech mi nikt nie tłumaczy, że to nie jest możliwe. Gdyby zespół paryskiej *Kultury* liczył nie kilka lecz kilkadziesiąt osób — byłoby to już dawno zrobione.

Demokratyczne lewice w Kraju i na emigracji choć, różne i rozwarstwione — powinny szukać platformy porozumienia w celu wypracowania programu, który stanowiłby oś krystalizacyjną oporu.

Trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że stalinowcy górują nad nami nie tylko siłą lecz przede wszystkim programem. Ci panowie mają określony i uzgodniony program utrzymania się przy władzy. My natomiast nie mamy żadnego programu jak stalinowców władzy pozbawić. Przykład Czechosłowacji wykazał, że Sowiетom można tylko przeciwstawić program mobilizujący i jednoczący społeczeństwo. W imię ogólnikowych haseł jak wolność i niepodległość można zorganizować protest grupy inteligencji. Jednak do uzyskania poparcia klasy robotniczej trzeba czegoś więcej.

Tak jak po upadku pierwszej Rzeczypospolitej powstańcy nie zdobyli się na radykalny projekt reform społecznych, które należało przeciwstawić reakcyjnemu caratowi — tak my dziś nie potrafiliśmy również wypracować programu ustrojowego, który stanowiłby alternatywę o którą warto byłoby walczyć.

Walczyć należy o Polskę niepodległą — powtarzamy od 30 lat. Lecz nasza Polska niepodległa obejmowała Brześć i Berezę, Gołędzinów i krwawe tłumienie strajków. Jak ktoś trafnie zauwa-

żył w naszej Polsce oko pańskie tuczyło konia lecz nie fornala. W imię Drugiej Rzeczypospolitej nie zmobilizujemy ani chłopów ani robotników.

Dopóki lewica polska nie wypracuje programu — przebąkiwanie o rewolucji jest rzeczą śmieszną. Rewolucja różni się tym od powstania, że posiada określony program społeczno-ustrojowy. Dopiero program przekształca sytuację rewolucyjną — w rewolucję. Rewolucjoniści walczą o jasno określone Jutro — powstańcy walczą przeważnie o Wczoraj. Niestety, owego polskiego Jutra — jeszcze nie widać.

Kultura nr 12/267, grudzień 1969

REALIŚCI I ROMANTYCY

W prasie emigracyjnej dokonano sekcji Czechosłowacji. Upadek Dubczeka i rewolucji reformatorskiej — musi każdego napęlić smutkiem i goryczą. Lecz obrzydliwa jest postawa tych publicystów, którzy jakby z poczuciem osobistego triumfu — kraczą: „Myśmy od początku mówili, że tak się musi skończyć”.

Znam ludzi na emigracji, którzy choć mogli i powinni byli należeć do AK — siedzieli zaszyty na wsi i nie wzięli udziału w walce z okupantem. Ci panowie twierdzą, że to wszystko było niepotrzebne wykrwawianie narodu, że Powstanie Warszawskie musiało tak się skończyć jak się skończyło itp. Oczywiście daleko łatwiej jest powiedzieć sobie, że się jest realistą niż tchórzem.

Osobiście jestem przeciwnikiem romantycznej szkoły w polityce. Byłem i jestem zwolennikiem pragmatyzmu i realizmu. Równocześnie twierdzę, że naród, który składałby się z samych realistów nigdy by do niczego nie doszedł. Realizmu można domagać się od wszystkich — poświęcenia i ofiary od niewielu. Lecz jeżeli tych niewielu braknie — sam realizm nie wystarczy. Naród, który nie produkuje ludzi zdolnych do ofiary i poświęcenia — nie jest w stanie prowadzić realnej polityki. Przez ofiarę rozumiem nie tylko śmierć na barykadach. Są ofiary trudniejsze. Podjęcie programu reform i głoszenie owego programu z przeświadczeniem osobistej klęski — jest ofiarą wyższego rzędu niż śmierć w ogniu walki. Obrona słusznej sprawy podjęta z narażeniem własnej pozycji — bez widoku bezpośredniego sukcesu — jest również poświęceniem wyższego rzędu.

Największy sympatyk Dubczeka nie może określić go mianem realisty. To był człowiek, który mierzył siły na zamiary — nie zamiary podług sił. Jestem niemal pewien, że nie przewidywał inwazji — ponieważ był zbyt rusofilski. W przeciwieństwie do

Husaka, który jest chłodnym, bystrym, kalkulującym realistą — Dubczek mimo swej brzydoty jest człowiekiem wielkiego osobistego uroku i ludzkiego, serdecznego ciepła. Tym porywał tłumy.

Dubczek przegrał. Tacy ludzie zawsze przegrywają. Lecz coś niezmiennie istotnego po nich pozostaje.

Na filmie dokumentacyjnym — nagrany przez Brytyjczyków przed inwazją — młody człowiek w czasie zebrania w jednej z fabryk w Pradze powiedział do mikrofonu: „Mam 23 lat i pierwszy raz w życiu uczestniczę w prawdziwym zebraniu politycznym”.

Oczywiście ów młody człowiek mówił w imieniu całego pokolenia wychowanego w epoce stalinizmu. Nagle ci młodzi zobaczyli, że zebranie partyjne w fabryce nie musi być chórem potakiwaczy — tylko swobodną dyskusją.

Dubczek przekonał Czechów i Słowaków, że partia może rządzić w oparciu nie o policję lecz o społeczeństwo, że rząd i partia nie boją się wolnego słowa, że Czesi i Słowacy zdolni są do wypracowania ustroju który łączyłby wolność z socjalizmem.

To jest wizja, której nikt nie wymaże z pamięci Czechów i Słowaków. To jest wizja z którą będzie się musiał liczyć każdy realista na kierowniczym stanowisku.

Postęp nawet w demokratycznych społeczeństwach polega na tym, że reformy głoszone przez niekonformistów a czasem buntowników — podejmowane są w następnym pokoleniu przez realistów i stają się elementem „ustalonego porządku rzeczy”. Sufrażystki rozpędzono policją i uważano powszechnie za histeryczki a dziś Barbara Castle była czołowym ministrem w rządzie brytyjskim. Historia jest utkana z tego rodzaju przykładów.

O realizmie danej reformy nie decyduje sąd współczesnych realistów. Dana idea przestaje być koncepcją buntownika-niekonformisty i przekształca się w realny program wówczas, gdy popiera ją większość społeczeństwa. W tej fazie realiści ową buntowniczą koncepcję włączają ochoczo do swojej platformy wyborczej.

Naród, który nie jest suwerenny znajduje się w szczególnej sytuacji. W Czechosłowacji głosy Rosjan liczą się więcej niż głosy Czechów i Słowaków. Lecz kardynalną wadą imperializmu jako organizacji politycznej jest fakt, że imperializm jest niezdolny do ewolucji. Jeżeli danej kolonii przyzna się status dominialny — to wiadomo, że następna faza musi oznaczać pełną niepodległość czyli koniec imperializmu.

Dubczek do czasu inwazji działał tak jakby Czechosłowacja była dominium a nie kolonią sowiecką. Kolonializm angielski upadł najpierw w Londynie a dopiero w następnej kolejności w Indiach czy w Burmie. W Anglii przyszedł do steru rząd Labour Party, który zastąpił rząd koalicyjny z Churchilllem jako premie-

rem. Socjaliści postanowili przyznać Indiom niepodległość. Postąpili mądrze i dalekowzrocznie.

Na daleką metę jedynym kryterium realizmu w polityce jest poparcie większości. To nie my jesteśmy utopistami. Breżniew, Gomułka, Ulbricht są utopistami. Nas jest przytłaczająca większość w Polsce, w Rosji, w Czechosłowacji — w całym bloku wschodnim. Jest rzeczą śmieszną uważać się za realiste i równocześnie głosić, że większość nie dojdzie do głosu. Większość w końcu zawsze dochodzi do głosu.

Romantycy typu Dubczeka spełniają niezmiernie ważną rolę. Otwierają ludziom oczy. Czesi byli prorosyjscy, bo Rosjan nie znali. Dziś, dzięki Dubczekowi, Rosjan poznali i przestali być prorosyjscy.

W zdrowym, normalnie funkcjonującym społeczeństwie musi być zachowana określona proporcja pomiędzy romantykami a realistami. Jeżeli w danym społeczeństwie — nie zagrożonym od zewnątrz — obserwujemy zbyt wielu ludzi protestu, romantyków, bojowników przegranych spraw — oznacza to, że realisci w danym społeczeństwie w gruncie rzeczy nie są realistami. Nie są realistami ponieważ nie widzą wzbierającej fali przemian dojrzających do reformy.

W społeczeństwach wtłoczonych siłą w system imperialny — owa normalna równowaga pomiędzy romantykami a realistami jest zachwiana. Potencjalni romantycy stanowią większość. Gdyby jutro na przedpolu Warszawy pojawiły się kolumny sowieckich czołgów — trzeźwi, realistyczni warszawiaczy rzuciliby się do budowania barykad i w kilka godzin przemieniliby się w czystej krwi romantyków.

W polskim systemie — bez względu na ustrój — istniała zawsze przepaść pomiędzy romantykami a realistami. Polacy nie rozumieją, że romantycy i realisci potrzebni są jedni drugim i winni stanowić zespół a nie dwa zwalczające się obozy. Nie mamy tradycji centrum — tzn. ludzi „złotego środka”. Z tej przyczyny — tak w oczach polskich romantyków jak i realistów — każdy kompromis jest zawsze „zgniły”.

W ruchu Labour Party istnieją w tej chwili daleko bardziej zasadnicze różnice opinii niż w polskim socjalizmie na obczyźnie. Lecz w Labour Party nie brak ludzi centrum, którzy godzą realistów z romantykami. Ci ludzie „zlepiają” Labour Party i chronią ją przed rozłamem.

Dla realisty polityka to jest gra rzeczy możliwych. Dla romantyka polityka to jest zwycięstwo słusznej sprawy bez względu na ofiarę. Realista nie jest cynikiem tylko człowiekiem, który waży straty i zyski.

W narodach, które były i są krzywdzone, jak Polacy, Czesi czy Węgrzy, słuszność sprawy liczy się więcej niż rachunek strat i zysków. Być może Husak uczyni wszystko co możliwe w obecnej sytuacji. Być może ma większą szansę niż ktokolwiek inny wynegocjować ewakuację wojsk sowieckich z Czechosłowacji. Lecz za 10 czy 20 lat o Husaku będzie głucho i cicho. Natomiast Dubczek będzie figurował w każdym podręczniku historii Czechosłowacji. I słusznie — ponieważ otworzył nowy rozdział w dziejach swojego narodu.

Historia wschodnioeuropejska jest często niesprawiedliwa dla realistów. To się nie zmienia dopóki nie odzyskamy i nie utrwalimy niepodległości. Wówczas właściwa społecznie proporcja pomiędzy realistami a romantykami wróci do normy.

Kultura nr 6/261, czerwiec 1969

O Powstaniu Warszawskim, które było dramatem historycznym na niepomniernie większą skalę niż Budapeszt — na Zachodzie głucho.

Patrząc dziś z perspektywy lat można stwierdzić, że nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy współczesną Polską a współczesnymi Węgry. Być może Kadar, który zdradził Nagy'ego — jest liberalniejszy od Gomułki. Być może Węgry w pewnych dziedzinach są bardziej „odstalinizowane” niż Polska. Rezultaty są podobne — choć polska metoda była daleko mniej kosztowna. Na czym więc polega różnica pomiędzy Październikiem a Budapesztem? Czy działa romantyka zbrojnego narodowego zrywu i echa z 1848 roku? Może pochwała Węgrów jest przejawem „kompleksu winy” odczuwanego niewątpliwie w pewnych kołach na Zachodzie.

Z dziesiątków prac jakie ukazały się na ten temat — na czoło wybija się krótki esej Raymonda Arona pt. „The Meaning of Destiny” („Ten Years After”, The Hungarian Revolution in the perspective of history, Ed. Tamas Aczel, Wyd. Holt, Rinehard & Winston, New York. 1967).

Rewolucja Węgierska miała wiele aspektów lecz przede wszystkim — podobnie jak polski Październik — była reakcją na stalinizm. Imre Nagy pozostając do końca marksistą — proces de-stalinizacji doprowadził do logicznego finału. Gomułka de-stalinizację zatrzymał w pół drogi — lecz w przeciwieństwie do Nagy — nie utracił władzy nad partią.

W ocenie Arona przywrócenie wielopartyjności stanowiło największe i zasadnicze osiągnięcie Imre Nagy. Warto przypomnieć, że młodzi polscy komuniści Kuroń i Modzelewski w swoim programie wysunęli również postulat wielopartyjności.

Rozważając ten cykl zagadnień trzeba przyjąć marksistowski

zyjne, wrogie rewolucji. Trudno więc się dziwić, że zwycięska partia rewolucyjna w takiej sytuacji sprawuje monopol władzy.

Istotą walki klasowej jest podział klasowy. W społeczeństwie burżuazyjnym partie polityczne reprezentują interesy klas społecznych. Podział klasowy zdeterminowany jest systemem produkcji. Inne są interesy właścicieli środków produkcji a inne proletariatu, który ma do sprzedania tylko siłę swoich mięśni, względnie kwalifikacje zawodowe. Komuniści sprzeciwiają się systemowi wielopartyjnemu, by nie tworzyć możliwości organizacyjnych i reprezentacyjnych dla wroga klasowego.

Można się z tym zgadzać lub nie zgadzać — trudno jednak odmówić logiki przytoczonemu rozumowaniu. Lecz powyższa logika dobiega kresu gdy znika ze sceny wróg klasowy. Cytuję za „Encyklopedią Ekonomiczną”: „W społeczeństwie, w którym zbudowany jest socjalizm, np. ZSRR — istnieją dwie klasy społeczne: klasa robotnicza i chłopstwo spółdzielcze”.

Robotnika czy spółdzielczego chłopca trudno nazwać wrogiem klasowym. Na jakiej więc podstawie i z jakich przyczyn komunistyczna partia Związku Sowieckiego sprzeciwia się systemowi wielopartyjnemu? Z wrogów klasowych, kułaków i kapitalistów w 50 lat po przewrocie bolszewickim nie ma śladu ni popiołu. Wniosek stąd, że istnieją inne przyczyny nie związane z walką klasową, które nakazują władzy sowieckiej dławienie wolności.

Aron ma rację. Wielopartyjność jest zagadnieniem kluczowym, ponieważ bez wielopartyjności nie ma demokracji a bez demokracji nie ma wolności.

W Polsce Ludowej przekonanych komunistów jest niewiele. Ilu jest demokratycznych socjalistów tego nikt nie wie. Ustrój Polski należałoby określić mianem socjalizmu państwowego. Właścicielem wszystkich środków produkcji jest państwo — którym monopolistycznie rządzi partia. Faktem jest natomiast, że ustrój

burżuazyjno-kapitalistyczny został zlikwidowany. Upaństwowienie środków produkcji nie prowadzi automatycznie do demokracji i socjalizmu — oznacza jednak likwidację systemu prywatno-kapitalistycznego. Z marksistowskiego punktu widzenia istotne jest, że stosunki produkcyjne uległy radykalnej zmianie. Nie ma dziś prywatnych właścicieli fabryk, kopalń, majątków ziemskich itp. W Polsce ponad 50 % ludności stanowią robotnicy przemysłowi i inteligencja zawodowa. Z klasowego punktu widzenia to są czystej krwi proletariusze, którzy żyją z tego co zarobią. Jakakolwiek nowa partia polityczna w Polsce, która chciałaby dysponować silną grupą poselską w sejmie i wpływać na politykę rządu — musiałaby mieć masowe poparcie robotników i inteligencji pracującej. Partia tego typu byłaby w dzisiejszej sytuacji z istoty rzeczy partią proletariacką której żaden marksista nie mógłby określić mianem wroga klasowego.

Komuniści nie boją się wroga klasowego. Boją się natomiast demokracji, bo nawet proletariacka i socjalistyczna demokracja pozbawiłaby ich monopolu władzy.

To jest niezmiernie ważny punkt bo w tym miejscu rozeszły się drogi oficjalnego marksizmu z zachodnim racjonalizmem. W bezklasowym społeczeństwie o uspołecznionym modelu produkcji — pozbawianie ludzi wolności nie może być umotywowane żadnymi racjonalnymi argumentami.

Stalin wysunął swego czasu tezę, że walka klasowa zaostrza się w miarę postępu budowy socjalizmu. Powyższa teoria odzwierciedlała postępującą manię prześladowczą dyktatora. Stalin uważał każdego rzeczywistego czy urojonego swego przeciwnika za wroga klasowego.

Problem zasadniczy sprowadzić można do jednego krótkiego słówka: po co? Po co przeprowadzono reformę rolną i uspołecznienie a raczej upaństwowienie środków produkcji? Jaki był cel tej operacji określanej mianem rewolucji?

Marks nigdy nie mieszał dwóch zasadniczych kategorii tj. środków i celów. Ekonomię uważał za zespół środków wiodących do celu a nie za cel sam w sobie. Autor „Kapitału” chciał stworzyć nowy system społeczno-gospodarczy, który zamiast „kajdanów” produkowałby wolność.

W tym miejscu intelektualnie nastrojony Czytelnik skrzywi się i pomyśli: z chwilą gdy padło słowo „wolność” kończy się oczywiście rzeczowe rozumowanie i zaczyna się propaganda. Słowo „wolność” jest terminem tak zdewaluowanym, że pisarz unikający tanich efektów stara się go nie używać.

W „Encounter” (Styczeń 1964) — znawca problemu narodowościowego w Sowietach, prof. Richard Pipes z „Harvard's

Russian Research Centre" — uczynił w swym artykule następujące charakterystyczne wyznanie:

„Cztery lata temu pisząc artykuł o rosyjskiej inteligencji dla pisma *Daedalus* — chciałem zakończyć ów artykuł stwierdzeniem, że współczesny rosyjski intelektualista ma specjalną misję do spełnienia a mianowicie — winien walczyć o prawdę. Na skutek rad moich przyjaciół opuściłem wyżej zacytowane zdanie, ponieważ brzmiało naiwnie i nie naukowo. Obecnie żałuję, że tak postąpiłem — ponieważ dzieła literackie, które pojawiły się w następnym okresie — stanowią dobitny dowód jak ważny jest ten problem, a nawet samo słowo 'prawda' dla rosyjskich intelektualistów”.

Jedną z najważniejszych ludzkich wolności jest wolność głoszenia prawdy. W okresie stalinowskim panowało totalne zakłamanie. De-stalinizacja musiałaby oznaczać przyznanie pisarzom i intelektualistom wolności powiedzenia całej prawdy o stalinizmie. Lecz wówczas okazałoby się, że obecne reżymy komunistyczne oparte są na identycznym totalnym kłamstwie jak stalinizm. Owym totalnym kłamstwem jest oficjalna teza, że przyznanie ludziom wolności byłoby równoznaczne z otwarciem bram dla kontrewolucji. Nie można obywatelom przyznać wolności — bo z owej wolności skorzystaliby wrogowie ludu. Innymi słowy, nie można mieć prawdziwego socjalizmu bo wróg klasowy wykorzystałby wolności demokratyczne dla swoich niecných celów. Kto jest wrogiem klasowym w pół stulecia po rewolucji? Wrogiem klasowym w systemie dyktatury komunistycznej jest całe społeczeństwo. Wszystkie reżymy komunistyczne w Wschodniej Europie są *de facto* stalinowskie — ponieważ, podobnie jak Stalin — przeciwników dyktatury identyfikują z wrogiem ludu. W takiej sytuacji „wróg ludu” i lud to są synonimy.

Czytałem wielokrotnie w prasie krajowej, że jedyną wolnością, którą Zachód ma do zaoferowania Polsce — jest wolność od socjalizmu. Lecz czy w Polsce Ludowej ludzie, którzy są za socjalizmem korzystają z wolności?

Byłoby zgodne z logiką gdyby w państwie budującym socjalizm ludziom, którzy są za socjalizmem — przysługiwał przynajmniej tak szeroki margines wolności jak ten, który przysługuje opozycji. Jednak w praktyce jest wręcz odwrotnie. W Polsce Ludowej socjalistom przysługuje mniejszy margines wolności niż opozycjonistom. Wystarczy porównać sytuację dwóch wybitnych ludzi: Leszka Kołakowskiego i kardynała Wyszyńskiego. Kołakowskiego usunięto z partii, nakłady jego książek są ograniczone, a on sam odcięty jest od szerszych kontaktów z młodzieżą. Natomiast kard. Wyszyński przemawia do wielotysięcznych tłumów i margines jego osobistej wolności jest na szczęście nienaruszony.

„Niepotrzebnie włącza pan do dyskusji socjologów, naukowców politycznych i Bóg wie kogo. Rosja sowiecka jest problemem politycznym i obowiązkiem polityków jest wypracować na ów problem odpowiedź”.

Przytoczyłem powyżej fragment listu jednego z moich Czytelników.

Gdyby Rosja Sowiecka była istotnie tylko problemem politycznym — obowiązkiem polityków byłoby znaleźć odpowiedź na ten problem. Lecz Rosja jest problemem w pierwszej linii cywilizacyjnym i kulturalnym i dlatego politycy na ów problem nie mają ani rady ani odpowiedzi. Nie zawsze tak było. Dla polityków w cesarskim Wiedniu czy w cesarskim Berlinie — Rosja była tylko problemem politycznym. Ówczesna Rosja była państwem chrześcijańskim — jej struktura społeczna odpowiadała analogicznej strukturze innych państw europejskich i choć istniały wielkie różnice — nie było przepaści pomiędzy Zachodem a carską Rosją.

Polacy są przyzwyczajeni patrzeć na carską Rosję poprzez Grottgera. Jednakże Austria i Prusy mogłyby dostarczyć Grottgrowi równie wstrząsającej tematyki. Do roku 1867 — Austriacy wieszali patriotów węgierskich w nie mniejszej mierze niż Rosjanie patriotów polskich. Trauguttów Węgrom nie brakowało.

Nie odczuwam żadnego sentymentu dla carskiej Rosji, której nie znałem. Z własnych doświadczeń przytoczyć mogę tylko następujący epizod. Pierwszą wojnę światową spędziłem jako dziecko w Limanowej na Podhalu. Limanowa, która była terenem zażartych walk — przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk. Okupację rosyjską wspominaliśmy jako najlepszy okres całej wojny. Żołnierze rosyjscy byli ludzcy i życzliwi a oficerowie posiadali doskonałe formy towarzyskie. W przeciwieństwie do Rosjan — węgierscy

Peter Calvocoressi wyraża pogląd, że w Sowietach zginęło znacznie więcej niż 20 milionów ludzi i że prawdziwych danych cyfrowych Rosjanie nigdy nie ogłaszają. To samo dotyczy strat materialnych poniesionych w przemyśle i rolnictwie.

Niczego nie ujmując ofiarności i wielkiej dzielności żołnierzy sowieckich należy podkreślić, że Rosja okupiła zwycięstwo olbrzymią klęską, która nie przekształciła się w katastrofę tylko dlatego, że hitlerowskie Niemcy poniosły również klęskę.

Jak powszechnie wiadomo, prez. Roosevelt bał się nie imperializmu sowieckiego tylko odrodzenia imperializmu brytyjskiego. Europą Zachodnią interesował się niewiele a Europą Wschodnią nie interesował się w ogóle.

Lecz założmy, że prezydentem był w owych dniach Amerykanin typu Kennedy'ego a nie Roosevelta. Czy było możliwe rozegrać to inaczej?

Rosjanie dysponują wręcz niewyczerpalnym rezerwuarem ludzkim i pod koniec drugiej wojny światowej posiadali na terenach Europy znaczne armie lądowe. Amerykanie — jeżeli pragnęliby przeciwstawić się Sowietom w Europie — musieliby przekształcić się w mocarstwo europejskie. Musieliby utrzymywać na kontynencie armie, które stanowiłyby równoważnik armii sowieckiej.

Amerykanów interesuje Pacyfik i Azja — lecz nie mieli i nie mają zamiaru przekształcać się w mocarstwo europejskie. Roosevelt nie był wyjątkiem lecz przeciwnie, uosabiał i w pełni ucieleśniał odrazę i niechęć Amerykanów do angażowania Stanów Zjednoczonych w politykę europejską. Gdyby w owych przełomowych latach prezydentem był nie Roosevelt lecz Amerykanin typu Kennedy'ego — prawdopodobnie nic by to nie pomogło, ponieważ naród amerykański nie życzył sobie przekształcenia Stanów Zjednoczonych w mocarstwo europejskie. Ewolucja po tych liniach nie jest wyłączona — lecz za jaką cenę? H. Kahn

lecz pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi nie ma podstawowego konfliktu cywilizacyjnego.

Rosja Sowiecka jest dziś geograficznie i militarnie mocarstwem europejskim lecz pomiędzy Sowietami a Europą istnieje podstawowy konflikt cywilizacyjny.

Chcąc dotrzeć w sposób obiektywny do źródeł owego konfliktu — musimy odciąć się od propagandy i klisz. To nie Katynie powodują ów konflikt. W Wietnamie działy się również rzeczy, od których bieleje włos — a mimo to — pomiędzy cywilizacją amerykańską a europejską nie ma zasadniczego konfliktu.

Przytoczmy jako wstęp do naszego badania analizę Herberta Marcuse z jego książki pod tytułem „Soviet Marxism”. Nie chodzi mi w tym wypadku o dosłowny przekład tylko o przedstawienie toku myślowego autora.

Jeżeli marksiści sowieccy usprawiedliwiają istnienie i kontynuację aparatu represyjnego nie malejącym zagrożeniem ze strony świata kapitalistycznego — tym samym przyznają, że struktura społeczeństwa sowieckiego jest jeszcze ciągle antagonistyczna. Przyznają również, że likwidacja owego antagonizmu zależy od fundamentalnych zmian w konstelacji międzynarodowej.

W roku 1938 Stalin oświadczył, że wewnętrzne sprzeczności w Związku Sowieckim zostały rozwiązane w wyniku zwycięstwa socjalizmu. Lecz w roku 1952 Stalin powrócił do koncepcji sprzeczności wewnętrznych.

Sytuacja historyczna wzięła górę nad stalinowską koncepcją „socjalizmu w jednym kraju” — według której wewnętrzne sprzeczności w państwie sowieckim mogą być rozwiązane pomimo że zewnętrzne pozostają nadal nierozwiązane. W rzeczywistości jednak zewnętrzne sprzeczności uwarunkowują i umacniają wewnętrzne sprzeczności. Według sowieckiego marksizmu — „otoczenie kapitalistyczne” zmusza władze sowieckie do stałego wzmacniania

Wskutek tego spowodowanie rozluźnienia zbrojeniowej gospodarki Zachodu winno być naczelnym celem polityki sowieckiej. Przywódcy sowieccy mogą żywić nadzieję osiągnięcia tego celu tylko wówczas, gdy Związek Sowiecki przestanie być wojskowym i politycznym zagrożeniem dla Zachodu.

Innymi słowy, według recepty Marcuse — Sowiety winny przestawić swą gospodarkę na stopę pokojową i konsumpcyjną. Wówczas Zachód nie czułby się dłużej zagrożony i doszłyby do głosu „wewnętrzne sprzeczności kapitalizmu”, które dziś są zamrożone w ramach programów zbrojeniowych. Gdyby gospodarka sowiecka produkowała „masło” zamiast „armat” — powstałaby możliwość rozluźnienia aparatu represyjnego, co z kolei spowodowałoby rozkwit życia kulturalnego we wszystkich jego dziedzinach. Tylko na tej drodze Związek Sowiecki mógłby wykazać wyższość ustroju socjalistycznego nad kapitalizmem i osiągnąć nad nim zwycięstwo.

Analiza Marcuse'a byłaby stuprocentowo słuszna gdyby stalinowcy byli marksistami. Stalinowcy jednak nie są marksistami i nie dążą do wykazania wyższości swojego ustroju nad jakimkolwiek innym ustrojem. Stalinowcy nie zgodzą się nigdy dobrowolnie na rozluźnienie aparatu represyjnego ponieważ nie przeżyliby tygodnia w takiej sytuacji np. jaka panowała w Czechosłowacji do dnia 21 sierpnia 1968 roku. Wskutek tego wszystko co usprawiedliwia utrzymanie aparatu represyjnego jest dobre — natomiast wszystko co zmierza do rozluźnienia aparatu terroru jest z definicji złe.

Stalinizm stanowi dokładną odwrotność marksizmu i tym samym socjalizmu. Związek Sowiecki dąży do zabezpieczenia swojego imperium w sensie strategicznym i wojskowym — lecz nie dąży do likwidacji „otoczenia kapitalistycznego”. Sowiety były w przeszłości i są nadal gotowe rzucić cudzoziemskich komunis-

gospodarkę zbrojeniową dostarcza stalinowcom argumentu do rozbudowy sowieckiej maszyny wojennej i utrzymywania aparatu represyjnego.

Stalinizm uwarunkowuje kapitalizm a kapitalizm uwarunkowuje stalinizm — lecz bilans owego uwarunkowania dla Zachodu jest zdecydowanie ujemny. Budujemy broń atomową i łódzie podwodne zamiast domów mieszkalnych szkół i szpitali. Zagrożenie zawsze ureakcyjnia — ponieważ liberalizm i demokracja rozwijać się mogą tylko w atmosferze zabezpieczonego pokoju. To wszystko jak najbardziej odpowiada stalinowcom, ponieważ dostarcza argumentu, że Zachód jest reakcyjny, militarystyczny, nieprzejednanie wrogi socjalizmowi — co nakazuje czujność, której wyrazem i instrumentem są wszelkiego typu Bezpieki.

Teoria *convergence* — podtrzymywana przez wielu sowietologów zachodnich — opiera się na przesłance, że rozwój technologiczny i przemysłowy upodabnia stopniowo Sowiety do Zachodu. Trzeba stwierdzić, że nie ma jak dotąd żadnych dowodów, że tak się dzieje. Można natomiast zaryzykować inną teorię *convergence*. Pod wpływem zagrożenia sowieckiego stajemy się na Zachodzie coraz bardziej prawicowi i reakcyjni — równocześnie reżym sowiecki staje się w odpowiedzi również coraz bardziej reakcyjny i konserwatywny.

„Otoczenie kapitalistyczne” z punktu widzenia stalinowców spełnia funkcję pozytywną ponieważ teoria permanentnego wroga stanowi fundament systemu stalinowskiego. Natomiast „otoczenie komunistyczne” znieprawia nas wbrew naszej woli, ponieważ uniemożliwia nam podjęcie programu reform społecznych i prowadzenie racjonalnej gospodarki.

Są mędrcy na Zachodzie, którzy głoszą tezę Marcuse'a *à rebours*. Powinniśmy skasować militarne programy atomowe, powinniśmy przebudowywać *slums'y*, powinniśmy „upełnoletnić”

Murzynów i stworzyć dla nich ludzkie warunki rozwojowe — powinniśmy jednym słowem przekształcić ustrój kapitalistyczny, w postępowe, idealne społeczeństwo. Wówczas narody w orbicie sowieckiej patrząc na nasz rozwój i rozkwit — wzięłyby przykład z Zachodu. Ci, którzy głoszą podobne poglądy opierają się na przeświadczeniu, że dobry ustrój wyprze z czasem gorsze ustroje.

Powyższa teoria jest bardzo atrakcyjna lecz całkowicie utopijna. Mamy bowiem do czynienia z bezwzględny imperializmem. Gdybyśmy potencjały siły zaczęli przekształcać na finansowanie wielkiej rewolucji społecznej — gdybyśmy zamiast się zbroić zaczęli uzdrawiać ustrój kapitalistyczny — Sowiety zaczęłyby krajać Zachód jak salami, po plasterku, podkreślając po każdej inwazji, że dany plasterek jest ostatni.

W sumie wypada stwierdzić, że nie możemy uzdrawiać kapitalizmu i budować na wielką skalę nowego społeczeństwa — ponieważ musimy się zbroić i będziemy musieli się zbroić coraz kosztowniej i z coraz większym wysiłkiem aż do chwili gdy w Rosji nastąpią rewolucyjne zmiany. Jesteśmy w centrum konfliktu cywilizacyjnego i dlatego politycy na ów konflikt nie mają odpowiedzi. Gdy Turcy stali pod Wiedniem — był to w gruncie rzeczy tylko polityczny problem, ponieważ można go było rozwiązać politycznymi metodami. Wojna jest polityką prowadzoną innymi środkami i tę metodę wówczas z powodzeniem zastosowano.

Zagadnienie polega na tym, że Sowiety można by pobić tylko bronią atomowymi detonując światową apokalipsę nuklearną — natomiast Sowiety mogą powoli i stopniowo podporządkować sobie kontynentalną Europę bez użycia broni atomowych.

Bezpieczeństwo Europy zależy od odpowiedzi na pytanie: Jak szybko nastąpią w Rosji zasadnicze zmiany?

Za zbrojenia kupujemy tylko czas — nie bezpieczeństwo. Amerykanie nie wykazują chęci zwiększenia swego zaangażowania na kontynencie a NATO w jego europejskiej formie nie da nam nigdy pewnej ochrony przed potęgą Sowieców. Zagrożenie Europy zniknie wówczas, gdy Sowiety z stalinowskiego, imperialnego mocarstwa przekształcą się w federacyjny związek prawdziwie socjalistycznych republik. Z procesem przemian w Rosji związane są bezpośrednio najbardziej istotne interesy Europy — być może jej historyczny byt.

Politycy na całym świecie negocjują nie z ludźmi społecznego protestu — tylko z rządami, które bez względu na ich moralny poziom sprawują władzę na danym terytorium. Polityka koegzystencji w jej rozmaitych formach jest negocjowana z rządem sowieckim, który dławi wolność w całym bloku wschodnim. Poli-

tyka koegzystencji może w pewnych okresach wyglądać stosunki pomiędzy Wschodem a Zachodem — nie może jednak spowodować żadnych przemian wewnątrz Rosji.

Sytuacja Europy kontynentalnej u progu 1969 roku — nie przedstawiała się korzystnie. Bezpieczeństwo mogłyby nam zapewnić Stany Zjednoczone będące mocarstwem europejskim. Nie można chronić Berlina „parasolem”, którego dysponent mieszka w Waszyngtonie. To nie Ameryka ale Europa znajduje się w zasięgu czołgów sowieckich. Stany Zjednoczone, zaangażowane głównie na Pacyfiku i w Azji, mogą nas po raz trzeci wyzwolić lecz nie ochronią nas przed inwazją.

Owa bezradność, marazm, poczucie fałszywego bezpieczeństwa — wszystko to wypływa, z faktu, że rządzą nami politycy i ich wojskowi doradcy — natomiast problem, który wisi nad nami ołowianą chmurą — nie jest problemem ściśle politycznym i w konsekwencji, nie może być rozwiązany ani na drodze politycznej ani na drodze militarnej.

Wchodzimy w okres kiedy w rozwiązywaniu centralnego problemu Europy mogliby odegrać czołową rolę intelektualiści i inteligencja — ponieważ Europa kontynentalna jest wielką „Czechosłowacją” — do tej pory nie okupowaną przez Sowiety. Problematyka ruchów społecznych i rewolucyjnych, które władne są przekształcić Rosję — nie może stanowić tematu obrad NATO. Owa tematyka może natomiast wzbudzić w Europie prąd umysłowy, który byłby sojusznikiem nowej Rosji.

Intelektualiści i pisarze rosyjscy, którzy reprezentują protest i ferment — są całkowicie izolowani. Kto jest ich sojusznikiem na Zachodzie? Teoretycznie wszyscy życzą sobie przemian czy nawet przewrotu w Rosji — lecz w większości wypadków potencjalni zwolennicy przewrotu wysuwają pod adresem nowej Rosji warunki, które dla rewolucjonisty rosyjskiego byłyby nie do przyjęcia.

Wydawałoby się, że ruch protestu i reformy — tak silny w młodym pokoleniu na Zachodzie — winien iść równolegle z ruchem reformy w Europie Wschodniej tym bardziej, że dopóki trwa zagrożenie sowieckie i Rosją rządzą stalinowcy — w Europie zachodniej nie mamy żadnej szansy ani podjęcia ani zrealizowania reform ustrojowo gospodarczych.

Zachodnioeuropejski ruch protestu i reformy oddziaływać będzie na ruchy anty-stalinowskie w Europie Wschodniej tylko wówczas jeżeli uświadomimy sobie powszechnie następujące punkty:

I. Reformy wymaga zarówno kapitalizm jak i komunizm. Stalinizm wzmacnia prawicową reakcję na Zachodzie — prawi-

cowa reakcja na Zachodzie wzmacnia z kolei stalinizm. Rozbicie tej współzależności powinno stanowić wspólny cel postępowych ruchów tak na wschodzie jak na zachodzie Europy. Jeżeli program radykalnych przemian ustrojowo-gospodarczych określimy jakże wieloznacznym dziś terminem „rewolucji” — to należy stwierdzić, że ich rewolucja nie może się dokonać bez zwycięstwa naszej rewolucji i odwrotnie.

II. Zrozumienie powyższych prostych tez utrudnia nam obciążenie historyczne. Wielu nawet postępowo myślących ludzi w Zachodniej Europie — a Polacy w szczególności — przez „rewolucję” rozumieją rozbicie Rosji. W sumie wytworzyła się paradoksalna sytuacja. O problemie narodowościowym w Sowietach zachodnie *establishments* i politycy pravicowi milczą, by nie psuć sobie stosunków z Kremlem. Niepisana „konstytucja” polityki koegzystencji wymaga, by nie mówić nic na temat Ukrainy.

Wśród kół postępowych lecz nie *fellowtraveller*'skich problem narodowościowy uważany jest za nacjonalistyczny dynamit, który w sprzyjających warunkach rozbije cytadelę sowiecką.

Wstawmy się w położenie uczciwego rewolucjonisty rosyjskiego. Z kim ma on rozmawiać na Zachodzie i gdzie ma szukać poparcia?

III. Pierwszeństwo musi być przyznane obaleniu stalinizmu. Celem naczelnym jest reforma ustroju. Rozwiązanie problemu narodowościowego jest jedną z pochodnych tego procesu. Stawiając sprawę w ten sposób możemy liczyć na pozyskanie postępowych kół rosyjskich wykazując im, że istnieje ścisła współzależność pomiędzy naszymi celami.

Walter Kolarz w swojej książce wykazał, że unormowanie problemu narodowościowego musiałyby się zacząć od nawrotu do konstytucji i legalizmu. Gdyby przywrócono wszystkie uprawnienia, które republikom sowieckim gwarantuje konstytucja — Związek Sowiecki przemieniłby się automatycznie w *commonwealth* niezależnych państw i narodów. Doktryna Breżniewa stoi w jawnej sprzeczności z konstytucją sowiecką, która każdemu państwu — nie tylko socjalistycznemu lecz nawet wschodzącemu w skład Związku Sowieckiego — gwarantuje prawo wystąpienia ze związku, bez względu na to czy taki krok leży w interesie wspólnoty komunistycznej czy nie.

Stalinowcy nie przywrócą legalizmu ani w tej, ani w żadnej innej dziedzinie i dlatego obalenie stalinizmu uznać należy za problem naczelną a sprawy narodowościowe za problem wtórny.

W tych sprawach nie należy niczego przesądzać. Dziś Ukraińcy są niezadowoleni przede wszystkim z powodu bezwzględnej rusyfikacji ich kultury, jak również dlatego, że bardzo znaczny

procent ich dochodu narodowego inwestuje się na Syberii zamiast na Ukrainie. Lecz z chwilą gdy Ukraina będzie miała swój niezależny rząd, własne przedstawicielstwa dyplomatyczne zagranicą itp. nie można wykluczać że może nie zechce wystąpić ze zreformowanego *commonwealth'u*.

Gdyby po wojnie Francuzi dali Wietnamowi szeroką autonomię — nie byłoby tragedii wietnamskiej i Francja miałaby w tej części Azji nie mniejsze wpływy niż Anglicy w Indiach. Rosjanie zatrzymają swój związek państw tylko wówczas — jeżeli państwowom członkowskim będzie się opłacało należeć do związku. Autonomia polityczna, kulturalna i gospodarcza oraz decentralizacja władz związkowych — stanowią minimalny program w tej dziedzinie.

Chcę uwypuklić fakt, że w kontekście europejskim rewolucja jest jedna i niepodzielna. Jeszcze raz podkreślam, że terminem „rewolucja” obejmuję głęboko odczuwaną potrzebę radykalnych zmian i reform — potrzebę równie głęboko odczuwaną w Paryżu, w Pradze, w Warszawie i w Moskwie.

Na zachodzie Europy mamy miliony antykomunistów. Ci ludzie w znakomitej większości przez rewolucję (w Rosji) rozumieją kontrrewolucję. Sympatia dla Dubczeka wywodziła się z przesłanki, że wcześniej lub później przekroczy linię oddziałającą rewolucję od kontrrewolucji, linię oddzielającą socjalizm od neokapitalizmu zachodnioeuropejskiego. Z tych przyczyn rewolucjoniści typu Dubczeka budzą sympatię, która im więcej szkodzi niż pomaga. W gruncie rzeczy ludzie klasy Dubczeka są całkowicie izolowani i nie mają rzetelnych sojuszników w Zachodniej Europie. A przecież wszystkie nasze nadzieje związane są z Dubczekami.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie proponowałby premierowi Wilsonowi, by paktował z rewizjonistami wschodnioeuropejskimi przeciwko Breżniewowi i Kosyginowi. Polityki państwowe skazane są na koegzystencję. Polityka państwowa reprezentuje *establishment*. Istnieje jednak inny typ polityki, która reprezentuje napór i protest. Owa polityka po latach staje się również polityką *establishment*. Wielkość demokracji polega na tym, że umożliwia przeciwnikom *establishment* wykrystalizować swój program i z czasem stać się nowym *establishment*. Gdyby w Rosji ów proces funkcjonował normalnie — nie byłoby problemu.

Otóż wydaje mi się, że przywódcy ruchów protestu w Zachodniej Europie winni sobie wreszcie zdać sprawę, że obalenie stalinizmu jest nie tylko wymogiem bezpieczeństwa lecz również

podstawowym warunkiem sukcesu polityki radykalnych reform na Zachodzie.

Wychodząc z powyższego założenia teoretycy i przywódcy zachodnioeuropejskiego ruchu protestu winni wypracować nowy program polityczny w stosunku do Rosji i krajów Europy Wschodniej. Program musiałby być tak skonstruowany, by był do przyjęcia dla rewolucjonistów i rewizjonistów rosyjskich i wschodnioeuropejskich. Ów program winien wyrażać solidarność z ludźmi protestu we Wschodniej Europie — solidarność nie werbalną lecz opartą na analogicznych założeniach ideowych i społecznych. My potrzebujemy ich a oni potrzebują nas i ten fakt powinien stanowić podstawę sojuszu, pomiędzy młodą Rosją a młodym europejskim Zachodem — podstawę sojuszu pomiędzy ruchami protestu i reformy po obu stronach „żelaznej kurtyny”.

Kultura nr 1/256-2/257, styczeń/luty 1969

ROZWAŻANIA EMIGRACYJNE

Stefan Arski i wielu innych reżymowych „specjalistów” głosiło przez szereg lat, że problem emigracji politycznej zostanie rozwiązany na drodze biologicznej.

Przyznaję otwarcie, że myślałem podobnie. Gdy w roku 1948 zacząłem pisać do *Kultury* — oceniałem wówczas, że nasz miesięcznik ma przed sobą 15-20 lat życia. W owym czasie nie przerażała mnie ta perspektywa, ponieważ byłem przekonany, że za 15 czy 20 lat wrócimy do Kraju.

20 lat temu tylko nieliczni Polacy posiadali w Londynie telefony. Ponieważ książki telefoniczne nie były pomocą — gdy zostałem londyńskim korespondentem *Kultury* założyłem moją własną księgę adresową. Z czasem zebrałem setki adresów Polaków zamieszkałych w Londynie i w Wielkiej Brytanii.

Ową księgę adresową założoną przed dwudziestu laty zachowałem do dzisiaj. Lektura tego rejestru nazwisk jest czymś przygnębiającym. To jest dosłownie cmentarz. Sądzę, że 80 % emigrantów, których adresy pieczołowicie odnotowałem nie żyje.

W Anglii nie było epidemii dżumy tylko ludzie umierali zwyczajnie i po prostu. Należy więc przyjąć, że proces biologiczny miał podobny przebieg i w innych krajach polskiego osiedlenia.

Wydawałoby się więc, że księga adresowa, którą wspomniałem potwierdza moją tezę z 1949 r., — że *Kultura* będzie stopniowo lecz stale tracić prenumeratorów i po dwudziestu latach licząc od jej założenia prenumeratorów będzie już tak mało, że nie zdołają utrzymać pisma.

Moja księga adresowa potwierdza powyższą tezę, lecz na szczęście fakty jej przeczą. Nakład *Kultury* nie tylko nie zmalał, lecz stale wzrastał i dziś, po dwudziestu latach, jest nieporównanie większy niż w roku 1949. W ubiegłym roku przybyło *Kulturze*

Do tej pory za emigranta politycznego uważaliśmy Polaka, który po demobilizacji z Armii Polskiej na Zachodzie odmówił powrotu do Kraju albo Polaka, który przyjechał z Polski i wybrał wolność. Prawo azylu przysługuje tylko tym jednostkom, którym w kraju ich pochodzenia grożą represje. Polski inżynier czy lekarz, który nigdy nie zajmował się polityką, jeżeli po przyjeździe do Anglii pragnie osiedlić się w tym kraju — musi otrzymać zezwolenie na pracę i na stały pobyt. Zwykle petent otrzymuje wizę pobytową na rok czy na dwa lata, później stara się o przedłużenie swojej wizy a po 5-ciu latach zdobywa podstawę do ubiegania się o obywatelstwo brytyjskie. O tym czy ów lekarz jest czy nie jest emigrantem politycznym decyduje jego postawa. Jeżeli zdecydował się osiedlić w Anglii ponieważ w tym kraju brak jest lekarzy i perspektywy zarobkowe są lepsze niż w Polsce — oczywiście nasz lekarz jest emigrantem zarobkowym a nie politycznym. Lecz jeżeli ów lekarz zaprenumeruje *Kulturę* po roku czy po dwóch latach może się stać przekonany politycznym emigrantem. Jeżeli przez dłuższy okres czasu będzie porównywał nasz miesięcznik z prasą krajową — mogą mu się otworzyć oczy na zagadnienia, których dawniej nie dostrzegał.

Nowy rzut emigracyjny ocenia się na 20 tysięcy osób. Powstała w pewnej mierze sytuacja paradoksalna. Z jednej strony reżym w Polsce uważa emigrację a zwłaszcza *Kulturę* za swojego głównego przeciwnika. Z drugiej strony ten sam reżym produkuje nową emigrację i nowych czytelników *Kultury*. Można uznać za pewne, że dopóki w Polsce istnieć będzie ustrój totalistyczny dopóty istnieć będzie polityczna emigracja.

Ponieważ nowa emigracja nie jest ani opracowana ani przeanalizowana jako fenomen socjologiczny w wielu wypadkach wypowiada się w tej sprawie nieprzemyślane sądy. Weźmy następujący przykład. Na ogół panuje opinia, że najbardziej niezłomna

zrozumiała i klasyczna chęć powrotu „na Ojczyzny łono”. Są ludzie, którzy płacą na Fundusz *Kultury* anonimowo — ponieważ boją się, że ujawnienie ich nazwiska w spisie ofiarodawców zaszkodziłoby im w staraniach o wizę PRL. Ci sami ludzie nie należą do organizacji emigracyjnych — nie ma ich nazwisk pod protestami w sprawie Czechosłowacji — nie biorą udziału w manifestacjach i unikają jak ognia wszelkiej łączności z polityczną działalnością emigracji w obawie, że władze PRL, odmówią im wizy.

Wielu naszych Czytelników sądzi, że jestem z zawodu specjalistą od Polski Ludowej i wskutek tego radzą się mnie w tych sprawach. Polityka PRL jest nieobliczalna i nie można przewidzieć co komu zaszkodzi a co nie zaszkodzi. Petentowi starającemu się o wizę — „Polonia Restituta” np. nie zaszkodzi. Podobnie jest z awansami. Awanse są na ogół honorowane przez władze PRL — co nie jest szczegółem bez znaczenia dla osób, które wracają do Kraju na stałe.

Znam polskich uczonych na emigracji, którzy dawniej pisywali do *Kultury* artykuły ze swej specjalności. Dziś tego zaniechali ponieważ jeżdżą co roku na urlopy do Kraju.

Odwiedzanie Kraju jest rzeczą naturalną lecz trzeba wyważyć jaki obol płaci się „antyojczyźnie” za prawo odwiedzania Ojczyzny.

Nie mam zamiaru projektowania nowego kodeksu postępowania dla emigracji. Chciałem tylko wykazać, że jesteśmy dziś znacznie mniej niezłomni niż dawniej i jesteśmy znacznie mniej niezłomni niż nam się to wydaje. Nasza niezłomność jest czysto werbalna i ogranicza się do kilku nudnych tygodniowych artykułów w konserwatywnych pismach, których nakłady są małe a wpływ jeszcze mniejszy.

mu. To nowi emigranci spowodowali, że intelektualiści, którzy stronili od nas przyszli dziś na nasze podwórko, ponieważ przekonali się, że nie oni tylko *Kultura* miała rację. Nie odstępując ani na krok od socjalizmu lecz równocześnie usztywniając naszą dotychczasową politykę, wyczuliśmy prawidłowo sytuację i wskutek tego większość inteligentów nowej fali emigracyjnej znalazła się w kole naszych Czytelników.

Jest oczywiste, że nawet ludzie, których odwiedzają liczni Polacy z Kraju i którzy cały swój czas poświęcają studium Polski Ludowej nie wyczuwają w pełni współczesnego polskiego społeczeństwa. Jednak w oparciu o wieloletnie doświadczenie w tych sprawach stwierdzam, że jedną z głównych przeszkód w dialogu: Kraj-Emigracja — jest niemal zupełny brak znajomości emigracji i jej spraw w Kraju. Przeciętny krajowiec, który przyjeżdża do Londynu czy Paryża o emigracji nie wie nic. Poza oczerniającą reżymową propagandą nie ma żadnych źródeł w tej dziedzinie. Wielokrotnie Polacy krajowi odwiedzający Londyn zwracają się do mnie z prośbą abym im wskazał książkę czy broszurę, która w sposób obiektywny informowałaby czym jest emigracja, z jakich i z ilu ośrodków politycznych się składa, czym są i co reprezentują partie polityczne itp. Ze wstydem tłumaczyłem moim rozmówcom, że takiej książki nie ma i w moim przekonaniu nigdy nie będzie. Przewodnik po emigracji musiałby mieć charakter oficjalny — innymi słowy musiałby być uzgodniony i zaakceptowany przez wszystkie ośrodki polityczne. Musiałby być wolny od jakiegokolwiek propagandy i odzwierciedlać rzeczywisty stan rzeczy. W warunkach emigracyjnych to wszystko jest nieosiągalne. Rada Trzech nie zgodzi się nigdy na obiektywny opis ośrodka prez. Zaleskiego — prez. Zaleski nie zgodzi się nigdy na obiektywny opis Rady Trzech. W rezultacie, gdyby praca tego typu miała powstać musiałaby mieć charakter prywatny. Zbędne dodawać,

owani przez nas. W rezultacie *image* emigracji w oczach przeciętnego Polaka w Kraju jest spaczony a często karykaturalny — co nie ułatwia dialogu z Krajem.



U przybyszów z Kraju zwłaszcza młodego i średniego pokolenia uderzają dwie cechy: głód kultury europejskiej i polityczna nieufność do Zachodu. „Polskość-europejskość” to jest problem, który jest dziś żywszy niż kiedykolwiek w przeszłości.

Ponieważ mocarstwa zachodnie wydały nas Wschodowi — zrozumiała jest reakcja, że „Polska leży nad Wisłą” i że tylko nad Wisłą można tworzyć kulturę polską. Gołubiew głosił, że Gombrowicz powinien był spędzić życie w Radomiu.

Na powyższe tematy w prasie krajowej toczyła się swego czasu szeroka dyskusja z wybitnym udziałem Stefana Kisilewskiego, który reprezentował „nadwiślanizm”.

Czy można być Polakiem i Europejczykiem? Jeżeli Polak może być Europejczykiem to za jaką cenę?

„Nadwiślanizm” wyrodnieje często w parafianizm — a polski parafianizm jest typowo wschodni. Parafianizm w większym lub mniejszym stopniu istnieje wszędzie — lecz nie wszędzie wykazuje cechy wschodnie. Polskość parafiańska jest nie do pogodzenia z europejskością nie dlatego, że jest ciasna. Ciasnoty kulturalnej w Europie Zachodniej nie brak również. To jest w pewnej mierze problem formy — jakby powiedział Gombrowicz. Nasza parafiańskość w jej aspekcie narodowym jest rytualistyczna, dogmatyczna, totalistyczna, nietolerancyjna i dlatego jej formą wyrazu jest „drętwą mowa” czy to w wydaniu krajowym czy emigracyjnym.

Gdybyśmy opracowali „geografię stylu” — to przekonalibyś-

my się, że styl tych, którzy przemawiają publicznie „udrętwia się” w miarę posuwania się z Zachodu na Wschód.

Piszemy stale o kłamstwach propagandy komunistycznej. Jeżeli Kosygin czy Gomułka mówią o demokracji — nie są to pospolite kłamstwa tylko formy rytualistyczne charakterystyczne dla wschodniego autokratyzmu. Prawdą jest to, co władza głosi, że jest prawdą. Wszystko inne jest nieprawdą.

Polski parafianizm nie ma nic wspólnego z ideologią czy z polityką. W Kraju wydano już drugi nakład książki Witolda Fillera pt. „Teorie i Praktyki Paryskiej Kultury”. W londyńskich *Wiadomościach* ukazała się niedawno w opracowaniu p. St. Zarzeńskiego ankieta na temat moich książek. Istnieje uderzająca zbieżność w obu powyższych opracowaniach. Respondenci ankiety są antykomunistami — p. Filler jest komunistą. Lecz łączy tych panów coś znacznie więcej niż ich dzieli. Łączy ich polski parafianizm. Parafianizm jest wrogi w stosunku do każdej niezależnej myśli i w stosunku do każdego niekonformizmu. Z tej przyczyny znaczny procent respondentów ankiety jest równie wrogo nastawiony do *Kultury* jak p. Filler.

Lecz tematem tych rozważań jest nowy rzut emigracji a nie starsi panowie z kręgu *Wiadomości*, którym osobiście życzę jak najlepiej.

Wielu młodych Polaków zdolnych do szybkiej adaptacji w nowym otoczeniu — pozbywa się parafiańskości i polskości za jednym zamachem. Młodym często wydaje się, że droga na Zachód wiedzie poprzez porzucenie polskiego getta.

W potocznej polszczyźnie mówimy o pisarzu, którego książki ukazują się w obcych przekładach, że „wyszedł na świat”. Anglik nie musi „wychodzić na świat”. Wystarczy aby napisał dobrą książkę w swoim własnym języku. Innymi słowy, Anglik rodzi się „na świecie” — Polak natomiast musi dopiero na ten świat „wychodzić”.

Tylko parafianin (w sensie mentalności) mówi o tzw. „szerokim świecie”. Jeżeli ktoś parafianinem nie jest, mieszka zawsze na szerokim świecie, choćby to był Radom.

Najwyżej cenionym w Kraju pisarzem emigracyjnym był Witold Gombrowicz. Trudno sobie wyobrazić pisarza bardziej antyparafiańskiego — pisarza, który by głębiej i doszczętniej chłostał i wyszydzał polską, patriotyczną liturgię z jej zaściankowością i śmiesznymi „fumami”, które jak szkarłat błazna pokrywają kompleks niższości.

Równocześnie Gombrowicz był dumnym Polakiem. Nie wątpił, że zostanie uznany za wybitnego Europejczyka jako Polak. Pisał własną, najrdzenniejszą z rdzennych polszczyzną z całkowitą po-

gardą dla swoich nieszczęsnych europejskich tłumaczy. Nie ci Polacy co piszą po angielsku — nie ci co piszą „pod tłumaczy” — tylko Gombrowicz otrzymał najwyższą nagrodę europejską i jedynie śmierć przedwczesna odcięła go od nagrody Nobla, którą, gdyby żył, niemal na pewno by otrzymał.

Gombrowicz z właściwą mu nonszalancją przekonał parafian-
skich rodaków, że wybitny Polak jest Europejczykiem z urodze-
nia, z kultury, z talentu — identycznie jak Francuz czy Anglik.
Polska kultura „przeszkadza” tylko tym, którzy nie posiedli jej
w dostatecznym stopniu. Tacy panowie zebrani wokół swej para-
fialnej studni — mówią zawsze o „wielkim świecie”. Gombro-
wicz natomiast uważał, że tzw. „wielki świat”, Europa, Zachód
itp. — to jest on. I miał rację. Wspaniały Polak.

Nie każdy może być Gombrowiczem. Młodzi inteligenci i inte-
lektualiści z nowej emigracji powinni jednak przyjąć jego postawę,
która streszcza się w stwierdzeniu, że droga do Europy czy
do Ameryki dla Polaka wiedzie przez polskość a nie przez jej
odrzućenie. Getto to nie jest bigos w Ognisku, czy flaki u Kom-
batantów. Getto to jest mentalność. W konfrontacji z Zachodnią
Europą — młody emigrant powinien odrzucić parafianizm i pogłę-
bić znajomość polskiej kultury, co w tej chwili łatwiej można
osiągnąć w Paryżu czy w Londynie niż nad Wisłą. Nie ma smut-
niejszego widoku jak ludzie z nikąd, którzy mówią z obcym
akcentem po angielsku i błędnie po polsku, którzy nie są ani
stuprocentowymi Polakami ani stuprocentowymi Brytyjczykami,
którzy nie tylko są bez własnej ojczyzny ale i bez własnej kultury.

Jako stary emigrant chciałbym przekonać nowych emigrantów,
że będą Europejczykami czy Amerykanami tylko w tej mierze
jakimi będą Polakami. W Europie czy w Ameryce Polacy na naj-
rozmaitszych stanowiskach cenieni są wówczas, jeżeli oprócz
swych kwalifikacji zawodowych — posiadają doskonałą znajo-
mość Europy Wschodniej, jej kultur i języków. To jest zrozumu-
miałe — ponieważ trzeba być skądś na to by być kimś.



Ów cykl rozważań związany jest z wizją, która od dłuższego
czasu mnie nie opuszcza.

A. Kuzniecowa w wywiadzie radiowym odmalował sytuację
w Sowietach z przerażającą plastyką. Równocześnie oświadczył,
że KGB jest tak wspaniale zorganizowana, że rewolucja w Rosji
nie jest w tej chwili możliwa. Oczywiście to jest opinia indy-
widualna i zabarwiona emocjonalizmem. Jednak nie można kwi-
tować machnięciem ręki wypowiedzi pisarza, który był w So-

wietach jeszcze tak niedawno a nie 30 lat temu jak większość naszych sowietologów. Kuzniecow rozmawiał o wyjeździe z około dwudziestoma pisarzami sowieckimi. Jeżeli przyjąć świadectwo Kuzniecowa, to bardzo znaczny procent intelektualistów pragnie z Rosji wyjechać, lecz niewielu myśli o rewolucji.

Stalinowcy za wszelką cenę pragną utrzymać się przy władzy lecz nie mają tej władzy, którą miał Stalin. Intelektualiści stanowią stałe źródło niepokoju i fermentu. Związek Pisarzy Sowietkich liczy 5 tysięcy członków. Sądzę, że Stalin mógłby kazać jednej nocy zaarrestować 1.500 pisarzy i wywieźć ich do łagrów. Breżniew nie mógłby zaarrestować jednej nocy nawet 50 pisarzy. To nie tylko „nie te czasy” ale przede wszystkim „nie ta władza”. To samo dotyczy Gomułki. Gomułka może zorganizować proces grupy studentów i intelektualistów lecz nie może zaarrestować pół setki pisarzy w Warszawie.

Wszystkie „usztywniania linii”, pouczenia, obostrzenia cenzury itp. nie prowadzą do celu. Przeciwnie, pogłębiają tylko niezadowolenie i ferment. W takiej sytuacji aparaczykom przy władzy musi nieuchronnie nasunąć się refleksja, że Kołakowskich znacznie bezpieczniej jest mieć w Kalifornii niż w Warszawie a Kuzniecowów znacznie bezpieczniej jest mieć w Londynie niż w Moskwie.

Aleksander Dubczek powiedział, że ponieważ partia nie potrafiła zmienić narodu — musi zmienić się sama. Można jednak podjąć politykę nie ewolucjonizmu, lecz anty-ewolucjonizmu. Można ułatwiać wyjazd nie tylko Żydom, lecz pisarzom i intelektualistom. Na tej drodze można obniżyć kulturalny poziom narodu. Dla Breżniewa czy Gomułki pozbycie się humanistycznej elity byłoby rzeczą wysoce pożądaną.

Jeszcze za czasów Chruszczowa przywiązywano na Kremlu pewną wagę do wizerunku Rosji na Zachodzie. Lecz gdyby jutro wylądowało w Londynie 20 pisarzy sowieckich — żaden z nich nie powiedziałby już niczego więcej niż Kuzniecow. Trudno dziś skompromitować czy oczernić Rosję, gdyż już bardziej skompromitowanym być nie można. Sowiety nie ryzykowałyby niczego wysiedlając stopniowo owo intelektualne „gniazdo szerszeni” na Zachód.

To są zwykle małe jednoszpaltowe notatki w prasie, które mówią o najdramatyczniejszym procesie w Europie Wschodniej. Austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych ujawniło, że dwiętnastego sierpnia 1969 r. 72 Czechów prosiło o azyl. Przeciętą cyfrą proszących o azyl z 28 osób podniosła się w ostatnich miesiącach niemal trzykrotnie. W obecnej chwili przebywa w Austrii ponad 15 tysięcy Czechów. W większości są to studenci, pisarze, uczeni, intelektualiści.

Do dnia 21 sierpnia 1968, to jest do chwili inwazji, poza granicami kraju żyło 40.000 Czechów i Słowaków. W przeciągu ostatnich 12 miesięcy owa cyfra podniosła się do 60.000.

Małym i średnim krajom Europy Wschodniej na skutek ucisku stalinowskiego grozi „irlandyzacja”. W rezultacie systematycznej emigracji trwającej nieprzerwanie od roku 1830, znacznie więcej Irlandczyków żyje za granicą — głównie w Ameryce — niż w obu Irlandiach. Jeżeliby przyjąć, że ucisk stalinowski będzie trwał następne 25 czy 30 lat — Czechosłowacji choć z innych przyczyn grozi ten sam los.

Najgroźniejszą jednak wydaje mi się pauperyzacja intelektualna. Jeżeli totalny sowiecki system przetrwa w Europie Wschodniej 50 czy 100 lat, kraje tego rejonu Europy wyludnią się z piaszyszczy, uczonych, intelektualistów. Nie jest wykluczone, że owa emigracja stanie się częścią składową polityki reżymów, które w ten sposób dążyć będą do realizacji prostego programu: Gomułkizm dla Gomułków.

W każdym razie wydaje się nie ulegać wątpliwości, że emigracja polityczna staje się zjawiskiem o innych wymiarach i innym charakterze niż dawniej. Być może emigracja intelektualna z Wschodniej Europy trwać będzie bardzo długo. Nie można wykluczyć, że przez najbliższe lata literatura, sztuka, nauka polska w przeważającej mierze rozwijać się będą na obczyźnie — nie w Kraju. Kto wie — czy nie przekształcimy się z emigracji w naród emigrantów. Niech mi nikt nie tłumaczy, że masowy exodus najlepszych jednostek w narodach wschodnioeuropejskich nie jest możliwy. Po stalinowskich łagrach, po pokazowych procesach, po najeździe na Czechosłowację — wszystko jest możliwe. De-intelektualizacja narodu na poważną skalę trwająca kilkadziesiąt lat pociągnęłaby za sobą konsekwencje, które trudno dziś przewidzieć — a cóż dopiero im zaradzić.

Przed nową emigracją zarysowują się ogromne zadania — nieporównywalne z eposem naszej wojskowej emigracji, która dobiega swego biologicznego San Dominga.

Kultura nr 10/265, październik 1969

W jednym z poprzednich moich szkiców wysunąłem pogląd, że w świecie polskim na obczyźnie panuje kryzys komunikacji. Terminy i określenia, których używamy stają się coraz bardziej wieloznaczne. Do każdego artykułu należałoby dołączać komentarz. Jeżeli autor używa słowa „demokracja” powinien w komentarzu dokładnie wyjaśnić o jakim typie demokracji mówi, jeżeli pisze o „rewizjonizmie” powinien sprecyzować co ma na myśli używając tego terminu itp., itd.

Gdy przeglądam moje artykuły z okresu ubiegłych trzech lat — dochodzę do wniosku, że niemal każdy artykuł służy do wyjaśnienia poprzedniego artykułu. Dyskusja jest pożyteczna, jeżeli dotyczy istoty rzeczy. Lecz my na ogół nie dyskutujemy tylko wyjaśniamy sobie nawzajem co rozumiemy przez dane terminy. Jeżeli Czytelnik stawia znak równania pomiędzy terminem „Rosja” a terminem „Związek Sowiecki” — nie jest w stanie zrozumieć większości politycznych artykułów w *Kulturze*. Dla innego Czytelnika określenie „socjalizm o ludzkim obliczu” może być niejasne. To jest bowiem skrót myślowy, który jest w pełni zrozumiały tylko dla tych Czytelników, którzy są dobrze obeznani z programem wolnościowej rewolucji w Czechosłowacji zdławionej przez Sowiety.

W związku z artykułem pt. „Futurologia polska” otrzymałem sporo listów. Nie brak wśród nich głosów pomawiających mnie o... faszyzm. Jeżeli socjalista zarzuca mi faszyzm — to jest oczywiste, że mówiąc o socjalizmie mój Czytelnik i ja mamy dwie różne rzeczy na myśli.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Jeżeli czas i zdrowie pozwolą — pragnąłbym opracować „Polityczny Słownik *Kultury*”. Tego typu słowniki mają Amerykanie,

cializm w naszym zrozumieniu jest z definicji demokratyczny. Pisanie więc o socjalizmie demokratycznym przypomina „masło maślane”. Z chwilą gdy omawiany słownik zostanie opracowany — wystarczy gdy użyję słowa „socjalizm” bez żadnych dodatków — ponieważ Czytelnik, zwłaszcza niedostatecznie obznajmiony z *Kulturą* — spojrzy w naszym słowniczku pod hasło socjalizm i będzie wiedział o czym jest mowa.

Słownik jest potrzebny, także i dlatego, ponieważ wiele naszych koncepcji nadaje nowe znaczenie tradycyjnym terminom politycznym. Weźmy dla przykładu „program wschodni”. Historyczne ramy owego programu są utrzymane, staraliśmy się natomiast w naszym sformułowaniu uniknąć błędów, które spowodowały upadek pierwszego programu wschodniego.

Zdaje sobie sprawę, że dla Czytelnika z najnowszej emigracji powyżej przytoczone dwa zdania mogą być niezrozumiałe. Jaki program wschodni? Na to by wyjaśnić o czym mówimy — trzeba by napisać ogromny artykuł — pomimo, że na ten temat pisaliśmy w *Kulturze* wielokrotnie i z dużą dokładnością. W słowniczku, który chciałem opracować — hasło „Program Wschodni” będzie zwięzłe i jasno przedstawione co uczyni zbędnym konieczność powtarzania rzeczy dawno powiedzianych i napisanych.

Kultura stanowi pewne *novum* w polskiej tradycji politycznej. Jesteśmy ośrodkiem politycznym nie będąc partią polityczną ani związkiem konspiracyjnym. Nie jesteśmy związani ani statutem ani uchwałami i dzięki temu możemy poddawać rewizji każdy polski program polityczny bez lęku, że... usuną nas z partii. Partii politycznej do której bym przystąpił — jeszcze nie ma.

Jak już kiedyś podkreślałem przy innej okazji najbardziej kontrowersyjny wydaje się zawsze realizm i obiektywizm. Daleko łatwiej jest zdobyć tzw. „szeroką opinię” dla poglądu opartego o tradycję i pobożne życzenia — niż dla poglądu, który idzie

Był czas, kiedy prawdopodobnie i we mnie krew by wzięła czytając o planach rezygnacji ze Lwowa i z Wilna, o wmawianiu nam, że powinniśmy pomagać Ukraińcom w odzyskaniu niepodległości wianując ich przy tej okazji naszymi tradycyjnymi ziemiami. Dla mnie Lwów i Wilno były tak polskie.

W drugiej połowie lat 40-tych i w latach 50-tych Hiszpania utworzyła w Madrycie stypendia dla studentów zza żelaznej kurtyny. Pod jednym dachem znalazła się grupa polska, grupa ukraińska, był Litwin, było kilku Białorusinów, byli Czesi, Słowacy i inni. Początkowo dla mnie to był szok. Ale lata współżycia tych grup pozwoliły na zbliżenie i zrozumienie. Ileż nocy spać nie mogłem trawiąc sprawę Lwowa i Wilna: co słuszne? Co nie słuszne? Co realne? Dojrzwianie myśli i sądów sprawiało ból. Wydaje mi się, że alergię do artykułów p. Mieroszewskiego jest samoobroną, jest ucieczką od tego bólu. Jest u jednych reakcją strusia chowającego głowę w piasek, a u drugich jest formą „trawienia” (problemu) jeśli go przyjmują ale załamują się nerwowo”.

Autorem drugiego listu jest p. Andrzej Wołodkiewicz z Mont-real:

„... Czytam ze zgrozą jak to p. Mieroszewski oddaje szczodłą ręką Wilno Litwinom a Lwów Ukraińcom... Piszę to nie jako potomek rodziny osiadłej od wieków w Mińszczyźnie, ale jako Polak pragnący nie tylko niepodległości ale całości ziem polskich. Zamiast przygotowywać, na razie na łamach *Kultury*, piąty rozbiór Polski, należałoby pomyśleć o mądrej polityce mniejszościowej gwarantującej pełnię praw obywatelskich i wzajemne poszanowanie”.

Dla p. Wołodkowicza Ukraińcy i Litwini to są ciągle „mniejszości narodowe” a nie narody. Litwinom i Ukraińcom nie należy się w przyszłości nic tylko lepsza niż dawniej polska polityka mniejszościowa.

Nie jest łatwo Czytelnikowi przystosować się ani do naszej metody ani do naszego typu rozumowania. Jesteśmy zawsze nastawieni na Kraj — tzn. nie Drugą Rzeczpospolitą tylko obecną

tak krancowo różnym od obrazu Drugiej Rzeczypospolitej — że Polacy na Emigracji wzdygają się ów koncept przyszłości przyjąć za prawdopodobny.

Kilka dni temu jeden z moich londyńskich znajomych — człowiek o dużej inteligencji i wykształceniu — zatelefonował do mnie i powiedział co następuje: „Co pan wypisuje o polskim Dubczeku? Polskiego Dubczeka warszawiacy wywieźliby na taczkach tego samego dnia w którym by się pojawił”.

Śluchając owej opinii przypominałem sobie „światłe słowa” jednego z emigracyjnych pisarzy londyńskich, że „każdy socjalizm jest niewolą”.

Nie trzeba być doprawdy jasnowidzem by zdawać sobie sprawę z jakim entuzjazmem Polacy w Kraju powitaliby zniesienie cenzury, pociągnięcie do odpowiedzialności UBeków, zwolnienie z więzień politycznych itd. W przeciągu tygodnia prasa krajowa, radio i telewizja zmieniłyby swe oblicze nie do poznania. Za człowiekiem, który by tego dokonał opowiedzieliby się wszyscy. Socjalizm z ludzkim obliczem miałby poparcie 70 a może 80 procent społeczeństwa. I to jest zrozumiałe ponieważ „dubczekizm” w porównaniu z „gomułkizmem” wydawałby się Polakom w Kraju bez mała rajem na ziemi.

My nie żyjemy pod Gomułką i wskutek tego dla nas „dubczekizm” nie wydaje się atrakcyjny. Mówimy ciągle o konstytucjach, o pięcioprzymiotnikowych głosowaniach, wyborach, o demokracji w sensie zachodnim itd. Ponieważ większość z nas opuściła Kraj 30 lat temu — czerpiemy naszą polskość z przeszłości. Ja sam przed spaniem czytuję „Pana Tadeusza”. Umiem go prawie na pamięć. Lecz to jest jedna Polska do której każdej nocy bezpiecznie mogę powrócić.

Jesteśmy w znacznej mierze „literackimi” Polakami. Giniemy „zdradą” naszej literatury, która nie uczyła nas nigdy rzeczywisto-

Za czasów mojej wczesnej młodości mówiło się o Powstaniu w 1863 jak o dniu wczorajszym. Znałem osobiście wielu powstańców. Później przysła pierwsza wojna światowa — Legiony — rok 1920 — króciutki i zewsząd zagrożony okres niepodległości i druga wojna światowa. Jesteśmy narodem „w stanie wyjątkowym” od pokoleń. Stan wyjątkowy oznacza oczywiście powszechną mobilizację — z mobilizacją literatury włącznie. „Twierdzą nam będzie każdy próg” — nie napisał zawodowy wojskowy — tylko zawodowa literatka.

Gdybym się doczekał normalnej Polski — ułożonej i zabezpieczonej z zewnątrz — pierwszy domagałbym się całkowitej demobilizacji literatury. W przeszłości owa mobilizacja, która trwała dziesiątkami lat doprowadziła do pewnego typu schizofrenii, do dwóch Polsk: jednej literackiej skazanej na wielkość i purpurę — oraz drugiej, rzeczywistej tonącej w błocie i w zacofaniu.

Różnica pomiędzy mną a Czerniawskim sprowadza się do różnicy pokoleń. Dla młodych owo stulecie 1863-1963 nie stanowi ciągłości wywodzącej się z własnych doświadczeń. W rezultacie, młodzi nie są świadomi, że alarmu nikt nie odwołał, że stan wyjątkowy trwa nadal.

W *Kulturze* od samego początku staraliśmy się wyrwać z owego zaczarowanego koła Polski literackiej — ponieważ zdawaliśmy sobie sprawę, że politykę polską projektować można tylko w rzeczywistej materii, a nie na papierze. Owym rzeczywistym materiałem jest Polska Ludowa, komunizm i sytuacja geopolityczna. To jest glina z której należy lepić obraz przyszłej Polski — jeżeli ów obraz ma mieć cechy podobieństwa i prawdopodobieństwa.

Ewolucjonizm, który zakładał, że cokolwiek w Polsce się stanie nie wyłączając rewolucji — będzie ulepione z gliny, którą jest polska rzeczywistość — pokwitowany został na emigracji jako „program minimalistyczny”. Nazywano nas nauczycielami małości.

tragedii praskiej, po procesie Taterników — podejmą jakąś konkretną polityczną działalność. Nie mam pretensji do tych nowych emigrantów, którzy stronią od *Kultury*. *Kultura* nie może być pismem neo-marksistowskim, ponieważ poczytano by to za dywersję. Lecz dlaczego ci nowi emigranci, którzy związani byli z Partią — nie wydają choćby własnego kwartalnika?

Dubczeka wezwano z Ankary do Pragi. Dlaczego Dubczek nie wysiadł z samolotu w Paryżu i nie poprosił o azyl? Wokół niego skupiliby się wszyscy czescy emigranci — ponieważ Dubczek pomimo swych błędów — jest dziś w pewnej mierze legendą. Legendą jest również Leszek Kołakowski i to w całym Bloku Wschodnim włącznie z Sowietami. Tych dwóch ludzi tak niezmiernie różnych jednak coś bardzo istotnego łączy. Symbolizują obaj pewną charakterystyczną postawę.

Tak Dubczek jak i Kołakowski są rewizjonistami, zwolennikami socjalizmu z ludzkim obliczem i obaj za swoje przekonania zostali usunięci ze swych partii.

Lecz można doszukać się i głębszych analogii. Obaj cytowani panowie reprezentują sukces sowiecki w niezmiernie istotnej sprawie. Sowietom nie powiodło się wykorzenieć rewizjonizmu, nie powiodło się im zdławić w ludziach tęsknoty za wolnością intelektualną niemniej Sowiety odniosły znaczny sukces na innym polu.

Od chwili zdobycia władzy przywódcy sowieccy wypowiedzieli wojnę emigracji. Owa wojna przechodziła przez różne fazy. Dziś na ogół władze sowieckie emigrantów ani nie mordują ani nie porywają — lecz Moskwa wypracowała inną metodę walki. Każdy emigrant jest z definicji dywersantem, szpiegiem i zdrajcą. Ideologię antyemigracyjną przeszczepiono wszystkim państwom satelickim. Od „Na Podstawie Martwej Wizy” — poprzez pamflety Arskiego aż dziś po „studia” Fillera i Kolczyńskiego — kampania przeciw emigracji idzie nieprzerwanie od ćwierć wieku.

Ktoś powie, że ludzie klasy Kołakowskiego czy Dubczeka są zbyt inteligentni by wierzyć w nonsensy antyemigracyjnej propagandy. W tym wypadku nie chodzi o oszczerstwa lecz o rzecz niepomierne bardziej zasadniczą.

Sukces szkolenia sowieckiego polega na tym, że rewizjoniści — często znacznego kalibru — przejęli dogmat, który głosi, że emigracja jest ślepą ulicą i drogą donikąd. W konsekwencji nie należy na emigracji podejmować żadnych akcji — ponieważ każda akcja emigracyjna skazana jest na klęskę.

Zbędne dodawać, że gdyby Lenin i jego współtowarzysze myśleli podobnie — nie byłoby rewolucji październikowej. Można by wyliczyć całą litanię przewrotów i rewolucji, które brały swój początek na emigracjach.

Dubczek nie wybrał wolności, ponieważ na skutek szkolenia partyjnego jest uwarunkowany w przekonaniu, że na emigracji nie można niczego dokonać. Jestem pewien, że Lenin w analogicznej sytuacji pozostałby zagranicą.

Z jednej strony zwalcza się emigrację jakby była czwartym supermocarstwem świata a z drugiej strony szkoli się tysiące komunistów w poglądzie, że emigracja jest polityczną nicością. Nie ma w tym logiki lecz w systemach totalnych logika jest najmniej poszukiwanym i najmniej cenionym artykułem.

Chciałbym zakończyć te rozważania przypowieścią o zupie pomidorowej i demokracji, którą to przypowieść dedykuję Czytelnikom posadzającym mnie o skłonności monopartyjne. Różnica pomiędzy zupą pomidorową a demokracją polega na tym, że na zupę pomidorową mamy doskonałe i dokładne przepisy natomiast na demokrację przepisu nie ma.

Proszę łaskawie rozpatrzyć następującą sytuację. W sprzyjającej koniunkturze pojawia się w Polsce przywódca partii, który podejmuje hasło, że skoro partia nie zmienia narodu — partia musi się zmienić sama. Zostaje zniesiona cenzura — przedkłada się narodowi program radykalnych reform społecznych i gospodarczych — przywraca się praworządność gwarantującą wolność osobistą. Gdyby opisana reformacja została podjęta szybko, bez wahań, całym sercem — przywódca partii stojący na czele obozu reformy zdobyłby sobie entuzjastyczne poparcie niemal całego narodu. Gdyby ów przywódca był dobrym politykiem i taktykiem nie czekałby aż fala entuzjazmu opadnie i reakcja podniesie głowę lecz przeciwnie w chwili największego uniesienia ogłosiłby powszechne wolne wybory. W takiej sytuacji ludzie głosowaliby ławą nie na partię tylko na człowieka, na przywódcę, który wybawił ich z kajdan komunizmu i odsłonił przed nimi piękno socjalizmu. Sądzę, że wybory najuczciwsze lecz przeprowa-

dzone w takim momencie przyniosłyby drugoczące zwycięstwo partii polskiego reformatora. Powtarzam — w takich sytuacjach ludzie głosują na „bohatera”, a tym samym na partię, której on przywodzi. Gdyby Dubczek miał możliwość przeprowadzenia wyborów w chwili gdy „wiosna praska” stała w zenicie — odniósłby całkowite zwycięstwo ponieważ głosowałiby na niego niemal wszyscy a nie tylko komuniści i socjaliści.

Jak należy określić ustrój *de facto* jednopartyjny wyłoniony na drodze powszechnych i uczciwie przeprowadzonych wyborów?

Osobiście poparłbym polskiego reformatora lecz wstrzymałbym się od sądu kwalifikującego dotyczącego zarówno jego osoby jak i polskiej demokracji. Trzeba by odczekać rok a może dwa lata by przekonać się czy reformator nie przemienił się w dyktatora i stupajkę.

Lecz założmy, że socjalizm z ludzkim obliczem zdałby egzamin. Założmy że socjalistyczny system funkcjonowałby nie tylko prawidłowo lecz również ku zadowoleniu większości społeczeństwa. Wówczas socjaliści w każdych kolejnych wyborach zdobywaliby przytłaczającą większość mandatów poselskich spychając inne partie na pozycje czysto marginesowe. Czy to również nie byłaby demokracja? Czy nie jest pragnieniem każdego socjalisty by jego partia w wolnych wyborach zdobyła większość w parlamencie tak by mógł powstać rząd socjalistyczny? Czy celem socjalizmu nie jest społeczeństwo socjalistyczne, które głosowałoby nie na endeków tylko zawsze na socjalistów?

W moim przekonaniu za demokratyczny należy uznać ustrój, który najpełniej realizuje wolę społeczeństwa wyrażoną w wolnych wyborach. Wszystko inne nie jest istotne.

Demokracja jak wszystko na świecie jest kwestią stopnia. Skłonny jestem przypuszczać, że Rosjanie nie będą nigdy korzystali z takiej wolności z jakiej korzystają Anglicy. Lecz gdyby w przyszłości Rosjanie stworzyli ustrój, który dawałby im 40 % tej wolności z jakiej korzysta obywatel brytyjski — byłby to postęp wręcz gigantyczny.

Demokracje wschodnioeuropejskie — jeżeli kiedyś powstaną w co nie wątpię — będą różnić się znacznie od demokracji zachodnich i byłoby dziwne gdyby było inaczej. Być może, że Anglosasi owych ustrojów nie uznają za pełne demokracje. Lecz jak zauważyłem powyżej tylko na zupełną pomidorową istnieje szczegółowy przepis lecz nie na demokrację. Kopiowanie cudzych wzorów nie prowadzi do niczego. Ustrój musi wyrósć w móżdole, w walce i w trudzie z rodzimą glebą.

CZĘŚĆ DRUGA



„MALARIA”

Wyobraźmy sobie osadę położoną nad malarycznym, bagnistym jeziorem. Buduje się fabryki, zakłada szkoły, lecz ludzie pracują niewydajnie, ponieważ stale chorują na malarię. Mieszkańcom osady nie pomogą armie socjologów ani sztaby ekonomistów. Nie pomogą im dyskusje na temat ustroju, reform i polityki. W takiej sytuacji postęp w jakiegokolwiek dziedzinie jest wyłączony dopóki bagna nie zostaną osuszone i malaria zlikwidowana.

Z naszej fikcyjnej wsi przenieśmy się do Niemiec zachodnich. Moskwa podnosi stale alarmy w sprawie rosnącej grozy militarizmu niemieckiego. Jak to wygląda w rzeczywistości? Wydawałoby się, że armia niemiecka ma czego bronić. Rozwój gospodarczy i bogactwo Niemiec zachodnich jest czymś bezprzykładnym. Eksport wzrasta o 8 % rocznie. Władze namawiają firmy niemieckie by więcej importowały. Ekonomia niemiecka w przeciwieństwie do brytyjskiej — dławi się nadmiarem gotówki. NRF importuje właściwie tylko jeden „surowiec” tzn. cudzoziemskich robotników.

Armia niemiecka ma czego bronić ponieważ Republika Federalna stanowi fenomenalny sukces. Okazuje się jednak, że wszystko w Niemczech jest sukcesem z wyjątkiem armii. W NRF nie tylko nie ma militarizmu lecz armia — według ocen nie sowieckich lecz amerykańskich — pozostawia bardzo wiele do życzenia. Pomińmy stały brak młodszych oficerów i podoficerów — pomińmy również zarzuty rzeczoznawców amerykańskich wysuwane pod adresem łączności, transportu i artylerii Bundeswehry. Ten typ krytyki pozostawmy zawodowym wojskowym. Warto jednak przytoczyć opinię jednego z ekspertów Pentagonu, którego nazwiska prasa amerykańska ze zrozumiałych względów nie ujawnia. „Czego moż-

na oczekiwać” — zapytuje ekspert Pentagonu — „od armii która poniosła dwukrotnie klęskę w czasokresie jednego pokolenia, która ponad 10 lat żyła w cieniu armii amerykańskiej, która niewolniczo przejęła od Amerykanów wszystkie idee i koncepcje, która wyrzekła się narodowych aspiracji i której odmówiono broni atomowych?”

Armia taka — podkreśla komentator amerykański — nie może mieć zasadniczej wiary w własną funkcję i użyteczność.

To jest przykład — jeden z wielu — „psychicznej malarii” powodowanej przez bagno sowieckie okrażające Europę Zachodnią.

Tezą tego rozdziału jest pogląd, że Sowiety „malaryzują” nie tylko Bundeswehrę ale nas wszystkich. Drugą tezą tego szkicu jest pogląd, że twierdzenie — wzorem Dżilasa czy Marcuse’a — że można uzdrowić świat zachodni ignorując Sowiety — jest niepoważne. My jesteśmy tą osadą, którą wspominałem na wstępie i żyjemy w sąsiedztwie zatrutych bagien. Nic nam nie pomoże legion ekonomistów, socjologów, proroków i rewolucjonistów dopóki nie zlikwidujemy owego sąsiedztwa, które nas zatrui.

Dżilas w czasie swego pobytu w Londynie, w październiku 1968 r. w wywiadzie radiowym oświadczył, że przede wszystkim należy myśleć o reformie i przebudowie ustroju kapitalistycznego. Autor „Nowej Klasy” przyznał, że Jugosławia posiada dziś najbardziej liberalny ustrój z wszystkich państw komunistycznych. Jednak z całości jego wypowiedzi wynikało, że wszystkie swoje nadzieje wiąże nie z reformą komunizmu lecz z przebudową kapitalizmu.

Dżilas podkreślił, że kapitalizm jako system gospodarczo-społeczny nie jest zgniły i skazany na zagładę — jak głoszą komuniści — lecz przeciwnie wykazuje wielką dynamikę rozwojową i dla tego warto podjąć jego przebudowę.

Herbert Marcuse w swojej książce „One-Dimensional Man” (Routledge and Kegan Paul Ltd., Londyn) wykazuje znacznie mniej wiary w reformację systemu zachodniego. Analizę Marcuse’a omówimy szczegółowiej — natomiast w tym miejscu wystarczy stwierdzić, że jedną z jego podstawowych tez jest pogląd, że znaleźliśmy się w obrębie „błędneho koła”, które posiada właściwość samoumacniania się i utrwalania. Zbrojenia atomowe i lęk przed wojną nuklearną pociągają za sobą przemiany społeczne — jak rosnąca pozycja elity przemysłowo-wojskowej. Z drugiej strony owe przemiany społeczne niejako gwarantują dalszą rozbudowę przemysłów zbrojeniowych, które z kolei pogłębiają owe negatywne przemiany społeczne i tak *ad infinitum*. Marcuse widzi w studentach i w młodych intelektualistach — a nie w klasie robotni-

czej — siłę rewolucyjną. Studenci, mniej niż jakakolwiek inna warstwa społeczna, związani są z istniejącym *establishment*.

Analiz „choroby Zachodu” są tysiące lecz wydaje mi się, że wszystkim owym diagnozom czegoś nie dostaje. Weźmy następujący przykład. Pentagon jako najpotężniejsza militarna instytucja świata — nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Jowisza. W okresie Pearl Harbour Amerykanie mieli zaledwie 300 wyszkolonych pilotów wojskowych. Stany Zjednoczone rozbudowały swój olbrzymi potencjał zbrojeniowy w odpowiedzi na zagrożenie sowieckie. Owa rozbudowa nadała rozmach rewolucji technologicznej i naukowej, powstały nowe giganty przemysłowe, nowe instytucje polityczne, nowe ośrodki władzy, nowa mentalność i nowe problemy społeczne. Jeżeliby nawet przyjąć za Marcusem, że cały olbrzymi kompleks atomowo-zbrojeniowy wywiera zdecydowanie ujemny wpływ na rozwój społeczny, że zagraża demokracji, paraliżuje krytykę i przemienia w parodię rządy większości — to i wówczas należałoby stwierdzić, że *jesteśmy tacy, jakimi uwarunkowało nas zagrożenie sowieckie*.

Gdyby państwo „X” rozbudowywało potencjał atomowy kosztem służb społecznych — motywując swoją politykę bezpośrednim zagrożeniem najazdu ludzi z Marsa czy z Wenus — wówczas można by mówić o zwyrodnieniu i degeneracji. Lecz zagrożenie sowieckie jest arcyrealne i owo zagrożenie — a nie rewolucja technologiczna i jej socjalne konsekwencje — wywiera stały ujemny wpływ na wszystko, dosłownie na wszystko, co dzieje się na Zachodzie.

Wielu politycznych pisarzy zachodnich poucza nas filozoficznie, że istnieją trudne i niebezpieczne problemy z którymi trzeba nauczyć się współżyć. To jest słuszna teoria lecz tylko do pewnego punktu. Jeżeli współżycie z danym problemem możliwe jest tylko za cenę postępującej dezorganizacji, jeżeli współżycie z danym problemem wyłącza rozwiązanie innych podstawowych zagadnień — wówczas koegzystencję uznać należy za politykę błędną ponieważ w rezultacie przynosi więcej szkód niż korzyści.

Długotrwałe zagrożenie, na które nie znajdujemy konkretnej odpowiedzi, prowadzi do wytwarzania się cyklu „błędnych kół” we wszystkich dziedzinach życia. Pomińmy na razie sprawy społeczne i przyjrzyjmy się zagadnieniu obrony. Powszechny pogląd na ten problem sformułować można następująco. Europy zachodniej nie chroni *de facto* Bundeswehra ani żadna inna armia NATO tylko amerykański „parasol” atomowy. Czy istotnie tak jest? Czy można bronić danego państwa pociskami atomowymi wbrew jego woli? Czy należy nie-atomowym członkom NATO przyznać prawo decyzji w tej sprawie? Amerykanie reprezentują pogląd,

że członkowie NATO nie mają prawa *veto* w odniesieniu do ewentualnej decyzji Waszyngtonu w sprawie podjęcia obrony pociskami atomowymi. Innymi słowy Amerykanie zastrzegają sobie prawo bronięcia Europy pociskami atomowymi, nawet wówczas, gdyby Europa sobie tego nie życzyła.

Uznać można za pewne, że Rosjanie nie uczynią niczego by sprowokować atomowy atak amerykański wymierzony przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Uznać można również za pewne, że Amerykanie nie podejmą atomowego bombardowania Rosji — dopóki Sowiety nie rozpoczną atomowego bombardowania Stanów Zjednoczonych. W praktyce więc „parasol amerykański” polegałby na zastosowaniu taktycznych broni atomowych na terenie Europy. Gdyby Amerykanie zastosowali broń atomową na terenie Europy — Rosjanie uznaliby, że mają również wolną rękę w stosowaniu broni atomowych w Europie — co prowadzić by musiało niechcinnie do eskalacji bombardowań, które w krótkim czasie przemieniłyby nasz kontynent w radioaktywne pogorzelisko. Natomiast Związek Sowiecki — główne źródło wszystkich naszych „błędnych kół” pozostałby nietknięty. Pozostałby nietknięty, ponieważ nienaruszalność Związku Sowieckiego stanowi gwarancję nienaruszalności miast amerykańskich.

Polacy na emigracji — mając za sobą doświadczenia dwóch wojen światowych — wyobrażają sobie, że gdy „raz się zacznie” — wszystko potoczy się znanym trybem, którego finałem będzie totalna klęska Sowietów.

Nie podzielam tego poglądu. Osobiście jestem przekonany, że oba super-mocarstwa uczynią wszystko co możliwe by zaoszczędzić swoim krajom kataklizmu atomowego. Nie twierdzę, że oba super-mocarstwa nie użyją nigdy broni atomowych. Twierdzę natomiast, że oba super-mocarstwa będą się starały rozgrywać wojny na terytorium państw trzecich — to znaczy z wyłączeniem terytorium amerykańskiego i sowieckiego.

Celem moim nie jest tu analiza problemu obrony Europy. Chciałbym tylko wykazać, że nie tylko Bundeswehra ma powody do frustracji. Wszyscy zachodni Europejczycy mają powody do frustracji.

Ludzie, którzy mieszkają na stokach wulkanu uczą się współżyć z zagrożeniem. Lecz ten typ zagrożenia nie prowadzi do frustracji — ponieważ z wulkanem ani nie można walczyć, ani nie można go spacyfikować. To jest problem stuprocentowo nierozwiązalny i w tym charakterze musi być zaakceptowany. Bezradność wobec zagrożenia wulkanem nie demoralizuje, nie uparkarza, przeciwnie — wydobywa często z mieszkańców najlepsze cechy charakteru.

przypadły. Lecz to jeszcze nie wszystko. Dopóki trwa zagrożenie sowieckie nie odbudujemy nigdy normalnej atmosfery społecznej, która stanowi podstawowy warunek prawidłowego funkcjonowania demokracji.

Ruchy anty-bombowe, anty-wietnamowe, rewolucja studencka, która przybiera na sile, narastająca fala tzw. „nieoficjalnych strajków” — to wszystko wskazuje, że proces demokratyczny nie funkcjonuje prawidłowo. Lecz i to nie jest pełna diagnoza. Demokracje Zachodu ewoluują w niewłaściwym kierunku co wywołuje masowe reakcje — jak w Stanach Zjednoczonych. Demokracje Zachodu ewoluują niewłaściwie, ponieważ w klimacie stałego zagrożenia — w atmosferze ni to wojny ni pokoju — prawidłowy rozwój czegokolwiek jest wyłączony.

Kryzys — jeżeli nie wręcz upadek liberalizmu — jest jednym z typowych symptomów naszej „malarii”. Liberalizm zakładał, że przy tolerancji, dobrej woli i środkach materialnych — każdy problem jest do rozwiązania. Liberałowie zbyt długo uprawiali politykę strusiów i dziś ponoszą tego konsekwencje. Drugim typowym przejawem „zachodniej choroby” jest rasizm, który wybucha zawsze w okresach zagrożenia i kryzysu. Gdyby dziś w Anglii nie było bezrobocia, gdyby gospodarka kwitła, gdy zbudowano dostateczną ilość szkół i mieszkań — o problemie rasowym nikt by nie mówił.

Kryzys demokracji, kryzys parlamentaryzmu, rewolucja studencka itp. — to wszystko jest analizowane i omawiane przez dziesiątki socjologów po obu stronach Oceanu. Lecz znakomita większość tych analiz — często głębokich i trafnych — nie dociera do sedna rzeczy. Dla mnie jest oczywiste, że jesteśmy „chorzy na Rosję” i *albo my zmienimy Rosję albo Rosja zmieni nas*. Rosja nie przerobi nas na komunistów ani nie zorganizuje rewolucji w Stanach Zjednoczonych i w Anglii. Pośrednie wpływy

Jesteśmy osaczeni przez Sowiety cyklem „błędnych kół” z których nie ma wyjścia. Byłoby lekkomyślnością utrzymywać, że w takim systemie możliwe jest normalne życie i normalny rozwój społeczno-gospodarczy.



Na emigracji każdy Polak, który pogodził się z utratą Wilna i Lwowa — uważany jest za zdrajcę. Myślę, że nawet liberalnie nastrojony Rosjanin nie pogodziłby się łatwo z niepodległą Ukrainą w sojuszu z Niemcami. Nie wydaje mi się również by najbardziej postępowy Rosjanin zgodził się potulnie na oddanie Syberii Chińczykom.

Dla programu parcelacji Związku Sowieckiego nie znajdziemy nigdy sojuszników nawet pośród najbardziej postępowych i rewolucyjnych kół rosyjskich. Rozparcelować Związek Sowiecki można by tylko w wyniku zwycięskiej wojny.

Porozumienie z przyszłą Rosją ma dla Polski kardynalne znaczenie. Możemy wpływać na proces unowocześnienia i przebudowy Związku Sowieckiego, pod warunkiem, że nasze propozycje będą do przyjęcia dla postępowych kół rosyjskich. W pracy zmierzającej do rzetelnego porozumienia z Rosją — naszymi głównymi sojusznikami muszą być Rosjanie.

Program przebudowy Sowietów w związek federacyjnych wolnych państw i narodów. — z całą pewnością może liczyć na poparcie ze strony postępowych Rosjan. Jednak żaden uczciwy Rosjanin nie przyłoży ręki do likwidacji Rosji jako światowego mocarstwa.

Trzeba przede wszystkim jasno określić własną pozycję i odpowiedzieć na pytanie czy dąży się do likwidacji Rosji czy do

porozumienia z Rosją? W *Kulturze* dążymy do porozumienia z przyszłą Rosją i uważamy, że likwidacja Rosji jako mocarstwa nie leży w polskim interesie. Wydatne osłabienie Rosji oznaczałoby automatyczne wzmocnienie Niemiec. Gdyby Rosja nie była mocarstwem — Niemcy posiadałyby broń atomową od 10-ciu lat. Nie ma potrzeby podkreślać jakie konsekwencje pociągnąłby ów fakt dla Polski.

Należy powiedzieć otwarcie i z naciskiem, że ci Polacy, którzy dążą nie do porozumienia z przyszłą Rosją lecz do jej rozbicia — rezygnują *de facto* z polskich Ziemi Zachodnich.

Program europeizacji i przebudowy Związku Sowieckiego jest niewątpliwie trudny i jego realizacja może potrwać lata. Osobiście sędzę, że przełom pokoleniowy — tzn. odejście stalinowców klasy Breżniewa wydatnie przyspieszy ten proces.

Tym, którzy oceniają nasz program rosyjski jako nierealny należy odpowiedzieć co następuje: nasza polityka w stosunku do Rosji jest szczytem realizmu w porównaniu z zaślepioną i naiwną wiarą, że Polska zdoła utrzymać Ziemię Zachodnią bez porozumienia polsko-rosyjskiego.

Cały, tzw. Zachód jest sojusznikiem Niemiec — nie Polski. Rzetelne porozumienie polsko-rosyjskie jest dla nas nieodzowne, jeżeli chcemy utrzymać Ziemię Zachodnią, których utrata oznaczałaby zredukowanie Polski do poziomu „Księstwa Warszawskiego”. Ci, którym nienawidź do Rosji, każdej Rosji — uniemożliwia zrozumienie powyższej prostej i kardynalnej sprawy — nie powinni zabierać głosu na temat polskiej polityki.

To wszystko są tylko uwagi na marginesie ponieważ niniejszy szkic nie jest poświęcony stosunkom polsko-rosyjskim. Pragnę natomiast wykazać, że Rosja Sowiecka w jej obecnej formie ustrojowo-ideologicznej wpływa ujemnie na rozwój całości życia na Zachodzie. Czy nam się to podoba czy nie, tak Europa jak i Ameryka skazane są na *partnership* z Sowietami, ponieważ Rosja jest drugim super-mocarstwem świata. Super-mocarstwa nie można ani izolować ani się od niego odciąć — ponieważ super-mocarstwo prowadzi politykę globalną i jest wszędzie obecne.

Modernizacja Rosji — przez co należy rozumieć likwidację stalinizmu — nie jest tylko mrzonką Polaków czy Czechosłowaków, lecz stanowi problem całego wolnego świata. Nie wystarczy sobie powiedzieć, że Rosja jest „chorym człowiekiem Europy” jak niedawno stwierdził londyński *The Observer*. W rzeczywistości Europa jest chora na skutek sąsiedztwa z Sowietami i uwikłana w problemy, którym nie jest w stanie podołać.

Nie podzielam poglądów większości sowietologów, że policentryzm osłabia Rosję. Jeżeli nawet wyłączyć Węgry i Rumunię, blok czysto stalinowski złożony z Rosji, Polski i NRD — reprezentuje poważną siłę. Natomiast anty-stalinowski, rewizjonistyczny komunizm rozbity jest na dziesiątki „wyznań” i to decyduje o jego bezsilności. Rewizjonizmowi brak jest ram uniwersalnych. Stalinowcy głoszą, że komunizm jest jeden i bramy reakcji nie zwyciężą go. Stalinizmowi należałoby przeciwstawić humanistyczny model komunizmu — model nie totalny, lecz jednolity i uniwersalny. Rewizjonizm nie może być tylko katalogiem różnych dróg do socjalizmu. Musi być czymś więcej — jeżeli ma spełnić swoje zadanie.

Podobnie tzw. „nowa lewica” obejmuje dziesiątki organizacji, których jedyną cechą wspólną jest brak pieniędzy. Tych młodych ludzi nie jednoczy program uniwersalny tylko konkretne sprawy jak np. stanowisko wobec wojny w Wietnamie.

Główną „winę” za obecny stan rzeczy na Zachodzie przypisuje nie zawodowym politykom tylko socjologom, politycznym naukowcom (*political scientists*) i publicystom.

W mojej bibliotece posiadam ponad półtora tysiąca książek wyłącznie na tematy polityczne i socjologiczne. Muszę jednak stwierdzić, że do tej pory nie natknąłem się ani na jedną książkę, której autor starałby się odpowiedzieć na pytanie w jakiej mierze i w jakim zasięgu Sowiety uwarunkowują całość życia na Zachodzie, i w jakim stopniu owo uwarunkowanie powoduje nieprawidłowości rozwojowe, które obserwujemy na każdym kroku.

Takiej książki nie ma, bo znaczny procent naukowców politycznych podlega również uwarunkowaniu. Boją się, by ich nie posądzono o propagandę, o zamaskowaną obronę imperializmu amerykańskiego — a przede wszystkim, boją się jasno określonego zaangażowania.

W rezultacie rosnący, olbrzymi potencjał protestu i radykalizmu młodzieży na Zachodzie skierowany jest wyłącznie przeciwko Ameryce a wojnę w Wietnamie wyświęcono do symbolu najbrutalniejszego imperializmu znanego w dziejach.

Nie broniąc wojny w Wietnamie wypada stwierdzić, że Sowiety mają na swym koncie większe i straszniejsze zbrodnie niż Wietnam. Różnica pomiędzy imperializmami amerykańskim i sowieckim polega na tym, że Sowietom powiodło się ujarzmić sto milionów wschodnich Europejczyków — natomiast Amerykanom nie powiodło się „zsatelizować” kilkunastu milionów Wietnamczyków.

Sowiety zgnioty czołgami opór robotników we wschodnim

Napisano dziesiątki — często znakomitych — książek na temat rządu światowego. Wydaje mi się, że dziś po dziesiątkach lat doświadczeń uznać należy za pewne, że OZN — ani żadna inna organizacja tego typu, nie wyłoni rządu światowego. Rząd światowy, jeżeli kiedyś powstanie — będzie narzucony przez ugrupowanie mocarstw dysponujących całkowitą przewagą militarną, technologiczną i gospodarczą. Rząd światowy nie przyjmie nazwy „rządu” i będzie nie tyle instytucją ile faktem pragmatycznie zaakceptowanym i uznanym.

Podwójna hegemonia jest fazą przejściową i tymczasową. Trwałość i stabilizację zapewnić może „równowaga sił”. System dwu-biegunowy stanowi antytezę historycznie wypróbowanych konstrukcji *balance of power*. System „równowagi sił” musi opierać się co najmniej na trzech partnerach. Światowy *balance of power* wymagałby powstania ugrupowania mocarstw, których łączny potencjał odpowiadałby przynajmniej potędze Związku Sowieckiego.

Być może leżałoby w interesie tak Rosji jak i Stanów Zjednoczonych dopomóc do zorganizowania zdrowej „równowagi sił” w skali światowej. Byłoby to konstruktywne wyjście z impasu, którym z istoty rzeczy jest podwójna hegemonia. Lecz nie należy się łudzić. Z chwilą kiedy proces historyczny doprowadził ewolucję do stadium podwójnej hegemonii — nawrót do dawnych form jest bardziej niż nieprawdopodobny.

Instytucja podwójnej hegemonii ma swoją własną odrębną logikę i dynamikę rozwojową. Rosja i Ameryka mogą skakać sobie do gardła lecz solidarnie nie dopuszczą nikogo do „klubu dwóch”. Wszyscy są równi lecz najrówniejsze są Stany Zjednoczone i Rosja i tego typu „równości” Waszyngton i Moskwa bronić będą nieustępliwie.

się broni atomowych zwiększa prawdopodobieństwo wybuchu wojny nuklearnej. Choćby tak było — co bynajmniej nie jest pewne — wypada stwierdzić, że prawne usankcjonowanie monopolu atomowego amerykańsko-rosyjskiego nie gwarantuje pokoju. Natomiast realizacja *non poliferation treaty* zrewolucjonizowałaby dotychczasowy koncept prawa międzynarodowego.

Polska przedwrześniowa w obliczu prawa narodów była państwem identycznie suwerennym jak Rosja Sowiecka, Francja czy Stany Zjednoczone. Polski, nawet w pełni niepodległej — nigdy oczywiście nie będzie stać na bronie atomowe porównywalne z potencjałami wielkich mocarstw. Lecz Polski nie będzie również nigdy stać na statki do przewożenia ropy naftowej o milionie ton wyporności — nie będzie jej stać na zorganizowanie lotu na księżyc itp., itd. Nasz kraj jest państwem średniej wielkości bez wielkich bogactw naturalnych i w porównaniu z Ameryką tysiące rzeczy będą zawsze poza zasięgiem naszych możliwości. Lecz ubóstwo nikogo nie dyskwalifikuje prawnie, choć często dyskwalifikuje faktycznie. *Non poliferation treaty* dyskwalifikację faktyczną wywianowałby w sankcję prawną. Świat rozpadłby się na państwa o trzech kategoriach suwerenności: *a*) pełna atomowa suwerenność (Ameryka i Rosja); *b*) semiatomowa suwerenność; *c*) państwa w „sferach wpływów” bez żadnej suwerenności.

Niebezpieczeństwo jakie kryje się w powyższej koncepcji polega na tym, że Amerykanie i Rosjanie dążą do ustabilizowania sytuacji, której ustabilizować nie można. Równowaga podwójnej hegemonii jest z istoty rzeczy równowagą chwiejną i żadnym traktatem nie można tego zmienić.

Rosjanie mogą na różnych polach współpracować z Amerykanami — lecz sojusznikami Ameryki prawdopodobnie nigdy nie będą. Wydaje mi się również, że ideologia komunistyczna nie stanowi dzisiaj magicznego instrumentu polityki globalnej. Nie oznacza to, że kapitalizm amerykański zawiera magiczną formułę

ideologia komunistyczna jest w teorii programem uniwersalnym. Stany Zjednoczone nie mają nawet w teorii koncepcji o charakterze uniwersalnym.

Amerykański a-ideologiczny pragmatyzm polityczny w zastosowaniu do wysoko rozwiniętych państw zachodnioeuropejskich daje doskonałe rezultaty. Lecz ten sam a-ideologiczny pragmatyzm, zastosowany do zacofanego, semi-feudalnego państewka azjatyckiego nabiera zgoła innego wydźwięku.

Przed kilku laty wywołał w Londynie sensację bogaty Szeik, który wynajął wspaniałą apartament w jednym z luksusowych hoteli londyńskich. Okazało się, że wschodni bogacz przywiózł ze sobą nie tylko liczną służbę lecz i autentyczne niewolnice. Jednakże ów egzotyczny *gentleman* reprezentował w swym bogactwie w źródła naftowe kraju instytucję, którą Anglosasi określają mianem *stable government*. Ponieważ kontrakty, długoterminowe zobowiązania i *big business* wymagają ustabilizowanego rządu jako partnera — tradycyjna polityka anglosaska popiera zawsze *stable government* bez względu na jego oblicze społeczne.

W perspektywie globalnej polityki amerykańskiej sprawę komplikuje konflikt ideologiczny. Uważa się za oczywiste, że *stable government* musi być antykomunistyczny.

Celem polityki *containment* w Azji jest powstrzymanie naporu chińskiego. Od rozpoznania istoty owego naporu zależy wybór strategii. Napór chiński nie ma w tej chwili charakteru ściśle militarnego. Ponieważ Chińczycy — w przeciwieństwie do Rosjan cierpieli długi czas ucisk i wyzysk ze strony mocarstw kolonialnych — model rewolucji chińskiej nosi charakter antykolonialny i wyzwolenczy co siłą faktu znajduje oddźwięk wśród narodów azjatyckich.

Gdyby dziś Chiny były zorganizowane ustrojowo na wzór Formozy i zagrażały militarnie Wietnamowi, Indiom itp. — zde-

„jakoś tam sobie, re-denniej”. Trudno sobie wyobrazić bardziej ustabilizowany rząd jak „archaiczną” dyktaturę Gomułki i Cyrankiewicza. W gruncie rzeczy jednak to nie jest ani „rząd ustabilizowany” ani rząd, który mógłby wydatnie oprzeć się Sowietom.

Weźmy inny przykład. Historia komunistycznego Wietnamu stanowi dokładną odwrotność komunistycznej Polski. Wietnamczycy są jedynym narodem na świecie, który pod przywództwem komunistycznym zrzucił jarzmo kolonialne. Natomiast polscy komuniści jarzmo kolonialne nałożyli nam na karki. I dlatego istnieje zasadnicza różnica pomiędzy Ho Chi Minh a Bierutem czy Gomułką. W północnym Wietnamie komuniści tworzyli najpoważniejszą zorganizowaną siłę, podczas gdy w Polsce komunistyczny ruch oporu odegrał rolę czysto marginesową.

Skłaniam się do poglądu wielu znawców przedmiotu, m.in. prof. R. Lowenthala („The Conflict in Vietnam”) — że można było inaczej rozegrać problem wietnamski. Przesadną jest opinia głosząca, że jeżeli Amerykanie dziś nie zechcieliby walczyć w Wietnamie jutro będą musieli walczyć na Hawajach. Niemniej, przegrana w Wietnamie pociągałaby za sobą konsekwencje dla polityki amerykańskiej w całej Azji.

Polityka powstrzymywania musi być oparta na aktywnym współudziale „ustabilizowanych rządów”. Ponieważ polityka *containment* na terenach Azji dotyczy komunistycznych Chin — wnioskuje się, że „ustabilizowany rząd” musi być z definicji rządem antykomunistycznym. W praktyce, politycy amerykańscy skłonni są uważać każdy rząd antykomunistyczny za „ustabilizowany”.

Doświadczenie uczy, że często bywa wręcz odwrotnie. W roku 1945 Ho Chi Minh proklamował Demokratyczną Republikę Wietnamu ze stolicą w Hanoi. W roku 1946 rozpoczęła się wojna francusko-indochińska. W roku 1948 Francuzi ustanowili w Saigonie byłego cesarza Bao Dai jako głowę państwa Wietnamu.

ment winna dążyć do współpracy z „ustabilizowanym rządem” jest słuszna, natomiast definicja terminu *stable government* wymaga korektury. Przez „ustabilizowany rząd” należy rozumieć rząd, który cieszy się bezwzględnym poparciem większości społeczeństwa. W warunkach azjatyckich, gdzie komunizm jest identyfikowany z antykolonializmem i nacjonalizmem — przywódca komunistyczny może mieć większą szansę niż ktokolwiek inny do utworzenia „ustabilizowanego rządu”.

Sądzę, że wielu światłych Amerykanów zgodziłoby się z powyższą tezą. Równocześnie jednak Amerykanie zauważyliby, że rząd komunistyczny, nawet ustabilizowany i cieszący się poparciem swego społeczeństwa, jest *de facto* bez wartości jako instrument amerykańskiej polityki *containment*.

Osobiście nie jestem tego pewien. Obiektywizm każe stwierdzić, że przywódcy komunistyczni, jeżeli mieli poparcie swego społeczeństwa — uprawiali politykę *containment* z daleko większym uporem i odwagą niż zachodni mężowie stanu. Pierwszym przywódcą europejskim, który przeciwstawił się Stalinowi był Tito. Imre Nagy był również komunistą a nie zachodnioeuropejskim liberałem. Należy oddać sprawiedliwość Władysławowi Gomułce i podkreślić, że w październiku 1956, będąc świadom poparcia całego narodu, przeciwstawił się Rosjanom. W ostatnich latach uniezależnili się Rumuni i — *last but not least* — Chińczycy. W sumie, jeżeli przez *containment* rozumieć hamowanie imperializmu sowieckiego — ośmielam się twierdzić, że przywódcy komunistyczni zrobili w tej sprawie więcej niż politycy zachodni.

Mój wyimaginowany Czytelnik amerykański zauważyłby w tym miejscu, że dziś przez politykę *containment* rozumie się powstrzymywanie Chin a nie Rosji. Sowiety są „powstrzymywane” i statyczne a Chiny natomiast to czynny wulkan rewolucji.

Reprezentuję pogląd, że rywalem Stanów Zjednoczonych w

walce o przywództwo nad światem jest Rosja i tylko Rosja. I punkt drugi. Byłoby katastrofą gdyby w Azji Amerykanie powtórzyli te same błędy, które popełnili w Europie — to znaczy nie docenili potencjalnych możliwości *containment* narodowego komunizmu.

Skłaniam się do przypuszczenia, że wcześniej czy później Amerykanie będą musieli nauczyć się rozmawiać z azjatyckimi komunistami. Dziś, nawet najbardziej nieufnie w stosunku do Chin nastawiony komunista azjatycki, nie mógłby podjąć rozmów z Amerykanami zarówno z powodu Wietnamu jak i ze względu na barierę ideologiczną.

Antykomuniści — jak wszystko na świecie — dzielą się na dobrych i złych. Antykomuniści w Azji w znacznym procencie rekrutują się ze sfer konserwatywnych, z obszarników i obrońców dawnego porządku, w przeważającej części całkowicie skorpumpowanych. Należy uznać za socjologiczny pewnik, że postępu nie można budować rękami reakcjonistów i wyzyskiwaczy. Polityka *containment* musi oznaczać powstrzymywanie Chin lecz nie powstrzymywanie postępu społecznego.

Amerykanie są ludźmi humanitarnymi i dobrej woli. Ponieważ jednak ich przeszłość historyczna jest niezmiernie różna zarówno od Europy jak i od Azji — przychodzi im z wielką trudnością wczuć się w problematykę społeczną innych narodów. W zacofanym kraju azjatyckim, który gości bazy amerykańskie — buduje się szpitale, szkoły, stacje doświadczalne i na te cele Amerykanie nie żałują ani wysiłku ani pieniędzy. Lecz równocześnie w tym samym kraju „ustabilizowany rząd” składa się najczęściej z reakcjonistów, obszarników i oportunistów, którzy pieniędzmi amerykańskimi podmuruwają własną pozycję i przywileje. Jednakże w oczach Amerykanów ów „ustabilizowany rząd” ma jedną kapitalną zaletę — jest antykomunistyczny.

Rewolucja socjalna w Azji jest nieuchronna i nie zastąpią jej ani szkoły, ani szpitale, ani najlepiej pomyślana pomoc gospodarcza. Dla każdego obserwatora musi być oczywiste, że morale Wietkongu jest niezmiernie wysokie. Gdy generała Westmoreland zapytano czym należy wytłumaczyć ducha bojowego Wietkongu — generał odpowiedział: „Wietkong położył główny nacisk na polityczną indoktrynację”. Powyższa odpowiedź stanowi klasyczny przykład „drętwej mowy”. Tego rodzaju kliszami nie można wyjaśnić faktu, że Wietkong opiera się nie bez sukcesu półmilionowej armii amerykańskiej. Czyżby indoktrynacja polityczna liczyła się więcej od wspaniałego wyposażenia armii amerykańskiej?

Gdybym był Amerykaninem obserwując walki Wietkongu doszedłbym do wniosku, że w przyszłości ten typ bojowników w Azji Stany Zjednoczone winny mieć za sobą a nie przeciwko sobie. Nie ma żadnych obiektywnych powodów, by antykolonialna rewolucja azjatycka miała charakter antyamerykański.

Politykę *containment* można realizować na terenach Azji tylko w oparciu o postępowe i reformatorskie rządy. Rządy reakcyjne z definicji nie są i nie mogą być „rządami ustabilizowanymi”.



Zacząłem ten artykuł od rozważań na temat podwójnej hegemonii. Wydaje mi się, że podwójna hegemonia nie może obejmować dwóch równorzędnych partnerów. Wielcy przemysłowcy amerykańscy, jeżeli mają dwoje czy troje dzieci — najstarszemu synowi zapisują zwykle 55 % udziału w firmie by zapewnić mu głos decydujący. Amerykanie w firmie „Głob Ziemski” muszą mieć przynajmniej 60 % udziałów by zapewnić sobie współpracę Rosji.

Dziś po obu stronach barykady istnieją tendencje likwidatorskie — innymi słowy oba super-mocarstwa nie tracą nadziei, że wyeliminują konkurenta w wyścigu o hegemonię nad światem.

Stabilizacja sytuacji nastąpi wówczas gdy jedno z super-mocarstw uzna się za „młodsze partnera”.

Amerykanie mają niepomniernie większe szanse niż Rosjanie stworzenia luźnego lecz sprawnie funkcjonującego systemu międzynarodowego tak w Europie jak i w Azji. Ów system swoim rozmiarem, potęgą gospodarczą i wojskową zredukowałby świat komunistyczny do roli młodszego partnera, który nie mógłby nawet marzyć o podjęciu rywalizacji. Jest moim głębokim przekonaniem, że pragmatyzm w końcu zawsze zwycięża. Współpracę Rosji można kupić tylko za cenę zlikwidowania jej hegemonicznych ambicji. Z kolei zlikwidować owe ambicje można tylko rozbudowując sferę wpływów amerykańskich do rozmiarów które Stanom Zjednoczonym dawałyby oczywistą, przygniatającą przewagę.

W perspektywie wschodnioeuropejskiej jestem zwolennikiem „orientacji rosyjskiej”. W perspektywie globalnej jestem zwolennikiem „orientacji amerykańskiej”.

Polacy muszą nie tylko wyprostować stosunki z Rosją lecz czynnie wpływać na jej ewolucję i przebudowę. Lecz tak jak Polska nie może być „Chrystusem narodów” — tak Rosja nie

może być „Marksem narodów”. Mesjanizm słowiański czy to w wydaniu polskim czy rosyjskim — prowadził do szowinizmu, którego nowoczesnym wyrazem jest totalizm.

U Amerykanów brak wszelkiego mesjanizmu jest zaletą posuniętą tak daleko, że graniczy z wadą. Mam na myśli postawę, którą nazwałbym indyferentyzmem socjalnym. Dobry jest Battista, dobry jest każdy reakcjonista pod warunkiem, że nie jest czerwony. W tej postawie dopatrzeć się można echa tradycyjnej anglosaskiej zasady, że handlować można nawet i z ludożercami. Handlować można i z ludożercami, lecz poprzez wyzyskiwaczy i rekinów nie można rządzić światem.

Amerykanie umieli połączyć potęgę i bogactwo z wolnością. Wolni są od tak dawna, że wolność uważają za przyrodzony stan człowieka. W ustroju, który wytworzyli — pieniądź jest głównym wyrazem i miernikiem wolności, ponieważ otwiera przed jednostką możliwości proporcjonalne do wysokości konta bankowego. Dla Amerykanina, który wolność pojmuje materialistycznie — nie zawsze jest zrozumiałe, że partyzant Wietkongu, którego dobytek nie przenosi 50-ciu centów — gotów jest poświęcić życie dla wolności. Co jemu z wolności kiedy jest w nędzy? Dopóki jest w nędzy nie może zdobyć wolności od głodu i niedostatku. Amerykanie gotowi są dać owemu partyzantowi wolność od nędzy, niedostatku, chorób i ciemnoty. Dlaczego ci ludzie nie chcą brać tego co jest im ofiarowywane w dobrej wierze?

Amerykanie muszą pojąć, że są narody, często zacofane i biedne, które wolność w sensie narodowego samostanowienia i sprawiedliwości społecznej cenią wyżej od wolności „dolarowej”, od wolności od nędzy i głodu.

Komunizm jest fałszywą religią — niemniej obiecuje realizację tych właśnie głęboko odczutyh i szlachetnych postulatów. Ci, którzy mówią o „indoktrynacji politycznej” wylewają zazwyczaj dziecko wraz z kąpielą. Indoktrynacja dotyczy środków a nie celów. Partyzantów Wietkongu żaden politruk nie musi przekonywać, że wolność od kolonializmu jest pożądana, że reforma rolna jest koniecznością, że wyzysk winien być zlikwidowany. To są pragnienia powszechne, autentyczne i fanatycznie wyznawane. Fałsz indoktrynacji polega tylko na tym, że komuniści obiecują zaspokojenie tych dążeń — choć nigdzie dotąd na świecie nie sprostali nadziejom w nich pokładanym.

Istotą tragedii wietnamskiej jest fakt, że partyzant Wietkongu jest głęboko przekonany, że Amerykanie odrzucają nie tylko metody lecz i cele. W takiej sytuacji gdyby nawet bardziej światły partyzant miał wątpliwości czy komunizm jest właściwą drogą do osiągnięcia narodowych i społecznych postulatów — pozba-

wiony jest alternatywy. Dlatego odpowiedzią na komunizm może być tylko alternatywny model rewolucji społecznej, który realizowałby bez oszukaństwa powszechne dążenia do narodowego samostanowienia i reform społecznych.

Czytelnik zauważy, że jest to w skali globalnej niezmiernie wygórowane „zamówienie społeczne”. Niewątpliwie — lecz rządzenie światem jest z całą pewnością najtrudniejszą rzeczą na świecie.

Kultura nr 6/236. czerwiec 1967

Pilotki, traktorzystki, astronautki... Rosjanki urzeczywistniły najśmielsze marzenia wszystkich sufrażystek. Lecz równocześnie nie spełniają swego głównego powołania jakim jest rodzenie dzieci.

W czasach przedrewolucyjnych przypadało w cesarstwie rosyjskim 47 urodzin na 1.000 mieszkańców. Obecnie powyższa cyfra spadła do 17,4 a w wielkich miastach jak Moskwa lub Leningrad do 11.

Według oficjalnych statystyk w roku 1959 Rosjanie stanowili 54,8 % ogółu ludności Związku Sowieckiego. Obecnie — według źródeł amerykańskich — Rosjanie są mniejszością w Związku Sowieckim, ponieważ stopa ich rozrodczości stale maleje.

Rosyjscy socjologowie i ekonomiści biją w prasie na alarm, lecz doświadczenie uczy, że perswazją w tej dziedzinie można osiągnąć bardzo niewiele.

Rosjanie są „narodem panów” — ich warunki życiowe są znacznie lepsze niż innych narodowości i wskutek tego ich dobrobyt wzrasta a rozrodczość maleje. Jeżeli ktoś ma do wyboru dwoje dzieci i samochód lub troje dzieci bez samochodu — jest wielce prawdopodobne, że wybierze dwoje dzieci i samochód. Poza tym trudno jest wymagać od kobiety, która pracuje w fabryce, w biurze, w szpitalu, czy jako pilot — by równocześnie urodziła pięcioro dzieci.

Osobiście jestem przekonany, że spadek rozrodczości wśród Rosjan pociągnie za sobą z czasem różnorakie konsekwencje polityczne. Coraz trudniej będzie odpowiedzieć na pytanie dlaczego Związkiem Sowieckim ma rządzić naród, który w stosunku do nie-rosyjskich narodów stanowi mniejszość. Wydaje mi się również, że im Rosjanie będą mniej pewni siebie w Związku Sowieckim — tym będą mniej tolerancyjni w stosunku do swoich sateli-

ustrojowo-polityczny, w ramach którego żyją setki milionów ludzi. Niemniej w orbicie świata komunistycznego kryzysy międzynarodowe są daleko częstsze niż w świecie kapitalistycznym. Spór sowiecko-chiński i inwazja Czechosłowacji najlepiej ilustrują powyższą tezę. Źle świadczy o komunizmie fakt, że komuniści nie mogą porozumieć się między sobą.

Marksizm jest zwartą doktryną o określonych podstawach. Wydawałoby się, że przekonani marksiści mogą się pomiędzy sobą różnić — co byłoby ludzkie — lecz trudniej zrozumieć dla czego skaczą sobie do gardła.

Breżniew w rozmowach z czechosłowackimi przywódcami nie reprezentował ani marksizmu ani międzynarodowego ruchu komunistycznego, tylko wielkorosyjski imperializm. Doktryna Breżniewa jest próbą przekształcenia imperializmu rosyjskiego w instytucję międzynarodowego ruchu komunistycznego. Stalin był instytucją sam w sobie i nie potrzebował swojej imperialistycznej polityki przebudowywać w system.

W prasie zachodniej doktryna Breżniewa została potraktowana jednostronnie. Komentatorzy starali się wykazać, że cytowana doktryna jest próbą racjonalizacji (po fakcie) napaści na Czechosłowację. Uważa się również powszechnie, że doktryna Breżniewa jest wyłącznie instrumentem sowieckiego imperializmu i nie służy żadnym innym celom.

Niewątpliwie zacytowane opinie są słuszne lecz nie trafiają w sedno sprawy. Doktryna Breżniewa jest przede wszystkim wzajemną gwarancją asekuracyjną mającą na celu utrwalenie i zabezpieczenie konserwatywnych rządów w bloku państw komunistycznych. Pierwszym beneficjentem omawianej gwarancji asekuracyjnej był Władysław Gomułka, któremu interwencja Breżniewa zapewniła zwycięstwo na V Zjeździe. Dubczek był groźny, ponieważ

nie potrzebował żadnej asekuracji. Jego asekuracją było masowe poparcie społeczeństwa czeskiego i słowackiego.

Doktryna Breżniewa stanowi próbę umiędzynarodowienia „nowej klasy”, która solidarnie bronić będzie swoich interesów bez względu na granice państwowe. „Socjalistyczne prawo międzynarodowe” po deklaracji Breżniewa — sankcjonuje interwencję zbrojną w wypadkach gdy rozwój sytuacji społeczno-politycznej w danym państwie komunistycznym zagraża rządowi „nowej klasy” jako całości.

Doktryna Breżniewa służy oczywiście interesom imperializmu sowieckiego — lecz równocześnie wyposaża poczucie solidarności, które łączy „nową klasę” w państwach bloku — w gwarancję „prawno-asekuracyjną”.

Jeżeli po śmierci Ulbrichta — założmy dla przykładu — nowy przywódca w NRD podjąłby na własną rękę próbę wyrównania stosunków z Bonn — nie byłoby bezpośredniej interwencji sowieckiej. Gdyby droga dyplomatyczna zawiodła — wkroczyłyby do Niemiec wschodnich wojska polskie, czechosłowackie i sowieckie w celu obrony „zdobyczy socjalizmu” Niemieckiej Republiki Demokratycznej. To nie byłaby imperialistyczna sowiecka interwencja na wzór węgierskiej w roku 1956. Do Niemiec wschodnich wkroczyłyby socjalistyczny międzynarodowy „korpus pokoju”, by dopomóc bratniej republice w chwili kryzysu i zagrożenia.

Wszyscy korespondenci zagraniczni, którzy obserwowali okupację Czechosłowacji w ubiegłym roku — podkreślali, że operacja w sensie techniczno-wojskowym była przeprowadzona szybko i sprawnie. Natomiast w aspekcie politycznym inwazja była katastrofą dla prestiżu Sowietów. Rosjanie nie umieli odpowiedzieć na najprostsze pytania: kto ich wezwał — jaki jest cel inwazji — na jakiej podstawie pogwałcili zarówno postanowienia Karty OZN jak i Paktu Warszawskiego? Dyplomaci sowieccy w stolicach państw zachodnich — oblegani przez dziennikarzy z prasy, radia i telewizji — wili się jak na mękach i nie potrafili wykrztusić sensownej odpowiedzi na żadne z powyższych pytań. To było coś więcej niż kompromitacja. Stało się bowiem nagle jasne dla wszystkich, że o ile Sowiety w stosunkach z państwami kapitalistycznymi przestrzegają na ogół norm i zwyczajów prawa międzynarodowego — o tyle w swojej własnej sferze wpływów hołdują prawu dżungli.

Doktryna Breżniewa ma zapobiec w przyszłości tego typu kompromitacjom — nadając interwencji zbrojnej charakter zbiorowy i „legalny”. Jednak ulegalizowanie doktryny Breżniewa wymagałoby skreślenia artykułu pierwszego Paktu Warszawskiego,

który wyraźnie wyłącza zagrożenie siłą czy użycie siły w stosunkach międzypaństwowych.

W sumie należy stwierdzić, że doktryna Breżniewa nie może być uznana za normę „socjalistycznego prawa międzynarodowego”, ponieważ stoi w sprzeczności z poprzednimi deklaracjami i paktami. Jej głównym celem jest zwalczanie ruchów reformatorskich w całym Bloku Wschodnim. Przyjęto bowiem za pewnik, że ruch reformatorski w jednym kraju — choćby tak małym jak Czechosłowacja — zagraża „stalinowskiej stabilizacji” we wszystkich krajach bloku z Sowietami na czele. Innymi słowy, uznano na Kremlu powszechność ruchu reformatorskiego i z tych przyczyn podjęto nadzwyczajne środki w celu solidarnej obrony stalinowskich reżymów w krajach, w których są zagrożone.



Wydaje się, że w przyszłości Rosjan będzie coraz mniej a Chińczyków coraz więcej. O tzw. „żółtym niebezpieczeństwie” pisano od bardzo dawna bardzo wiele.

Goethe powiedział kiedyś, że „co ma żyć w pieśni musi umrzeć w życiu”. To prawo można odwrócić. Jeżeli coś żyje od bardzo dawna tylko w „pieśni” — przestaje być realne. Dla zachodnich Europejczyków konflikt rosyjsko-chiński jest jak słynny potwór z jeziora Loch Ness, o którym pisze się od 30 lat, lecz w którego realne istnienie trudno jest uwierzyć.

Jednak w Moskwie i w Waszyngtonie specjaliści i politycy patrzą na tę sprawę inaczej.

Konflikt istnieje od bardzo, bardzo dawna. Tylko Chiny były zbyt słabe aby móc go rozegrać. Przyjaźni nie było nigdy — lecz z jednej strony napór — z drugiej strony częściowa, wykalkulowana kapitulacja.

Zaczynam skłaniać się do poglądu, który wypowiada (prawdnie) wielu Rosjan, że zmiana warty w Pekinie nie pogrzebałaby konfliktu — tylko uspiłaby go na jakiś czas.

Polakowi jest łatwiej zrozumieć ten typ zatargu niż Amerykanom czy Anglikom. Chińczycy, podobnie jak Polacy, mają w stosunku do Rosjan poczucie doznanej wielkiej krzywdy. W odczuciu Chińczyków owa krzywda musiałaby być wprawdzie wyrównana a dopiero później można by mówić o rzetelnej normalizacji stosunków chińsko-rosyjskich. Rosja jest drugim super-mocarstwem świata i z tej racji politycy na Kremlu uważają, że Sowiety nie muszą wyrównywać krzywd popełnionych w stosunku do Chińczyków czy Polaków. Tak jednym jak i drugim trzeźwy realizm winien dyktować, że z potężną Rosją należy żyć w przyjaź-

zwiadownicze ujawniły na terenie północnych Chin dziwne konstrukcje o kształcie olbrzymich pszczelich uli. Wymiana opinii pomiędzy agentem CIA a agentem KGB — nie dała w tym konkretnym wypadku rezultatu — ponieważ Rosjanie, podobnie jak Amerykanie, nie widzą jaki jest cel tych tajemniczych konstrukcji.

Trudno się dziwić zainteresowaniu Rosji owymi zagadkowymi „ulami”. Transsyberyjska linia kolejowa przebiega na pewnych odcinkach zaledwie 10 kilometrów od granicy chińskiej. Owa linia stanowi jedyne lądowe połączenie pomiędzy azjatycką a europejską Rosją.

Nie jest moim celem wyliczać wszystkie elementy konfliktu — tym mniej analizować pozycję strategiczną obu stron w sporze. Na te tematy każdego tygodnia ukazuje się kilkanaście artykułów w prasie światowej. Chciałbym natomiast podkreślić kilka punktów, które wydają mi się istotne.

Wielu Polaków na emigracji uważa, że ponieważ Rosjanie i Chińczycy są komunistami — w gruncie rzeczy to jest spór w rodzinie. Zachodni zawodowi antykomuniści mają również tendencję sugerowania, że Chińczycy łatwiej porozumieliby się z Moskwą niż z Waszyngtonem, ponieważ w rzeczywistości całe zagadnienie sprowadza się do personaliów. Po śmierci Mao mogą objąć rządy komuniści pro-sowieccy i wszystko się wyrówna.

W moim przekonaniu w Pekinie nie będzie nigdy rządu kolaboracyjnego — nawet gdyby był rząd pro-sowiecki. W Moskwie już działa chińska partia komunistyczna, która składa się oczywiście z samych kolaborantów. Gdyby doszło do konfliktu zbrojnego Rosjanie osadzą ową „partię” na chińskim terytorium i polecą jej utworzyć chiński rząd. To jest już dziś klasyczna procedura zaczynając od Komitetu Lubelskiego versus rząd polski w Londynie.

leńców. Politycznym pragmatykom amerykańskim Kosjanie starają się udowodnić, że Chińczycy są groźni przede wszystkim dlatego, że nie są racjonalistami i nie zachowują się normalnie.

Nie wydaje mi się by najazd na Czechosłowację mógł stanowić przykład racjonalnego postępowania. Nie wydaje mi się również, by doktryna Breżniewa miała cokolwiek wspólnego z racjonalizmem. W Sowietach pisma racjonalistów są na indeksie, z Marksem na czele. Wolno czytać tylko te pisma Marksa, które mają pieczęć cenzorów partyjnych. Teksty tzw. młodego Marksa są zakazane.

Zargon propagandy komunistów chińskich jest być może bardziej kwiecisty niż drętwa mowa Breżniewa czy Kosygina. Kult jednostki w wydaniu chińskim był śmieszny i odrażający. Lecz w pragmatycznej Moskwie stosunkowo niedawno sprzedawano perfumy, które nosiły nazwę „Oddech Stalina”.

Jeżeli chodzi o chińską politykę wewnętrzną wypada stwierdzić, że „rewolucja kulturalna” była niewinnym baletem w porównaniu z tym wszystkim co działo się w ostatnim półwieczu na scenie sowieckiej. To samo dotyczy polityki zagranicznej. Pekin grzmi na cały świat orędzia rewolucyjne. Lecz w praktyce Chiny wykazują wielką ostrożność. To nie Chińczycy byli autorami rakietowego kryzysu na Kubie. Choć współczuję Tybetańczykom, obiektywnie należy podkreślić — że historyczne prawa Chin do Tybetu są niepomierne większe niż „historyczne prawa” Rosji do Czechosłowacji.

Trzeba jednak przyznać że kampania sowiecka osiągnęła znaczny sukces. Amerykanie przyjęli pogląd Tocqueville’a, że historia świata będzie się krystalizować wokół osi Waszyngton-Moskwa. Przywódców rosyjskich uważa się za centrowo-konserwatywnych komunistów i za pragmatyków, którzy służą przede wszystkim interesom Rosji jako mocarstwa, bez względu na ideologię. Nie

...Amerykanom podejrzany konspiratorami, którzy dla osiągnięcia swych szaleńczych zamysłów gotowi będą podpalić świat przy pierwszej nadarzającej się okazji.

W niniejszych rozważaniach wychodzę z założenia, że kiedyś dojdzie do zbrojnego konfliktu rosyjsko-chińskiego. W Azji nie ma po prostu miejsca na dwa nuklearne mocarstwa graniczące z sobą na przestrzeni tysięcy mil. Nuklearne Chiny nie mają powodu akceptować doktryny Breżniewa o „ograniczonej suwerenności”. Wydaje mi się również, że Pekin nie zrezygnuje ze swojej własnej wykładni marksizmu, która będzie zawsze różna od wykładni Moskwy. Marksizm, który ma służyć Chinom nie może pokrywać się z marksizmem, który jest narzędziem imperializmu sowieckiego. Następującą przesłankę uważam za istotną. Wzajemna nienawiść powoduje, że tak Moskwa jak i Pekin — mają znaczną szansę zmobilizowania swych społeczeństw przeciwko agresorowi — jeżeli tym agresorem będą Rosjanie w stosunku do Chin, a Chińczycy w stosunku do Rosjan. Oczywiście w razie wybuchu wojny Chińczycy będą głosili, że zostali napadnięci przez Rosjan a Rosjanie będą głosili, że zostali napadnięci przez Chińczyków.

Nie mam zamiaru przekonywać licznymi argumentami Czytelników, że do wojny rosyjsko-chińskiej kiedyś dojdzie — ponieważ w kwestii wojny, która jeszcze nie wybuchła można zawsze przytoczyć tyle argumentów „za” co i „przeciw”. Znałem w Polsce poważnych ludzi, którzy jeszcze w dniu 1 września 1939 roku argumentowali, że pierwsze bombardowania miast polskich są tylko fragmentem „wojny nerwów”, poprzedzającym nowe propozycje pokojowe. Z tych oto przyczyn rezygnuję z prezentowania argumentów i jedynie deklaruję mój osobisty pogląd w tej sprawie.

Jak zachowałaby się Ameryka gdyby za miesiąc wybuchła wojna rosyjsko-chińska? (Zakładamy, że Rosjanie nie użyliby

„po cichu” wspomagać Chiny. Natomiast jestem pewien, że gdyby Ameryka w razie wybuchu omawianego konfliktu — zaczęła „po cichu” wspomagać Rosję — byłby to błąd stulecia. Oczywiście Rosjanie za pomoc — zwłaszcza pomoc technologiczną — zaofiarowaliby Ameryce wyrównanie kwestii spornych i współpracę na terenie międzynarodowym.

Jakże łatwo przyszedłoby Amerykanom wnioskować następująco: Rosjanie przy dyskretnej pomocy pobiją naszego głównego wroga i zgniotą główne ognisko rewolucji i niepokoju. Jeżeli przy tej okazji powiedzie się nam „oswoić” Rosję — to upolujemy dwa ptaki jednym strzałem.

Amerykanie w omawianej sytuacji mogliby istotnie upolować dwa ptaki jednym strzałem. Jeżeli Stany Zjednoczone nie chciałyby wspomagać Chin — winny zachować absolutną neutralność w stosunku do obu stron walczących.

Chiny są tak olbrzymie, że nie można ich w potocznym tego słowa znaczeniu ani pobić ani okupować. W razie konfliktu Rosjanie ugrzęźliby w Chinach na lata a może na kilkanaście lat. Partyzantka, powstania w okupowanych prowincjach, wietnamska wojna nękająca, podniesiona do n-tej potęgi — oto co czekałoby Rosjan w Chinach. Gdyby Rosjanie „operacją chirurgiczną” zlikwidowali chiński potencjał atomowy — doprowadziliby Chiny do stanu wrzenia, ponieważ Chińczycy z niczego nie są tak dumni i z niczym nie wiążą takich nadziei jak ze swoim arsenałem atomowym. Likwidując ten arsenał Rosjanie zmobilizowaliby Chińczyków przeciwko sobie totalnie, do ostatniego człowieka.

Rosyjska polityka w stosunku do Chin wychodzi z tradycyjnego założenia, że Chiny są nieporównywalnie słabsze od Rosji. Tylko ze słabymi Chinami Rosja jest w stanie ułożyć swe stosunki. Wojny rosyjsko-chińskiej dałoby się uniknąć tylko wówczas gdyby Chiny w stosunku do Rosji pozostały tym — czym jest Meksyk w stosunku do Stanów Zjednoczonych.

W stosunku do nuklearnych Chin Rosja nie ma żadnej polityki, ponieważ spacyfikowanie nuklearnych Chin wymagałoby koncesji, na które Rosjanie się nie zgodzą. Lecz gdyby powiodło się czasowo zażegnać konflikt — nawet wówczas bronie nuklearne w rękach narodu, który Rosjanie krzywdzili — stanowiłyby na Kremlu źródło wiecznego niepokoju. Olbrzymi potencjał atomowy w rękach Amerykanów — z punktu widzenia Rosji to nie jest to samo co średni potencjał atomowy w rękach Chińczyków czy Niemców. Rosjanie pobitym Niemcom skutecznie zagrodzili drogę do broni atomowych. Lecz z Chinami to jest inna historia.

W razie wybuchu konfliktu zbrojnego rosyjsko-chińskiego — Rosjanie zgodnie z doktryną Breżniewa domagaliby się pomocy wojskowej od krajów Paktu Warszawskiego. Lecz co innego jest okupować małą Czechosłowację a co innego jest walczyć w olbrzymich Chinach przeciwko Chińczykom. Gdyby w takiej sytuacji Stany Zjednoczone zachowały absolutną neutralność i wywarły dostateczny nacisk na Niemcy, by oparły się kuszeniom sowieckim — wówczas w Europie Wschodniej zaczęłaby się zarysowywać koniunktura, która umiejętnie wyzyskana mogłaby przynieść znaczne zmiany. W interesie wolnego świata leży by dwa główne mocarstwa komunistyczne w długotrwałym konflikcie zbrojnym osłabiły się wzajemnie. Gdy do tego dojdzie — nie należy im w tym przeszkadzać.

Przyzwyczailiśmy się odczytywać politykę państw komunistycznych według klucza personalnego. Stalin-Chruszczow, Bierut-Gomułka, Nagy-Kadar, Dubczek-Husak itd. W odniesieniu do satelitów to jest prawidłowa metoda. Istniała przepaść pomiędzy Nagy i Kadarem — tak jak istnieją podstawowe różnice pomiędzy Dubczkiem a Husakiem.

Stalin czołgami ujarzmił Wschodnią Europę, Chruszczow czołgami zgniół powstanie węgierskie — Breżniew czołgami zgniół rewolucję czechosłowacką. W polityce wewnętrznej Sowietów od śmierci Stalina nastąpiły pewne zmiany. W polityce zagranicznej Stalin, Chruszczow, Breżniew uprawiali imperialistyczną politykę wielkorusyjską tak jak ją pojmowali. Należy jeszcze dodać, że pojmowali ją niezmiennie podobnie.

Chiny nie są państwem satelickim i sprawy personalne nie odgrywają w Pekinie takiej roli jak w Warszawie czy w Pradze. Należy przewidywać, że po śmierci Mao nowi przywódcy będą się starali przełamać izolację, w jakiej uwięziony jest ich kraj. Chiny potrzebują pomocy gospodarczej i technologicznej. Lecz ktokolwiek obejmie rządy po śmierci Mao — chiński arsenał nuklearny będzie rozbudowywany nadal. Na Kremlu wiadomo jest

każdemu woźnemu, że wyrzutnie chińskie wymierzone są przeciwko Rosji.

Jeżeli w najbliższym okresie nastąpi odprężenie w stosunkach chińsko-sowieckich — następny kryzys pomiędzy Pekinem a Moskwą będzie groźniejszy od poprzednich, ponieważ Chiny będą atomowo lepiej uzbrojone. Następny kryzys wydaje się nieuchronny. Tak oto dochodzimy do sedna sprawy. Rzetelne wyrównanie stosunków pomiędzy obu mocarstwami wymagałoby nie tylko radykalnych zmian w Chinach, lecz przede wszystkim, radykalnych przemian w Rosji. Jeżeli owe przemiany w Rosji nie nastąpią stosunkowo szybko — konflikt rosyjsko-chiński będzie nie do uniknięcia.

Kultura nr 11/266, listopad 1969

MOTYW SPOŁECZNY SOJUSZÓW

Lord Mountbatten wyreżyserował kapitulację Japończyków z daleko większym poczuciem chwili dziejowej niż gen. MacArthur, który nie miał tradycji imperialnych. Generałowie i dowódcy japońscy w Singapore nie tylko podpisali akt kapitulacji lecz składali przed lordem Mountbattenem swoje szable samurajskie. Na Okinawa z japońskiej załogi liczącej 20.000 żołnierzy zostało przy życiu tylko 200 żołnierzy. Wydaje mi się, japońskim dowódcom należało zostawić ich samurajskie miecze by chronić ich twarz.

Mój ojciec jako młody oficer austriackiej marynarki ożenił się z Japonką. Ówczesny poseł austriacki w Tokio, hr. Coudenhove-Kalergi, był również ożeniony z Japonką. Pierwsza żona mojego ojca po kilku latach zmarła na gruźlicę. Na wsi podhalańskiej wzrosłem w kulcie dalekiej Japonii i mój sąd o tym kraju zabarwiony jest osobistym sentymentem.

Zwycięstwo w Azji było totalne. Na wodach azjatyckich nie było sowieckich okrętów wojennych — Rosja nie była jeszcze mocarstwem atomowym i Anglosasi laurem zwycięstwa nie musieli się z nikim dzielić. Jednakże owo wspaniałe i drogo okupione zwycięstwo — jak słusznie zauważył Lord Mountbatten — było łąbodziem śpiewem brytyjskiego imperium.

Upadek brytyjskiego imperium pociągnął za sobą w skali globalnej poważniejsze konsekwencje niż klęska Niemiec, Włoch i Japonii. W pozaeuropejskim świecie stopniały niemal całkowicie tzw. „wpływy Zachodu”. Europa przeżyła upadek imperium hiszpańskiego. Lecz równoczesny upadek imperiów brytyjskiego, francuskiego i holenderskiego — nie mówiąc o zamorskich posiadłościach belgijskich i portugalskich — zamknął wielowiekowy okres przywódczej roli Europy.

Gdyby upadek imperium brytyjskiego zwiastował upadek imperializmu na naszym globie — oznaczałoby to olbrzymi krok naprzód we właściwym kierunku. Tak się jednak nie stało. Imperializm w wydaniu sowieckim prześcignął wszystkie wzory brytyjskie czy francuskie.

Żołnierze polscy przemierzali Środkowy Wschód od Teheranu po Tobruk. Po wycofaniu się Brytyjczyków z tych obszarów powstała próżnia, którą systematycznie wypełniają Sowiety. W ostatnich dwóch latach Rosjanie zainwestowali w Egipt w postaci sprzętu wojennego około miliarda dolarów. Pomoc Sowietów dla całego świata arabskiego na przestrzeni ubiegłych 18 miesięcy, w ocenie Amerykanów, wyniosła około 3 miliardów dolarów. Łatwiej nam przyjdzie ocenić wymiar owej kwoty jeżeli uprzytomnimy sobie, że pomoc ekonomiczna i wojskowa Stanów Zjednoczonych dla wszystkich narodów świata nie przekroczy w tym roku sumy dwu i pół miliarda dolarów. Wymiana handlowa Stanów Zjednoczonych z krajami Środkowego Wschodu od czasu sześciomiesięcznej wojny spadła o 30 %. Siły lotnicze Egiptu są dziś nie tylko odbudowane lecz o 50 % liczniejsze niż przed wojną. Egipcjanie posiadają również czołgi T-54 i T-55 ze skomputeryzowaną kontrolą ognia, wszelkiego typu pociski, nowoczesną artylerię itd., itd. Oczywiście ów skomplikowany sprzęt obsługuje tłum sowieckich instruktorów. W każdym ważniejszym porcie arabskim istnieje odgradzona „strefa sowiecka”. W owych strefach wyładowuje się sprzęt wojenny, który jest strzeżony przez żołnierzy Armii Czerwonej. Strefy są *de facto* sowieckimi bazami, choć skrzętnie unika się tej nazwy.

Mimo zaprzeczeń prez. Naseira — Amerykanie stwierdzili, że pod Kairem stacjonuje sowiecka eskadra zwiadowcza, która śledzi ruchy 6-tej floty. Nie brak sowieckich instruktorów w Mers-El-Kebir a porty: Aleksandria, Port Said, Latakia, Tartus — są — by zacytować opinię amerykańską „równie dostępne dla sowieckiej floty wojennej jak Odessa”.

Ci z nas, którzy służyli w polskim wojsku w Afryce i na Środkowym Wschodzie zdają sobie lepiej sprawę niż inni, że owe egzotyczne nazwy przytoczone powyżej obejmują kluczowy obszar będący zwornikiem trzech kontynentów: Azji, Afryki i Europy.

Osobiście nie podzielam optymizmu tych amerykańskich znawców przedmiotu, którzy twierdzą, że sympatie świata arabskiego można jednego dnia zdobyć a drugiego dnia stracić. Instruktorów sowieckich można jednego dnia zaprosić lecz pozbyć się ich nie jest rzeczą łatwą. Gdyby Naser chciał wyrzucić Rosjan z Egiptu Moskwa z całą pewnością oświadczyłaby, że wraz z Rosjanami

wyjedzie cały sowiecki sprzęt. Rząd egipski oczywiście nie byłby w możności zapłacić w twardej walucie za dostawy sowieckie.

Rosjanie opuszczają Środkowy Wschód tylko w dwóch wypadkach. Jeżeli zostaną wyrzuceni siłą przez Amerykanów — na co się nie zanosí — albo jeżeli dojdzie do układu Wielkiej Czwórki (ściśle wielkiej Dwójki) — który stworzyłby nowy porządek rzeczy na tym obszarze.

Warto podkreślić, że w swojej polityce na Środkowym Wschodzie Sowiety nie opierają się na komunistach i rewolucjonistach — tylko pertraktują z rządami, które są przy władzy.

Konflikt na Środkowym Wschodzie podobnie jak konflikt na Dalekim Wschodzie czy konflikt berliński — ma dwa oblicza. Izrael broni swego niepodległego bytu — zachodni Berlińczycy bronią swojej wolności — południowi Wietnamczycy bronią się przed dominacją komunistów.

Owe konflikty oglądane z Waszyngtonu czy z Moskwy nabierają zupełnie odmiennego charakteru. Dla Rosjan na Środkowym Wschodzie przeciwnikiem nie jest Izrael, ani Arabowie nie są sojusznikami. Arabowie są pionkami w grze przeciwko Ameryce. Podobnie Izrael w oczach Moskwy jest pionkiem Ameryki w grze przeciwko Sowiетom.

Ow schemat spełnia swoje zadania tylko wówczas gdy rzeczywiste interesy narodu-pionka pokrywają się przynajmniej w 60 % z interesami hegemonicznego super-mocarstwa. Powyższy schemat nie zagrał ani w Czechosłowacji ani w Wietnamie. Natomiast Naser — sądząc z jego ostatnich wypowiedzi — jest przekonany, że interesy egipskie i sowieckie na Środkowym Wschodzie są w znacznej mierze zbieżne. Egipcjanie wierzą niezachwianie, że za Izraelem stoi Ameryka i wierzą równie niezachwianie, że Izrael wygrał sześciodniową wojnę dzięki bezpośredniej pomocy mocarstw zachodnich. Jeżeli za Izraelem stoi Ameryka — wydaje się pożądane i celowe z punktu widzenia Nasera, by za Egiptem stało drugie super-mocarstwo to jest Sowiety.

Z Środkowego Wschodu przenieśmy się na Daleki Wschód. Jeżeli Amerykanie wyjdą z Wietnamu kto będzie ich spadkobiercą? Sprawa jest skomplikowana ponieważ mamy dwóch potencjalnych pretendentów do amerykańskiej „masy upadłościowej” — tj. Rosję i Chiny. Lecz może zbyt wcześnie Wietnam odpisujemy na straty?

Pewien poważny publicysta emigracyjny analizując sytuację w Wietnamie napisał niedawno, że Amerykanie zwalczają dziś nie północny lecz południowy Wietnam. Innymi słowy wykazują więcej „giętkości” i kompromisowości niż antykomunistyczny reżym w Saigonie.

Polacy popełniają często kardynalny błąd, który wypacza obiektywną analizę. Antykomunizm identyfikują z demokracją, liberalizmem i wolnością. Stany Zjednoczone są antykomunistyczne i demokratyczne. Lecz reżymy w Grecji i w Hiszpanii są antykomunistyczne i antydemokratyczne. Dlaczego tolerujemy w ramach tzw. „wolnego świata” reżymy antydemokratyczne, które operują cenzurą, tajną policją a często torturą? Tolerujemy takie reżymy nie tylko w Azji czy w Afryce lecz w kolebce cywilizacji, tj. w Europie.

Domagamy się wielkim głosem by Rosjanie, którzy nie są demokratami — uszanowali ruch demokratycznej reformy w Czechosłowacji. Codziennie w dziesiątkach audycji radiowych i w setkach artykułów prasowych zachęcamy Czechów i Słowaków do wytrwania w bezkrwawej walce o wolność i demokrację. Lecz co mamy do zaoferowania tym, którzy walczą o wolność i demokrację w Grecji i w Hiszpanii? W tej sprawie zachowujemy dyskretne milczenie.

Rosjanie uznają i respektują reżym Nasera, który nie jest ani komunistyczny ani demokratyczny, tylko jest dyktaturą klikę wojskowej. Lecz Egipt jest pionkiem w sowieckiej grze przeciw Amerykanom. Amerykanie uznają i respektują reżym generała Franco, ponieważ Hiszpania jest antykomunistyczna i udziela gościny flocie i lotnictwu Stanów Zjednoczonych.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że jako autor polityczny, który często podkreśla swój pragmatyzm nie powinienem mieć trudności w zrozumieniu i zaakceptowaniu powyżej naszkicowanej sytuacji. Ostatecznie jest to tylko przykład hierarchii celów. Z pragmatycznego punktu widzenia antykomunizm który umożliwia przeciwstawienie się Sowietom jest ważniejszy niż demokracja, która jest sprawą wewnątrzno-społeczną danego państwa i narodu.

Podstawą pragmatyzmu jest nie teoria, lecz doświadczenie. Polityk nie dysponuje laboratoriami, jak fizycy czy chemicy, którzy często odrzucając sumę poprzednich doświadczeń dokonywują zdumiewających odkryć. W polityce nie ma odkryć, jest tylko doświadczenie i praktyka.

Doświadczenia ostatniego ćwierćwiecza wykazują, że nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy polityką zagraniczną a wewnętrzną. Podstawowym warunkiem sukcesu tak jednej jak i drugiej polityki jest poparcie większości społeczeństwa. Najbardziej logicznie pomyślany sojusz jest bez wartości jeżeli nie popiera go społeczeństwo danego kraju.

Mówiliśmy o Dalekim Wschodzie — poświęćmy więc chwilę uwagi sytuacji w Wietnamie. Chciałbym przytoczyć we frag-

mentach opinie amerykańskich ekspertów zebrane w książce: „Vietnam and Sino-Soviet Dispute” opracowanej przez Roberta A. Rupen i Roberta Farrell (F. A. Praeger, New York, for the Institute for the Study of the USSR).

„... Obroncy przywilejów dominują w południowowietnamskim społeczeństwie i rządzie. Ci ludzie obracają w niwecz wszelkie wysiłki zmierzające do socjalnych reform, ponieważ pragną kontynuować wyzyskiwanie ludności”.

„... Dopóki w południowym Wietnamie nie nastąpi prawdziwa rewolucja wewnętrzna — akcja wojskowa może osiągnąć tylko ograniczone i przejściowe cele. Zagrożenie komunistyczne zniknie dopiero wówczas gdy uprzywilejowani stracą swoje przywileje. Przykład bardzo istotny posłużyć może za ilustrację. Urzędnikiem państwowym czy oficerem w południowowietnamskiej armii może zostać tylko ten, kto posiada tzw. „drugą maturę” (Second Baccalaureate). Tylko dla synów wysoko uprzywilejowanych Wietnamczyków druga matura jest dostępna. Do tej pory jedyna droga postępu i awansu społecznego dostępna dla synów wieśniaków — wiedzie przez kadry Wietkongu. W rezultacie Wietkong przyciąga najwartościowszych i najzdolniejszych synów chłopskich”.

„... Jest wiele prawdy w oskarżeniu Barrington Moore'a — stwierdzają autorzy cytowanego dzieła — że amerykańska wojskowa gwarancja bezpieczeństwa dla wieśniaków oznacza tarczę poza którą dawni wyzyskiwacze mogą bezpiecznie wyciskać z chłopca wszystko co możliwe. W rezultacie żołnierze południowowietnamscy nie mają dyscypliny i oddania sprawie, które cechują Wietkong. W roku 1965 z armii południowowietnamskiej liczącej 571.000 — zderterowało 113.000 żołnierzy”.

Podkreślam jeszcze raz, że nie cytuję pamfletu pacyfistycznego, czy broszury wydanej przez takich czy innych *fellow-travellers*. Cytuję wydawnictwo naukowe Amerykańskiego Instytutu dla Badań Związku Sowieckiego.

Na obronę Amerykanów należy powiedzieć, że gdyby podjęli byli program radykalnych reform, natrafiliby na opór i niechęć ponieważ rewolucji w południowym Wietnamie dokonać mogą tylko Wietnamczycy a nie cudzoziemcy. Błąd polegał na tym, że w danej sytuacji, ponieważ walczono przeciw komunistom, oceniono, że każdy antykomunista jest dobry i proamerykański. Zagorzałymi antykomunistami są faszyci od Hitlera zacząwszy a na gen. Franco skończywszy — lecz z tego bynajmniej nie wynika, że faszystów należy popierać.

Dawniej sojusze zawierali monarchowie z monarchami. Dziś jednak sojusz musi mieć nie tylko polityczną lecz i społeczną motywację. Ani w Polsce ani w Czechosłowacji rozsądni ludzie nie kwestionują czysto politycznych motywów sojuszu z Rosją. Gdyby w sierpniu 1968 roku armia niemiecka wkroczyła do Czechosłowacji — czołgi sowieckie na ulicach Pragi byłyby witane

kwiatami. W takiej sytuacji motyw polityczny sojuszu z Rosją pokrywałby się z wolą społeczeństwa bronięcia republiki przed agresją niemiecką. Jak wiemy Niemcy nie wkroczyli i nie zamierzali wkroczyć do Czechosłowacji. Uprawnienia sojusznicze zostały nadużyte przez Sowiety w celu przywrócenia reżymu, którego społeczeństwo czechosłowackie sobie nie życzyło.

Rosja gwarantuje granice na Odrze i Nysie lecz równocześnie popiera w Polsce reżym reakcyjny, który hamuje proces niezbędnych reform. Sojusz z Rosją w aspekcie społecznym spełnia rolę negatywną i dlatego produkuje nienawiść. Na dalszą metę motywacja społeczna sojuszu jest ważniejsza od motywacji politycznej. Trudno wymagać od Polaków w Kraju by trzy razy dziennie powtarzali: „Rosja gwarantuje nam granice na Odrze i Nysie”. Natomiast „gomułkizm” utrudnia każdemu życie nie trzy razy lecz trzydzieści razy dziennie.

Oba super-mocarstwa nie doceniają motywu społecznego w budowie systemu sojuszków. Też tego szkicu jest pogląd, że ani Rosja ani Stany Zjednoczone nie są zdolne do przeprowadzenia światu samoistnie. Przewagę osiągnie super-mocarstwo, które swoją sferę wpływów lepiej zorganizuje.

Z tych przyczyn skłaniam się do poglądu, że w ramach równowagi atomowej — o przewadze zadecyduje organizacja systemów sojuszniczych ponieważ tylko dobrze zorganizowane systemy międzynarodowe zdolne są do rozwoju technologicznego i gospodarczego.

Stany Zjednoczone muszą wypracować globalną przewagę nad Rosją nie na to by ją powalić, lecz na to by móc podjąć z Moskwą rzeczowe rozmowy. Negocjować można tylko z pozycji siły. Przez siłę należy rozumieć nie tylko potencjały militarne lecz również poparcie narodów sojuszniczych. Z tej przyczyny społeczna motywacja sojuszków odgrywa tak istotną rolę.

W razie wybuchu wojny gdyby Amerykanie nie pozwolili Bundeswehrze przekroczyć granicy wschodniej NRD — Polacy, Węgrzy, Rumuni i Czechosłowacy nie walczyliby przeciwko Amerykanom, Brytyjczykom i Francuzom. Armie państw satelickich stawiałyby opór tylko tam gdzie Rosjanie mieliby możliwość wymuszenia posłuszeństwa siłą. Ponieważ jednak ludność krajów ujarzmionych nie traktowałaby Amerykanów jako wrogów — armie satelickie nie miałyby zaplecza.

Czytelnik powie, że to jest przykład fantastyczny. Niewątpliwie tak jest, lecz w razie wybuchu wojny, choćby mini-atomowej, działyby się rzeczy niepomiarne bardziej fantastyczne. Niemcy znajdują się na pierwszej linii frontu i mogłyby ponieść totalną klęskę w pierwszych dniach wojny. Nie oznaczałoby to klęski

Stanów Zjednoczonych. Oznaczałoby to jednak, że nie Bundeswehra wyzwalałaby kraje satelickie.

Powyższy przykład ilustruje tezę, że sojusz bez motywacji społecznej nie wytrzymuje próby konfliktu. Paradoks polega na tym, że gdyby Rosjanie w pierwszym okresie wojny zrównali Niemcy z ziemią — pozbawiliby się tym aktem wschodnioeuropejskich sojuszników.

Polacy czy Czechosłowacy z chwilą gdy Niemcy zostałyby wyeliminowane z konfliktu — powitaliby Amerykanów z życzliwością i przyjaźnią.

Rosjanie nie mają sojuszników przeciwko Ameryce. Mają sojuszników tylko przeciwko Niemcom.

Spójrzmy obecnie na sytuację w Europie pod kątem widzenia organizacji zespołów państw sojuszniczych. Ryzykuję pogląd, że przeciętny Europejczyk jest za pewnymi formami federacji i byłby skłonny zrezygnować z części suwerenności swojego państwa na rzecz ponad-narodowych instytucji. Natomiast ludzie na szczycie, tzn. politycy, nie są gotowi do tego typu rozwiązania.

Innymi słowy istnieje silny motyw społeczny za federacją — natomiast brak jest ciągle motywu politycznego gdyż nikt nie wie jak w zjednoczonej Europie winna być podzielona władza i wpływy pomiędzy Francją, Niemcami i Wielką Brytanią. Żadne z tych trzech mocarstw nie dysponuje zdecydowaną przewagą wskutek czego mielibyśmy serię niekończących się kombinacji: Francja z Niemcami przeciw Wielkiej Brytanii, Niemcy z Wielką Brytanią przeciw Francji itd., itd. Reakcja Francji na zbliżenie brytyjsko-niemieckie stanowi typowy przykład w tej sprawie. Unia Zachodnio-Europejska została czasowo sparaliżowana ponieważ rząd francuski stanął na stanowisku, że spotkanie londyńskie przedstawicieli Unii było nielegalne. Rząd francuski w dniu 17 lutego 1969 oświadczył, że Francja do czasu dalszych decyzji nie będzie brała udziału w posiedzeniach rady W.E.U. Oczywiście chodzi w tym wypadku o „wspólny rynek” i o usiłowania Anglii zmobilizowania poparcia innych członków wspólnoty wbrew Francji.

Podobnie jak większość Polaków zamieszkałych na tych wyspach, cenię wysoko Anglików i życzę Wielkiej Brytanii jak najlepiej. Lecz gdybym był Anglikiem byłbym przeciwny przystąpieniu Wielkiej Brytanii do „wspólnego rynku”.

Niemcy popierają Anglię, ponieważ gdyby Wielka Brytania weszła do Europy — NRF nie byłaby sam na sam z Francją. Anglicy nie powinni jednak oddawać się złudzeniom. Jeżeli Niemcy będą musieli wybierać — wybiorą zawsze Francję a nie Anglię.

Atlantycka koncepcja zjednoczenia Europy jest różna od koncepcji kontynentalnej. Francuzi i Niemcy widzą zjednoczoną

Europę jako „trzecią siłę” od nikogo nie zależną ani gospodarczo ani politycznie. Stany Zjednoczone mogłyby być sojusznikiem tego typu Europy lecz nie współudziałowcem. Natomiast koncepcja atlantycka — dziś odstawiona na półkę — zmierzała do związania Stanów Zjednoczonych z Europą.

W mojej opinii zjednoczycielami Europy będą nie politycy tylko technokraci i *businessmen*'i — głównie amerykańscy. Jak słusznie zauważył L. Fletcher w jednej ze swych prac — Paryż, Londyn i Bonn mogą się poróżnić — lecz „General Motors” w Niemczech i „General Motors” we Francji i w Anglii nie poróżnią się nigdy.

Europa Zachodnia nawet w pewnej mierze zjednoczona nie stanowiłaby dostatecznej przeciwwagi w stosunku do Związku Sowieckiego. Z tych przyczyn każda koncepcja, która „poszerza” Atlantyk wydaje mi się niebezpieczna. W naszym interesie leży „zwężenie” Atlantyku i przybliżenie Ameryki do Europy w organicznej formie.

Stany Zjednoczone jeżeli mają prowadzić politykę globalną potrzebują czegoś więcej niż sojuszników. Potrzebują oparcia o polityczno-gospodarczy blok narodów, który swym rozmiarem i potencjałem zapewniłby stałą przewagę nad blokiem państw komunistycznych.

Ameryka nie ma w tej sprawie wyboru i musi prowadzić politykę globalną, bo Rosja prowadzi politykę globalną. Dziesięć lat temu wybitni sowietolodzy amerykańscy określali Rosję jako „mocarstwo regionalne”, „statyczne” i „lądowe”. Diagnoza okazała się całkowicie fałszywa. Rosja nie jest statyczna (Czechosłowacja) ani regionalna (Środkowy Wschód, Afryka, Wietnam itd.) ani lądowa (sowiecka flota wojenna dościga Amerykę). Upadek europejskich systemów imperialnych stworzył dla Rosji dziejową koniunkturę, która jeżeli nie zostanie przyhamowana — zapewni Sowiecom bazy morskie i lotnicze we wszystkich strategicznych punktach globu. Jeżeli rozbudowa floty sowieckiej, którą podjęto zaledwie 20 lat temu — postępować będzie w obecnym tempie — pod koniec lat siedemdziesiątych bieżącego stulecia Sowiety będą nie drugą lecz pierwszą morską potęgą świata.

Obserwując wydarzenia na kontynencie dochodzi się do wniosku, że Europa nie może się zjednoczyć nawet bez Anglii a cóż dopiero z Anglią.

Nikt nie chce być kolonią czy satelitą. Lecz niewątpliwie najgłępszą polityką byłoby będąc semi-kolonią zagradzać sobie drogę do statusu niezależnego dominium, które wpływa bezpośrednio na politykę hegemonu.

Istnieją dwie różne koncepcje polityki wobec hegemonu. Moż-

na zlikwidować NATO i wyprosić Amerykanów z Europy. Ponieważ jednak Europa łącznie z Anglią nie byłaby w stanie wykupić zakładów przemysłowych dominowanych przez kapitał amerykański — inwazja dolarowa postępowałaby dalej.

Niezależność streszcza się w zdaniu: „nic o nas bez nas”. W cytowanej sytuacji Waszyngton — łatwiej niż obecnie — mógłby pertraktować z Moskwą ponad naszymi głowami w sprawach ściśle europejskich. Mocarstwa zachodnioeuropejskie nie miałyby głosu w Waszyngtonie natomiast Stany Zjednoczone byłyby równie potężne jak są dzisiaj. W rezultacie, byłibyśmy w stosunku do Ameryki politycznie słabsi a nie mocniejsi.

Druga koncepcja polityki wobec super-mocarstwa wychodzi z realnego założenia, że ponieważ hegemonia nie można „wyparować” ani przyciąć do bardziej strawnych proporcji — należy stworzyć blok państw, który — z uwagi na ich łączny potencjał — miałby zapewniony głos współpartnera. Wydaje mi się, że tylko i wyłącznie na tej drodze można urzeczywistnić zasadę „nic o nas bez nas”.

Pomiędzy Anglią a Europą istnieje zbyt wielka suma różnic by wbudowanie Wielkiej Brytanii w system kontynentalny rokować miało nadzieje sukcesu. Owa suma różnic w stosunku do kontynentalnej Europy jest minusem — lecz w stosunku do świata anglosaskiego jest wielkim plusem.

W pierwszej części tego szkicu omówiłem problem motywacji społecznej sojuszków. Dany sojusz jeżeli ma sprawnie funkcjonować musi korzystać z poparcia społeczeństwa. Społeczeństwo nie poprze nigdy sojuszu, który jest instrumentem dominacji hegemonu. Dlatego leży w interesie Stanów Zjednoczonych podzielenie się władzą decyzji ze swoimi sojusznikami. Lecz z kim w Europie Ameryka ma się dzielić władzą i decyzją? Powtarzam: Z kim?

Anglia i Francja otwarcie rywalizują pomiędzy sobą o przywództwo w Europie. Nie należy się temu dziwić, gdyż na kontynencie zawsze tak było. Francuzi nie mają powodu ustępować Anglikom a Anglicy nie mają powodu ustępować Francuzom. Trzeba wiele optymizmu by powyższe widowisko nazwać procesem zmierzającym do zjednoczenia Europy.

W centrum kontynentu stacjonuje potężna armia sowiecka. W takiej sytuacji jednym z naszych zasadniczych celów winno być instytucjonalne, organizacyjne związanie Stanów Zjednoczonych z Europą. Temu zadaniu nie sprostą Europa rozdzielana rywalizacją Anglii i Francji.

W mojej ocenie należałoby powrócić do koncepcji NAFTA (North Atlantic Free Trade Area). Tym razem jednak NAFTA

powinna mieć konkretną nadbudowę polityczną. Związek obejmowałby Stany Zjednoczone, Kanadę i Wielką Brytanię.

NAFTA nie tylko nie miałaby charakteru antyeuropejskiego — lecz przeciwnie, wiązałaby Amerykę z Europą, ponieważ granice NAFTA — a tym samym poniekąd granice Stanów Zjednoczonych byłyby odległe zaledwie o 20 mil od kontynentu europejskiego. Atlantyk „wyparowałby” i Stany Zjednoczone jako członek NAFTA byłyby bezpośrednim sąsiadem Europy.

Przeciętny Anglik rozważając ten problem ująłby go prawdopodobnie następująco: „Jesteśmy dość silni by grać pierwsze skrzypce w Europie. W NAFTA bylibyśmy natomiast kolonią amerykańską”.

Wszystko zależy co się rozumie przez termin „kolonia”. Gdyby Czechosłowacja była całkowicie niezależną od Rosji pod względem technologicznym i gospodarczym — nic by jej to nie pomogło, ponieważ Praga nie ma żadnego wpływu na decyzje podejmowane na Kremlu. Anglia jako członek „wspólnego rynku” będzie, identycznie jak dziś, technologicznie i gospodarczo zależna od Ameryki natomiast jej wpływ w Waszyngtonie będzie mniejszy niż obecnie. Uniezależnienie się od Ameryki możliwe jest tylko poprzez związanie się ze Stanami Zjednoczonymi — poprzez wciągnięcie Ameryki do związku państw, które Waszyngton musiałby traktować za swoich równorzędnych partnerów a nie tylko za sojuszników, których wyzwała się spod takiej czy innej okupacji. Wielka Brytania członek NAFTA byłaby *de facto* w znacznie mniejszym stopniu „kolonią” amerykańską niż obecnie, ponieważ miałaby nie tylko wpływy w Waszyngtonie lecz jako mocarstwo związkowe miałaby konkretne uprawnienia w naczelnych władzach pobierających zasadnicze decyzje.

Można przytoczyć dziesiątki argumentów ekonomicznych, które przemawiają za przystąpieniem Anglii do NAFTA a nie do „wspólnego rynku”. Przede wszystkim sprawa produktów rolnych w NAFTA nie byłaby problemem. Potencjał technologiczny amerykańsko-brytyjsko-kanadyjski stanowiłby bazę największego przemysłowego zgrupowania świata.

Mielibyśmy wówczas „wspólny rynek” i jednoczącą się kontynentalną Europę Zachodnią, oraz NAFTA, która bezpośrednio sąsiadowałaby z Europą. Poprzez Wielką Brytanię członka NAFTA — Stany Zjednoczone stałyby się w pewnym sensie mocarstwem europejskim — podobnie jak Rosja jest mocarstwem europejskim.

Europejczycy zachodni pragną być niezależni. Stare, historyczne narody jak Francuzi czy Anglicy, nie chcą być niczym satelitą.

To jest zrozumiałe. Wydaje mi się jednak, że przeoczymy istotny punkt. Niezależność w Zachodniej Europie oznacza niezależność od Ameryki.

W Berlinie kilka tysięcy żołnierzy alianckich stoi naprzeciwko półmilionowej armii sowieckiej. Mini-potencjały atomowe Anglii i Francji nawet połączone nie stanowiłyby 6 % atomowego potencjału sowieckiego. Przewaga nie zainkasowana nie przestaje być przewagą i zagrożeniem. W takiej sytuacji zależnością od Ameryki kupujemy niezależność od Sowietów.

Nie technologia amerykańska tylko Rosjanie uzależniają nas od Stanów Zjednoczonych. Na to by uniezależnić się od Ameryki trzeba by wpierw usunąć przyczynę owego uzależnienia tzn. zlikwidować zagrożenie sowieckie.

Zachodnia Europa będzie niezależna od Ameryki wówczas gdy Wschodnia Europa stanie się niezależna od Rosji. To nie jest „pobożne życzenie” tylko mechanika skutku i przyczyny. Uniezależnienie się państw wchodnioeuropejskich od Rosji i normalizacja stosunków pomiędzy krajami satelickimi a Rosją — będzie oznaczała wygaśnięcie rosyjskiego zagrożenia. Wówczas — lecz dopiero wówczas — powstanie możliwość zorganizowania całej Europy niezależnej zarówno od Rosji jak i od Ameryki. Byłaby to prawdopodobnie Europa semi-neutralna o międzynarodowym statusie, gwarantowanym tak przez Moskwę jak i Waszyngton.

Kultura nr 4/259, kwiecień 1969

CZYJA KROWA?

Rozdział niniejszy nie jest poświęcony ruchowi studenckiemu, lecz chciałbym go rozpocząć od kilku uwag na ten temat. Rewolucja studencka została uwieńczona sukcesem. Uniwersytety i zakłady wyższego nauczania w Europie Zachodniej, a w szczególności w Anglii i we Francji — będą w najbliższych trzech latach widownią większych przemian niż na przestrzeni ubiegłych trzystu lat.

Rewolucja studencka wykazała, że przemoc (*violence*) popłaca, że tradycja jest mitem, i że nowoczesne organizacje studenckie stają się nowym typem związków zawodowych. Nie ulega wątpliwości, że zwiększający się procent studentów pochodzenia robotniczego pociąga za sobą — zwłaszcza w Anglii — przebudowę maszynierii organizacyjnej. Synowie *trade-unionist*ów wynoszą z domu tradycję strajków, negocjacji i umów zawieranych przez władze związkowe. Młodzi ludzie pochodzący z klasy robotniczej *modus operandi* związków zawodowych starają się przeszczepić na pole organizacji studenckich.

Jest nonsensem twierdzić, że akcja zorganizowana przez Daniela Cohn-Bendit'a doprowadziła do strajku 10 milionów robotników i „rewolucji francuskiej”. Jeżeli gmach jest podminowany, nie ma znaczenia kto podpala lont. Gmach runął nie dlatego, że lont podpalił Cohn-Bendit — tylko dlatego, że był podminowany. Gdyby gmach nie był podminowany, lont zapalony przez Cohn-Bendita spaliłby się bez żadnych dalszych konsekwencji.

Wszyscy publicyści starszego pokolenia z Walter Lippmannem na czele — odmawiają młodym jakiegokolwiek programu. O studenckich rewolucjonistach we Francji Lippmann pisał co następuje: „Młodzi nie są postępowi, ani lewicowi, ani socjalistyczni, ani komunistyczni. Są, w dosłownym tego słowa znaczeniu, nihilistami”.

Obalenie muru, który zagradza drogę jest swego rodzaju „programem”. Zgadza się jednak z poglądem większości publicystów starszego pokolenia — do którego sam należę — że młodzi nie mają konkretnego programu. Lecz my również nie mamy żadnego programu. Różnica między nami nie dotyczy programu, ponieważ nie mają go ani starzy ani młodzi. Przepaść jaka nas dzieli sprowadza się do faktu, że młodzi (skrajnych poglądów) uważają, że nasz świat nie nadaje się do naprawy, podczas gdy my usiłujemy „trzymać go na chodzie” serią półśrodków.

Tylko wyjątkowi ludzie są zdolni wznieść się wizją i zrozumieniem ponad ramy układu w którym zostali uformowani. Zawsze tak było lecz nie zawsze w równym stopniu. Nasze pokolenie uległo procesowi sztucznego postarzenia. Tempo rozwoju naukowego i technologicznego spowodowało, że przeciętny czterdziestoletni Europejczyk wykazuje mentalność pradiadka. Świat dokonał tak gigantycznego skoku, że każdy z nas, starszych panów, łatwiej znalazłby wspólny język z grenadierem napoleońskim niż z własnym synem.

Jesteśmy sztucznie postarzeni mimo że perspektywy przeżycia mamy lepsze niż pokolenia poprzednie. Lecz starość w sensie duchowym i psychicznym mierzy się sumą nie zaasymilowanych przemian. Nasi dziadkowie gdy byli w naszym wieku — obarczeni byli nieporównanie mniejszą sumą nie zaasymilowanych przemian niż my, i dzięki temu byli młodszy. Byli młodszy, bo będąc w naszym wieku lepiej rozumieli otaczający ich świat niż my rozumiemy nasz świat. Europejczycy, którzy urodzili się sto lat przede mną tj. w roku 1806 — mieli niepomniernie mniejsze trudności w zrozumieniu świata z roku 1868 niż mam ja w zrozumieniu świata w roku 1968. Ci panowie, będąc w moich latach nie mieli za sobą dwóch wojen światowych, rewolucji rosyjskiej, przełomu naukowego i technologicznego, odkrycia energii atomowej itd., itp.

To są zjawiska o poważnych socjologicznych konsekwencjach. Dzięki zdobyczom medycyny ludzie żyją dłużej i wskutek tego wszędzie rządzą starzy lub bardzo starzy. Znaczny procent owych starych panów, którzy nami rządzą — nie jest w stanie zasymilować różnorodnych przemian, które narosły w ostatnich dziesięcioleciach. Jeżeli suma nieprzyswojonych przemian jest zbyt wielka pociąga za sobą dezorientację. Starzy ludzie są zdezorientowani w znacznie większym stopniu niż w epokach ubiegłych — co jest jedną z głównych przyczyn upadku ich autorytetu.

Równocześnie w obronie starszego pokolenia należy stwierdzić, że weszliśmy w okres uniwersalnego kryzysu. W stanie wrzenia i rewolucyjnych wstrząsów znajduje się dosłownie wszyst-

ko — młodzież, nauka, systemy teologiczne, ustroje, ideologie, ekonomie. Kryzys podważył również ramy ustroju demokratycznego — co w moim przekonaniu stanowi najistotniejszy element obecnej sytuacji.

Ustrój powinien stanowić ramy dla swobodnej gry sił społeczno-gospodarczych. Owa gra — pełna konfliktów i dynamiki — winna w pełni wyrażać się w formach ustrojowych. Jeżeli jednak w parlamencie nie dyskutuje się najistotniejszych zagadnień, jeżeli parlament nie występuje z programem koniecznych reform — wówczas paląca problematyka dnia przenosi się na ulicę i ludzie szukają dla niej rozwiązań poza ramami form ustrojowych.

W Anglii i we Francji obserwujemy częste strajki które pociągają za sobą straty idące w setki milionów funtów. Robotnicy stawiają w końcu na swoim i otrzymują podwyżkę płac. Z kolei, owa podwyżka jest „zjedzona” wzrostem drożyzny i podatków. Wzrost drożyzny i podatków w znacznej mierze spowodowany jest faktem, że państwo jako przedsiębiorca, wydaje więcej niż zarabia. Należałoby więc wnioskować, że państwo — podobnie jak każdy inny przedsiębiorca, nie powinno wydawać więcej niż zarabia, nawet, jeżeliby miało to oznaczać zamrożenie na pewien czas płac robotniczych.

Marksista zauważyłby w tym miejscu, że istnieje antagonistyczna sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą (tzn. robotnikami) i to stanowi źródło wszystkich naszych trudności. Socjal-demokraci nie kwestionują owej sprzeczności. W wywiadzie telewizyjnym jeden z wybitnych brytyjskich działaczy związków zawodowych podkreślił fakt istnienia sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą (*labour*).

Jak słusznie zauważył jednak prof. Alasdair MacIntyre — socjal-demokraci w przeciwieństwie do komunistów — wierzą, że ów konflikt może być niejako inkorporowany w system demokratyczny. Istnienie potężnej partii robotniczej umożliwia przekształcenie owego konfliktu w kompromis korzystny dla wszystkich. W ostatecznym rozrachunku demokracja jest sumą kompromisów i nie może być inaczej.

A. MacIntyre w swojej krytyce Labour Party idzie niezmiernie daleko. Tytuł jego pracy: „The Strange Death of Social Democratic England” mówi właściwie wszystko. Jego główny zarzut streszcza się w tezie, że będąc rządem Partii Pracy, obecny rząd nie prowadzi polityki partii pracy.

W Anglii istnieje jeszcze ciągle wielka nierówność majątkowa. Ponad 80 % prywatnej własności znajduje się w posiadaniu grupy ludzi, którzy stanowią 7 % ogółu ludności. Wszystko to powoduje — zdaniem autora omawianej pracy — że politykę Labour Party

a więc politykę zgodną z interesami klasy robotniczej poświęca się na ołtarzu „tradycyjnych bogów brytyjskiej ekonomii i systemu komercyjnego”. Owymi tradycyjnymi bóstwami są status funta sterlinga jako waluty światowej, cyfry bilansu handlowego i eksport.

A. MacIntyre nie jest odosobniony w krytycznej analizie systemu demokratycznego. Ukazują się liczne książki i artykuły — poświęca się tym zagadnieniom programy telewizyjne i radiowe, mówi się ustawicznie o alienacji, partycypacji, emancypacji itd. Słowo *complex* (złożony) jest chyba najczęściej powtarzającym się określeniem we wszystkich dyskusjach dotyczących spraw ustrojowych. Niestety wszystko co ludzkie jest złożone i skomplikowane i nie ma w tym nic nowego. Obsesyjne podkreślenie złożoności tych zagadnień — świadczy tylko o naszej bezradności.

Chciałbym wyodrębnić problem, który dotyczy nie tylko Anglii lecz ustrojów demokratycznych określonego typu. Zaczniemy od stwierdzenia, że system dwu-partyjny niesie z sobą nieuchronnie pewien stopień alienacji. Rząd wnosi projekt ustawy. Dysponując przynajmniej większością w parlamencie przeprowadza swój projekt ustawodawczy. Nad projektem może być dyskusja w prasie, w radio, w telewizji — lecz sprawa jest z góry przesądzona. W systemie dwu-partyjnym rządzi rząd — nie parlament.

W systemie wielopartyjnym rządzi *de facto* parlament. Rząd musi zabiegać o poparcie partii politycznych dla swych projektów ustawodawczych i często głos reprezentanta małej partii może przeważać szalę. System dwu-partyjny z punktu widzenia administracyjnego jest niepomierne sprawniejszy. Rząd oparty o znaczną większość w parlamencie ma zapewniony czasokres urzędowania i może realizować plany obliczone na lata. Natomiast w systemie wielopartyjnym rządy zmieniają się czasem kilka razy na miesiąc co wpływa ujemnie na planowanie administracyjno-gospodarcze.

Teraz możemy wrócić do alienacji. Tysiące ludzi, których określa się mianem „wyalienowanych” — byłoby bardzo niezadowolonych gdyby musiało przestać być „wyalienowanymi”. Mówimy o alienacji w jej aspekcie politycznym. Tysiące ludzi nie pragnie ani zaangażowania, ani partycypacji. Pragnie natomiast by rząd za ich pieniądze (podatki) administrował gospodarką państwową sprawnie i wydawnie. Owe tysiące rzekomo „wyalienowanych” zaczynają interesować się polityką dopiero wówczas gdy pojawia się kryzys — drożyzna, bezrobocie, deprecjacja waluty, itd.

Inna jest sytuacja zorganizowanej klasy robotniczej. W systemie dwu-partyjnym, jeżeli jedna z dwóch głównych partii nie

jest w dosłownym tego słowa znaczeniu polityczną partią robotniczą — robotnicy mają konkretny powód do alienacji.

A. MacIntyre kończy wspomnianą wyżej pracę następująco: „Mówię o grupie społecznej, która obecnie nie ma partii politycznej tzn. o brytyjskiej klasie robotniczej”.

Brytyjska Labour Party jest jedną z najbardziej zasłużonych dla ruchu robotniczego partii świata. Jej osiągnięcia są olbrzymie. Czy jednak Labour Party jest w dosłownym tego słowa znaczeniu partią robotniczą — to jest inny problem.

Osobiście skłaniam się do poglądu, że na całym świecie nie ma jak dotąd — partii robotniczej. Wydaje mi się również, że prawdziwa partia robotnicza mogłaby istnieć tylko w ramach demokracji robotniczej. Kluczowym zagadnieniem w tej sprawie jest sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą — sprzeczność pomiędzy interesami klasy robotniczej a kapitalistycznie zorientowaną ekonomią.

Owa sprzeczność — jak wykazali Kuroń i Modzelewski a przed nimi Dżilas — występuje najjaskrawiej w państwach komunistycznych. Wobec wyzysku monopolistycznego super-kapitalisty, który dysponuje wojskiem, policją i aparatem administracyjnym — klasa robotnicza jest całkiem bezbronna. Istoty rzeczy nie zmienia fakt, że komuniści w pewnych krajach bloku wschodniego starają się kokietować robotników — wiedzą bowiem, że robotnicy są jedyną zwartą i solidarną klasą społeczną, potencjalnie zdolną do akcji masowej.

Z polityczno-socjologicznego punktu widzenia należy stwierdzić, że istnieje olbrzymia dysproporcja pomiędzy możliwościami a osiągnięciami klasy robotniczej. Majowa rewolucja francuska wykazała bez niedomówień, że strajk 10 milionów robotników może pchnąć na krawędź chaosu nowoczesne, dobrze zorganizowane i zamożne państwo. Takiej akcji i takiego zagrożenia nie może ani podjąć ani spowodować żadna inna klasa społeczna. Można uznać za aksjomat socjologiczny następujące stwierdzenie: inicjatorami przewrotu nie muszą być robotnicy lecz bez masowego poparcia klasy robotniczej nie ma przewrotu.

Rewolucja francuska wykazała również, że mylili się ci liczni znawcy, którzy uporczywie głosili, że uprzemysłowienie i względny dobrobyt rozbroiły klasę robotniczą niwecząc jej dawną bojowość.

W przeciwieństwie do A. MacIntyre, sądzę, że socjal-demokracja oparta na kompromisie pomiędzy kapitałem a pracą — możliwa jest tylko w pewnych określonych warunkach. W kraju nie tylko kapitalistycznym lecz i bogatym — robotnikom lepiej opłaca się „dość kapitalistyczną krowę” niż dążyć do przebudowy

szeniu uposażeń. Krótko mówiąc, na to by pieniądze wydatkować trzeba je wpierw zarobić.

Logika polityki rządu, który odpowiada za zdrowie gospodarczej „krowy” i za jej mleczność — jest niezbita. Lecz podstawowe pytanie nie dotyczy ani zdrowia ani mleczności. Podstawowe pytanie brzmi: *kto jest właścicielem krowy?*

Rządy zachodnioeuropejskie wychodzą z założenia, że właścicielem „krowy” jest cały naród. Nie wydaje się jednak by wszyscy robotnicy podzielali ten pogląd. Strajk dziesięciu milionów robotników we Francji w maju 1968 roku pociągnął za sobą straty gospodarcze wyrażające się w astronomicznych cyfrach. Kto podcina gardło swojej własnej krowie? Należy odpowiedzieć, że nikt przy zdrowych zmysłach nie podrzyna gardła swojej własnej krowie. Ponieważ trudno dziesięciu milionom robotników odmówić zdrowych zmysłów — nie pozostaje nic innego jak stwierdzić, że krowy gospodarczej nie uważają za swoją.

W Anglii coraz częściej obserwujemy zjawisko tzw. strajków nieoficjalnych. Co to oznacza? Oznacza to nawrót do tradycyjnej robotniczej akcji bezpośredniej. Oznacza to, że w danym zakładzie przemysłowym robotnicy podejmują strajk na własną rękę przeciw całemu *establishment* z kongresem związków zawodowych włącznie. Nieoficjalny strajk jest manifestacją stwierdzającą ponad wszelką wątpliwość że robotnicy „krowy” nie uważają za swoją. Innymi słowy, jeżeli krowa nie chce dać tyle mleka ile żądają robotnicy — tym gorzej dla krowy.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? W mojej osobistej ocenie system socjal-demokratyczny, który obejmuje tak burżuazyjne ugrupowania jak i partię robotniczą — może funkcjonować sprawnie w kraju bogatym jak Stany Zjednoczone, czy Niemcy zachodnie. Podstawowym składnikiem kapitalizmu jest kapitał. Nie można prowadzić gospodarki kapitalistycznej czy neo-kapita-

demokracji — jest nie do osiągnięcia ponieważ nie ma budulca, z którego można by go skonstruować.

Weźmy przykład. Kupiłem farmę na której zatrudniam dwóch robotników. Był nieurodzaj, poczyniłem nierozsądne inwestycje — w rezultacie nie mam pieniędzy. W takiej sytuacji ja i moja żona możemy postanowić, że będziemy jeść barszcz widelcem — niemniej robotnicy muszą być zapłaćeni. Oni nie są właścicielami farmy i nie mają powodu ponosić ofiar koniecznych do przezwyciężenia kryzysu. W omawianym wypadku trzeba albo pożyczyć pieniędzy i zapłacić robotników albo uczynić ich współwłaścicielami farmy. Wówczas będzie to nie moja farma tylko nasza farma i wszyscy ponosić będziemy na równi ofiary w celu przezwyciężenia kryzysu.

Ekonomiści i socjologowie jeżeli przeczytają ten artykuł skrzywią się w tym miejscu z niesmakiem. Przykład z farmą wyda im się prymitywny a może nawet demagogiczny. Państwo to nie farma tylko problem złożony.

Należy podkreślić dwa punkty. Ilekroć mowa o „duchu Dunkierki”, ofiarach, poświęceniu itp. — największych ofiar oczekujemy zawsze od klasy robotniczej. Jeżeli płace ulegają zamrożeniu oznacza to co innego dla robotnika, który zarabia 15 funtów tygodniowo — a co innego dla kogoś kto zarabia 80 czy sto funtów tygodniowo.

I punkt drugi. Robotnicy, w przeciwieństwie do innych warstw społecznych, dysponują instrumentem nacisku. Przyjdzie chwila, że trzeba będzie uczynić ich współwłaścicielami „krowy” w przeświadczeniu, że własnej krowie nie poderzną gardła.

Też tych rozważań jest pogląd, że socjal-demokracja nie rozwiązała sprzeczności jaka istnieje pomiędzy kapitałem a pracą. Uznając natomiast kolejno prawa robotnicze, aż po wspaniały status społeczny, jakim dziś cieszy się klasa robotnicza w Wielkiej

Brytanii — demokracja inkorporowała w swoją strukturę ową sprzeczność co umożliwiała negocjowanie kompromisowych rozwiązań. Socjal-demokracja nie tylko nie zdradziła robotników lecz umożliwiła i ulegalizowała prawa robotników do walczenia o najlepszą płacę i warunki. Żaden inny ustrój na świecie nie dał robotnikowi tych możliwości.

Należy jednak równocześnie stwierdzić, że jeżeli hamuje się walkę robotników o wyższe płace drogą ustawodawczą, czy drogą nacisku patriotyczno-moralnego — nie można dłużej głosić, że ustrój socjal-demokratyczny wyraża i harmonijnie rozwiązuje sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą.

Albo się jest najemnikiem albo się jest współwłaścicielem. Robotnik, który sprzedaje siłę swoich mięśni i swoje fachowe przygotowanie nie ma powodu ani tytułu brać na siebie części kłopotów finansowych kapitalisty, który go wynajmuje. Obojętne czy owym pracodawcą jest człowiek prywatny, korporacja publiczna, czy państwo. Nie można być w jednej osobie wynajmowanym i wynajmującym. Nie jest rzeczą wynajmowanego analizowanie bilansów pracodawcy. Rzeczą wynajmowanego jest walczyć o najlepszą płacę i warunki.

Kryzys strukturalny, który dyskutujemy — nie jest spowodowany polityką rządu. Rząd brytyjski pragnąłby zapewnić robotnikom najwyższe płace i najlepsze warunki pracy. Anglii po prostu na to nie stać. Kryzys strukturalno-ustrojowy obserwujemy w całej Europie Zachodniej a nie tylko w Anglii.

Wyraziłem powyżej pogląd, że w gruncie rzeczy na całym świecie nie ma prawdziwej partii robotniczej. W mojej opinii prawdziwa partia robotnicza musiałaby rozwiązać i tym samym zlikwidować sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą. Likwidacja owej sprzeczności wymagałaby przebudowy socjaldemokracji w demokrację robotniczą.

Na marginesie zanotujmy, że terminu „demokracja robotnicza” używam tylko jako symbolu rozpoznawczego. Jestem przekonany, że za 20 czy 30 lat Anglia będzie miała ustrój zbliżony do demokracji robotniczej lecz nikt nie będzie używał tej nazwy, ponieważ Wielka Brytania pozostanie monarchią i tylko Izba Lordów utraci swój tradycyjny charakter. Analogiczne zmiany nastąpią we Francji gdzie również nikt nie będzie używał terminu „demokracja robotnicza”. Nadaję zatem tę nazwę ustrojowi ku któremu — w mojej opinii — zmierzamy.

Gdyby na zachodzie Europy a w szczególności we Francji i we Włoszech nie istniały potężne partie komunistyczne — być może powstałyby nowe radykalne partie robotnicze. Komuniści sa wielką anty-rewolucyjną siłą w Europie Zachodniej okupują

bowiem historyczne miejsce przynależne partii rewolucyjnej. Majowe wypadki we Francji potoczyłyby się inaczej gdyby pozycję komunistów zajmowała nowoczesna, rewolucyjna partia robotnicza.

W Anglii z całą pewnością nie będzie rewolucji ani nawet mini-rewolucji. Brytyjczycy posiadają rzadką umiejętność dokonywania rewolucyjnych przemian nie rewolucyjnymi metodami. Nie zaryzykowałbym jednak powyższej prognozy w stosunku do kontynentalnych państw zachodnioeuropejskich.

Komunizm nie rozwiązał sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą i dlatego robotnikom odebrano prawo walczenia o lepsze płace i warunki. Socjal-demokracja nie rozwiązała również owych sprzeczności lecz przyznała robotnikom prawo walczenia o najwyższe płace i najlepsze warunki pracy.

Nie ulega wątpliwości, że model obecny nie funkcjonuje sprawnie. Liczba strajków w Anglii w porównaniu z innymi krajami nie jest wysoka, lecz większość strajków stanowią strajki nieoficjalne.

Ustroje zachodnioeuropejskie muszą rozwiązać problem w imię którego w Rosji 50 lat temu podjęto rewolucję, i którego rewolucja typu sowieckiego nie zdołała rozwiązać. Problem nierozwiązany nie przestaje być problemem i przychodzi chwila, kiedy nie można go dłużej odkładać *ad acta*.

Zagadnienie, któremu poświęcone są niniejsze rozważania — nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek ideologią. To jest problem praktyczny i tylko na drodze praktycznej może być rozwiązany. Rozwiązania mogą być różne w zależności od układu społeczno-gospodarczego w danym kraju. Marksści nie mają racji twierdząc, że jedyną receptą w tej sprawie jest zniesienie własności prywatnej. Miarodajną w tej dziedzinie jest wyłącznie opinia robotników a nie intelektualistów i ideologów. Przez likwidację sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą należy rozumieć taki układ stosunków społeczno-ekonomicznych, w którym robotnicy całość gospodarki przemysłowej uznaliby za swoją. Droga do tego celu w moim przekonaniu, nie prowadzi przez zniesienie własności prywatnej lecz przez zniesienie z czasem instytucji najemnictwa.

W zakładzie przemysłowym, którego 55 % udziałów znajduje się w rękach załogi — robotnicy *de facto* nie są najemnikami tylko pracują na swoim i dla siebie. Natomiast robotnicy w Nowej Hucie nie pracują ani na swoim ani dla siebie. Płace, normy, czas pracy — wszystko jest narzucone arbitralnie z góry. Robotnik w Nowej Hucie jest najemnikiem w rękach kapitalisty, który dysponuje nie tylko kapitałem ale i policją.

zani, uczynili ich współwłaścicielami fabryk i zakładów przemysłowych.

Projektów tego typu jest wiele. W Anglii pewne przedsiębiorstwa udostępniają swym pracownikom nabywanie udziałów. Za współudziałem robotników w przedsiębiorstwach wypowiadają się tak socjal-demokraci jak i konserwatyści. Charakterystyczna jest w tym względzie praca zbiorowa tzw. Bow Group pt. „Cutting the Cake” jak i roczne sprawozdanie przewodniczącego P.I.B. (National Board for Prices and Incomes). Nigdzie jednak programowi współudziału nie nadano mocy ustawy powszechnie obowiązującej. Francja — jeżeli cytowanego projektu biurokraci nie schowają pod sukno — będzie pierwszym państwem europejskim, które wkroczyło na właściwą drogę.

Anglosasi sceptycznie oceniają projekty francuskie. Nie twierdzą, że projekt francuski jest najlepszy ze wszystkich możliwych rozwiązań. Ale twierdzą, że sprawa jest przesądzona, bo nie robotnicy są w sytuacji przymusowej tylko kapitaliści. W systemie neo-kapitalistycznej ekonomii będzie coraz trudniej utrzymać wysoki stopień produktywności i równocześnie zaspokoić rosnące żądania robotników. Robotnicy najemni nie mają powodu redukować swych legalnych żądań w ten sposób, by pasowały do kalkulacji kapitalisty. Solidarności z kapitałem można się domagać od współudziałowców lecz nie od najemników.

Robotnicy brytyjscy w czasie wojny z wielką ofiarnością utrzymywali produkcję przemysłową w najtrudniejszych warunkach. Lecz nie jest rzeczą możliwą w 25 lat po wojnie rozwiązywanie zagadnień gospodarczych w atmosferze permanentnego „stanu wyjątkowego”. Utopią nie są reformy. Utopią jest konserwatywna wiara, że bez reform za rok czy za dwa powiedzie się odbudować dawne, dobre czasy.

Prasa amerykańska ujawniła, że w Stanach Zjednoczonych około 10 milionów ludzi wykazuje objawy niedożywienia jak pelagra, szkorbut itp. Chodzi w tym wypadku o dwa hrabstwa — Beaufort i Jasper w Stanie South Carolina.

Czy fakt, że ludzie w Jasper niedojadają oznacza, że Kuroń i Modzelewski są dostatecznie odżywiani w polskim więzieniu?

Zastanawiałem się zawsze nad celem książek jak np. „Zoolityka” Jana Gerharda, wydana przez MON w Warszawie. „Zoolityka” oznacza politykę zezwierzęcenia. Naród amerykański składa się z wyzyskiwaczy, głodujących Murzynów i gangsterów. Jednym słowem — dżungla.

Żałóżmy absurdalną tezę, że istotnie tak jest jak opisuje p. Gerhard. Pójdźmy o krok dalej i założmy, że Ameryka przywróciła niewolnictwo. Czy przywrócenie niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych przekształciłoby ustrój w PRL w prawdziwy socjalizm?

Marksizm zakłada, że kapitalizm jest złym ustrojem ponieważ oparty jest na prywatnej własności środków produkcji i na wyzysku. Lecz z faktu, że kapitalizm jest zły nie wynika logicznie, że komunizm jest dobry.

W teorię marksizmu wbudowany jest system przeciwstawień. Reakcja contra postęp, konserwatyzm contra rewolucja, uspołeczniona produkcja contra prywatna produkcja, wyzysk contra sprawiedliwy podział dochodu narodowego itd., itp. W rezultacie kapitalizm jako ustrój jest antagonistycznie sprzeczny z ustrojem komunistycznym.

Nigdzie nie jest powiedziane, że dana teza jest z definicji lepsza od swojej antagonistycznej anty-tezy. Wolność stanowi anty-tezę niewoli. Czy to oznacza, że zawsze i w każdych warun-

kach lepiej jest być na wolności niż w więzieniu? Na pewno nie. Lepiej jest mieć kawałek więziennego chleba i barak z żelaznym piecykiem — niż być na wolności jeżeli owa wolność oznacza setki kilometrów zamarzniętej, zaśnieżonej tundry. Lepiej jest być wyzyskiwanym pracownikiem w super-kapitalistycznej fabryce i zarabiać £ 60 tygodniowo — niż być robotnikiem w super-ustroju kółchozie i zarabiać £ 3 tygodniowo.

Przed kilku miesiącami rozmawiałem z pewną panią, która przyjechała z Kraju odwiedzić swoją zamożną córkę. Pani o której mowa nie posiada wyższego wykształcenia a jej spracowane ręce mówią o niej więcej niż paszport. Na pytanie jak żyje się w Polsce uśmiechnęła się i odpowiedziała: „W Polsce jest tak jak w Anglii i jak wszędzie. Jeżeli ktoś ma pieniądze to mu się dobrze powodzi — jeżeli ktoś nie ma pieniędzy to mu się źle powodzi”.

Nie ma na świecie ustroju, gdzie obowiązywałaby zasada: każdemu według jego potrzeb. Wszędzie obowiązuje zasada: każdemu według jego portfela.

Ustrój socjalistyczny nigdy nie wykaże swojej wyższości ogłaszając rejestry błędów kapitalizmu. Trzeba by jeszcze wykazać, że owe błędy w ustroju socjalistycznym zostały przezwyciężone. Uniknięcie błędów kapitalizmu w socjalizmie utrudnia fakt, że socjalizm w niczym nie może przypominać kapitalizmu, ponieważ stanowi jego antagonistyczną anty-tezę. Uprywatnienie rzemiosła czy wprowadzenie motywu zysku — choć z punktu widzenia praktycznej ekonomii stanowi prawidłowe rozwiązanie — nie jest socjalistyczne ponieważ nie jest anty-kapitalistyczne.

Istotą socjalizmu nie jest anty-kapitalizm. Istotą socjalizmu jest zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka. Uspołecznienie środków produkcji jest tylko rozwiązaniem częściowym. Głównym instrumentem wyzysku na całym świecie bez względu na ustrój jest pieniądz. Duszą kapitalizmu jest pieniądz i żaden ustrój oparty na systemie wymiany pieniądza nie może głosić, że jest antykapitalistyczny. Kolektywny kapitalista nie przestaje być kapitalistą i w wielu wypadkach posiada większe możliwości wyzysku niż kapitalista prywatny.

Pieniądz stanowi własność doprowadzoną do ekonomicznego ideału. Jeżeli ktoś ma dolary schowane w sienniku w Szczecinie czy w Londynie może za nie kupić co mu się podoba. Żadna inna forma własności nie budzi w człowieku również brudnych namiętności. Żadna inna forma własności nie jest tak pożądliwie zdobywana uczciwie czy nieuczciwie. Pieniądz to jest coś więcej, niż domy, samochody czy ziemia. Pieniądz to jest własność w skondensowanej formie — kapitał w chemicznie czystej postaci.

Marks napisał, że własność jest złodziejstwem. Mówiąc o środkach produkcji miał na myśli przede wszystkim kapitał — ponieważ kapitał jest wszędzie głównym środkiem produkcji.

Władze Polski Ludowej zachęcają ludzi do oszczędzania — do akumulowania kapitału na prywatnych rachunkach w PKO. W bloku państw komunistycznych wszystko jest do kupienia za pieniądze i niczego nie ma dla ludzi bez pieniędzy. Pieniądz jest narzędziem nacisku i wyzysku identycznie jak w ustroju kapitalistycznym. Można powiedzieć p. X, że dostanie podwyżkę pensji jeżeli zapisze się do partii — można mu zaproponować, że dostanie premię jeżeli podpisze sfałszowany bilans.

W „Pamiętce z Celulozy” Igora Neverly — jeden z bohaterów, który nie ma pieniędzy na paczkę papierosów — pociesza się, że kiedyś gdy komunizm zostanie w pełni urzeczywistniony będzie można wejść do sklepu i dostać wszystko czego człowiek potrzebuje — bez pieniędzy. Dziś po dziesięciach lat doświadczeń nie sądzę, by w całym bloku wschodnim można by znaleźć jednego komunistę który oddaje się tego typu marzeniom. Komunizm skazany jest na kapitał, czyli pieniądze i na zło z tym związane.

W ustroju komunistycznym zło, immanentnie związane z pieniądzem, zostało przekształcone w instytucję. Sprzeczność istniejąca pomiędzy pracą (najemną) a kapitałem w systemie demokratycznym nie została wprawdzie rozwiązana lecz nie została również zlikwidowana na warunkach kapitalisty.. Setki strajków dowodzą, że ową sprzeczność rozwiązuje się kompromisowo i ostatnie słowo w dyskusjach przemysłowych należy zawsze do robotników a nie do kapitalistów.

W ustroju komunistycznym *de facto* istnieje identyczna sprzeczność pomiędzy pracą a kapitałem z tą różnicą, że ową sprzeczność uznano za nielegalną. Można zalegalizować ustawodawczo pogląd, że rak jako choroba nie istnieje. To nie oznacza jednak, że ludzie przestaną umierać na raka.

W państwie komunistycznym kapitał nie pertraktuje z robotnikami — tylko dyktuje robotnikom swoje warunki pocieszając najemników śmieszną bajeczką, że właścicielem fabryk jest naród a tym samym i robotnicy. Kapitał państwowy, kolektywny czy prywatny stara się zawsze kupić maksimum pracy za minimum płacy. Robotnik ma zawsze tyle i tylko tyle ile zdoła wywalczyć. W systemie, który walkę robotnika czyni nielegalną — wyzysk musi kwitnąć choćby ludzie byli aniołami.

Wyobraźmy sobie idealną, wręcz utopijną spółdzielnię robotniczą. Nawet w takiej spółdzielni — zwłaszcza gdyby liczyła 30-50 tysięcy członków — zarząd najdemokratyczniej wybrany repre-

zentowały w pierwszej kolejności kapitał a dopiero w drugiej kolejności pracę. Zarząd mógłby się składać z najuczciwszych pod słońcem ludzi — lecz ci ludzie decydowaliby o inwestycjach, podziale zysków itp. Gdyby robotnikom w takim „raju na ziemi” nie przysługiwało prawo strajku — tylko normalna procedura demokratyczna tzn. wybory — robotnicy-spółdzielcy bardzo szybko przekonaliby się, że ich własna robotnicza biurokracja ubezpieczona pozycją i przywilejami trzyma ich w garści. Komunistyczny slogan, który głosi, że robotnicy nie mogą strajkować „przeciwko sobie” — jest nonsensem, ponieważ robotnicy nigdy nie strajkują przeciwko sobie tylko zawsze w własnej obronie. Dyktatorskie zakusy cechują zarówno kapitalistyczną jak i robotniczą biurokrację. Z tej przyczyny „robotnicza demokracja”, która nie uznaje prawa strajków nie ma nic wspólnego ani z demokracją, ani z robotnikami.

Powtarzam jeszcze raz. Sprzeczności pomiędzy kapitałem a pracą nie rozwiązał ani ustrój demokratyczny ani komunistyczny. Jednak w systemie demokratycznym owa sprzeczność jest uznana i inkorporowana w układ stosunków — natomiast w systemie komunistycznym sprzeczność o której mówimy jest wyjęta spod prawa.

Wyzysk jako zjawisko społeczne w ramach naszej cywilizacji związany jest z mitologią pracy. Od zarania dziejów istniał inny kodeks moralny dla ubogich a inny dla bogaczy. „Módl się i pracuj”, „Jaka praca tak płaca”, i wreszcie brutalne sowieckie „Kto nie pracuje ten nie je” — wszystkie owe slogany ilustrują odwieczną teorię zdobywania kawałka chleba w pocie czoła.

W moim przekonaniu pra-źródłem wyzysku jest związek pomiędzy pracą (najemną) a chlebem. Człowiek, który nie ma chleba tzn. środków utrzymania — nie pertraktuje nigdy z pozycji siły i tym samym aż się prosi żeby go wyzyskiwano.

Wydaje mi się, że nie zbudujemy nigdy ekonomii bezpiecznej i wskutek tego wzniosła zasada „każdy według swoich możliwości — każdemu według jego potrzeb” pozostanie nieosiągalnym mitem. Niewątpliwie jednak olbrzymim krokiem naprzód w likwidacji wyzysku byłoby zerwanie wiekowego związku pomiędzy pracą a chlebem.

Jeżeli ziszczą się nadzieje pokładane w nowoczesnej technologii — jeżeli zdołamy całość produkcji przemysłowej przerzucić na skomputeryzowane zespoły fabryk — wówczas nie tylko będzie można lecz będzie trzeba płacić uposażenie setkom a może milionom ludzi niezatrudnionych. Pewni socjologowie amerykańscy rozważając ów kompleks zagadnień — wysunęli projekt stałej pensji dla wszystkich obywateli. Innymi słowy każdy Amery-

kanin otrzymywałby co miesiąc stałą pensję bez względu na to czy byłby zatrudniony czy nie.

Oczywiście w po-technologicznym społeczeństwie problemem będzie nie praca tylko czas wolny od pracy. Niemniej zerwanie z zasadą, że kto nie pracuje ten nie je, zerwanie z filozofią, że człowiek ubogi w przeciwieństwie do bliźniego, który odziedziczył fortunę — musi pracować by jeść i się odziać — przyczyniłoby się do wyeliminowania wyzysku w stopniu do tej pory nieosiągalnym.

Pieniądz nie opuści nas nigdy i zawsze będą nierówności w stopie życiowej. Jednak w opisanej powyżej sytuacji pieniądz utraci swój ultymatywny charakter, ponieważ nikt nie będzie bez pieniędzy. Pieniądz przestanie być nagrodą za „trud w pocie czoła” — albowiem tylko mniejszość społeczeństwa związana będzie z procesem produkcji.

Oczywiście najwybitniejsi specjaliści nie mogą dziś dokładnie przewidzieć jak będzie wyglądał świat za sto lat. Wydaje mi się jednak, że zhumanizowanie społecznej funkcji pieniądza i wyeliminowanie wyzysku będą realną propozycją w po-technologicznych demokracjach Zachodu a nie w totalistycznym komunizmie.

Kultura nr 4/259, kwiecień 1969

„POWER GAME”

Młodzi są przeciwko wszystkim wojnom — słusznym czy niesłusznym. My starzy, choćbyśmy nie mieli odwagi do tego się przyznać patrzymy na wojnę inaczej. Lecz bez względu na to czyj punkt widzenia jest słuszny — nie można negować faktu, że potencjały atomowe rujnują demokrację. Powstaje fenomen, który należałoby określić „atomowym absolutyzmem”. Kilku ludzi na Kremlu i kilku ludzi w Waszyngtonie posiada władzę jakiej nigdy nie miał żaden car ani żaden monarcha absolutny. Zbyt mało ludzi dzierży zbyt wielką władzę — co stanowi odwrót od ideału demokracji.

Ponieważ pokój lub zagłada zależą od minimum odprężenia pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą — wydaje się, że za to odprężenie należy zapłacić każdą cenę. W ten sposób w stosunki międzynarodowe wbudowany został mechanizm stałego szantażu.

Można argumentować, że los Czechosłowacji Amerykanów nie obchodzi. Nikt mnie jednak nie przekona, że wyrównanie stosunków z Chinami nie leży w bezpośrednim interesie Ameryki. Nie Chińczycy są przeciwnikami normalizacji stosunków z Ameryką. Tej normalizacji nie życzy sobie Waszyngton. Czy tylko Waszyngton? Tej normalizacji nie życzy sobie Moskwa i to jest punkt decydujący. Jeżeli ktoś szuka zbliżenia z Sowietami musi być antychiński.

Dawniej obowiązywała zasada, że „sojusznicy naszego sojusznika — są i naszymi sojusznikami”. Dziś przyjęliśmy zasadę, że „wrogowie naszego głównego wroga są i naszymi wrogami”.

Amerykanie bojkotują Chiny w przekonaniu, że komunizm chiński stanowi większe zagrożenie dla ludzkości niż pragmatyczny komunizm sowiecki. Rosja nie życzy sobie zbliżenia amerykańsko-chińskiego ponieważ Moskwa uważa Chiny za swoją

strefę wpływów. Na Kremlu wnioskuje, że po zniknięciu ze sceny Mao w Pekinie dojdą pewnego dnia do głosu realisci, którzy podejmą rozmowy z Moskwą.

Błąd polityki amerykańskiej w stosunku do Chin polega na tym, że Chiny można uznać za potencjalnego sojusznika Stanów Zjednoczonych. W razie wojny rosyjsko-chińskiej najprymitywniej pojęta zasada *balance of power* wymagałaby by Waszyngton poparł Chiny. Gdyby Ameryka zmieniła swój kurs w stosunku do Pekinu, można sobie wyobrazić że za dziesięć czy piętnaście lat Chiny traktowałyby Stany Zjednoczone za przyjazne mocarstwo.

O ile Chiny mogłyby kiedyś przekształcić się w zaprzyjaźnione z Ameryką mocarstwo — o tyle Związek Sowiecki dopóki będzie istniał, będzie zawsze rywalizował ze Stanami Zjednoczonymi. Jeżeli dziś Rosja daje do zrozumienia Waszyngtonowi, że ceną za odprężenie jest postawa antychińska — to w gruncie rzeczy Sowiety zapraszają Amerykanów, by kręcili bicz na samych siebie.

Im polityka amerykańska w odniesieniu do Chin jest bardziej nieprzejednana — tym frakcja pro-sowiecka w Chinach zyskuje twardszy grunt pod nogami. Można powiedzieć bez wielkiej przesady, że Amerykanie swą „pro-rosyjską orientacją” pchają Chiny w objęcia Moskwy. Chiny, pojednane i znormalizowane, potrzebne są Sowietom nie w tym celu by utrwalić przyjaźń sowiecko-amerykańską — lecz przeciwnie, potrzebne są jako sojusznik Rosji w rywalizacyjnej walce ze Stanami Zjednoczonymi.

Chiny w obrębie dekady będą musiały wydobyć się z izolacji, bo inaczej nie wyżywią nadmiaru swej ludności. Będą musiały szukać pomocy technologicznej i finansowej, by zmodernizować i rozbudować przemysł. Jeżeli obecna polityka amerykańska nie ulegnie zmianie — Pekin nie będzie miał po prostu innego wyboru tylko szukać wyrównania stosunków ze Związkiem Sowieckim.

Chiny są trzecim potencjalnym super-mocarstwem i przyszłowiowym języczkiem u wagi w grze sowiecko-amerykańskiej. Wyrównanie stosunków z Chinami, a w dalszej kolejności, pełna odnowa tradycyjnej przyjaźni amerykańsko-chińskiej — ułatwiłyby Stanom Zjednoczonym zdobycie trwałej przewagi nad Sowietami.

Młodzi powiedzą w tym miejscu, że jestem wyznawcą staroświeckiej, reakcyjnej *power politics*. Można uważać szachy za grę staroświecką lecz wygrać partię szachów można tylko wówczas jeżeli zna się dokładnie reguły gry. Osobiście nie jestem wyznawcą *power politics* — lecz konflikt, który toczy się w ramach *power politics* może być rozstrzygnięty tylko metodami

power politics. Nie można wygrać partii szachów stosując reguły obowiązujące w warcabach.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Związek Sowiecki prowadzi *power policy* i nie wystarczy „uzbrojoną pięść NATO przemienić w otwartą dłoń gotową do przyjacielskiego uścisku” — by sytuacja uległa zmianie. Zgadzam się z młodymi, że trzeba potępić i wytepić wszelki imperializm, ponieważ imperializm plus bronie nuklearne prowadzić musi do totalnej katastrofy.

Wydaje mi się jednak, że nie wystarczy protestować, gdy Brytyjczycy wysłali kilkunastu policjantów na jedną z wysepek karaibskich. Zwłaszcza że w tym samym czasie Rosjanie dorzynali Czechosłowację ustanawiając przykład *power policy* nieznany w dziejach imperializmu zachodnioeuropejskiego.

Rosję trzeba odwieść i oduczyć od stosowania *power policy* tzn. polityki przemocy i terroru. Wylączając przewrót czy rewolucję, wydaje mi się, że Rosja nie porzuci *power policy* dopóki będzie zwycięska. Związek Sowiecki musi ową *power game* — przegrać. Przegrana nie musi nastąpić na polu bitwy. Jeżeli Zachód zdoła z czasem zjednać sobie Chiny, jeżeli zdoła politycznie i militarnie uaktywnić Japonię, która już dziś jest kandydatem na super-mocarstwo — jeżeli zdołamy przekonać młodych w orbicie Zachodu, że siła militarna i technologiczna nie jest niczym złym *per se* i może służyć nie tylko do tłumienia lecz i do obrony wolności — jeżeli jednym słowem zdołamy dowieść Rosji, że bez wojny nie ustąpimy nigdzie jednego cala a w razie wojny zrównamy Rosję z ziemią — wówczas, lecz dopiero wówczas nadejdzie moment wyciągnięcia ręki do zgody.

Musimy Rosji udowodnić, że wielką partię przegrała. Jest tylko jedna metoda, która prowadzi do tego celu. Ową wielką partię musi wygrać Zachód.

Młodzi ludzie w listach pisanych do mnie zarzucają mi, że podobnie jak „niezłomni” na emigracji — konflikt współczesny rozpatruję w terminach zwycięstwa i przegranej.

Zasady gry w tym konflikcie narzuca Rosja. Osobiście nie podzielam opinii tych sowietologów, którzy sądzą, że stosując elastyczną, pojednawczą politykę Zachód umacnia pozycję „gołębi” w sowieckim Politbiurze.

To jest strategia całkowicie fałszywa. W rzeczywistości „gołębiom” w sowieckim kierownictwie politycznym pomagają ci politycy na Zachodzie, którzy są zwolennikami twardej linii i nieustępliwego oporu. Ci politycy bowiem dostarczają „gołębiom” argumentu, że *power policy* poza ryzykiem wojny nie przynosi konkretnych rezultatów. Ponieważ zwolenników twardej linii na Zachodzie jest bardzo mało — „jastrzębie” na Kremlu są

górá. „Jastrzębie” argumentują nie bez racji, że Zachód cofnie się raczej niż zaryzykuje zbrojny opór i wskutek tego *power policy* nie jest dziś konfrontacją siły z siłą tylko ratalnym inkasowaniem słabości przeciwnika.

Naszym odległym celem jest zdemokratyzowanie — względnie, jak to w *Kulturze* określamy, zeuropeizowanie Rosji. W tym przedmiocie istnieją dwie szkoły myślenia. Victor Zorza, który otrzymał nagrodę „Dziennikarza Roku” (rzadkie i zaszczytne wyróżnienie) — wyraził pogląd, że za 15 lat jego stanowisko stanie się zbędne. Rosja będzie do tego stopnia zdemokratyzowana, że sowietolodzy nie będą potrzebni. Zorza jest ewolucjonistą i wierzy, że poszerzenie marginesu wolności w Sowietach i liberalizacja ustroju będą konsekwencją rozbudowy technologiczno-przemysłowej i wzrostu dobrobytu.

Osobiście jestem również ewolucjonistą, lecz z pewną odmianą. Nie wierzę, że Rosja przestanie być państwem imperialistycznym na skutek ewolucyjnych przemian wewnętrznych a rozbudowa techniki i przemysłu niekoniecznie wpływa na demokratyzację. Wierzę natomiast, że złamanie imperializmu sowieckiego jest nieodzownym warunkiem jakichkolwiek przemian wewnętrznych w Rosji. Na to by „gołębie” mogły zdobyć władzę i podjąć dzieło wewnętrznych reform, „jastrzębie” muszą być doprowadzone do bankructwa. Politycy na Zachodzie, którzy karmią „jastrzębie”, którzy gotowi są do przyjaznych rozmów ponad dogorywającą Czechosłowacją — ci karmiciele „jastrzębi” odsuwają proces przemian w Sowietach w nieskończoność.

„Jastrzębie” karmią się sukcesem, który zdobywają siłą, szantażem, zagrożeniem. Początkowe bezkrawe sukcesy Hitlera przekonały koła umiarkowane w Niemczech a przede wszystkim zawodowych wojskowych — że *power policy* w wydaniu hitlerowskich „jastrzębi” przynosi zdumiewające sukcesy.

Polityka twardej linii, strategia oporu — a gdzie trzeba manifestacja siły — to wszystko pociąga za sobą pewne ryzyko. Lecz nie ma polityki bez ryzyka. Daleko większym ryzykiem jest tuczenie „jastrzębi” łatwymi sukcesami. W tej *power game* każdy sukces sowiecki jest z definicji przegraną Zachodu.

Ktoś powie, że powyższe wywody dyktuje typowa polska nienawiść i. emigracyjny „kompleks rosyjski”. Młodzi powinni zrozumieć, że nuklearne super-mocarstwa nie mają *de facto* polityki wewnętrznej. Wszystko co dzieje się w Stanach Zjednoczonych i w Związku sowieckim jest dosłownie sprawą ludzkości. Jest rzeczą absurdalną by dwa rządy dzierżyły losy świata w swych rękach. Bronie nuklearne muszą być poddane ścisłej międzynarodowej kontroli. Dopóki na Kremlu rządzą „jastrzębie”, pers-

pektywy rozwoju po tych liniach są równe zeru. W grę wchodzi coś więcej niż inwazja Niemiec czy inwazja całej Europy. W grę wchodzi katastrofa bez precedensu, której nie znamy.

Wojny nuklearnej nie można dziś wyłączyć. Wielu ludzi sądzi, że wcześniej czy później do niej dojdzie. Osobiście uważam, że jeżeli cywilizacja ma trwać, jeżeli mamy kiedyś wydobyć się z obecnego chaosu — wojna nuklearna musi być skreślona z rejestru rzeczy możliwych, tak jak na obszarze naszej cywilizacji dżuma została skreślona z rejestru rzeczy możliwych. Dlatego problem demokratyzacji Rosji jest zagadnieniem centralnym naszych czasów. Przywrócenie demokracji w Grecji czy liberalizacja ustroju w Hiszpanii to są rzeczy pożądane lecz dotyczące tylko Greków i Hiszpanów. Natomiast od zdemokratyzowania Rosji zależeć będzie niezmiernie wiele — być może wszystko.

Protesty antybombowe nie prowadzą do niczego. Groźne są nie bomby lecz ludzie. Groźni są imperialiści, którzy nie wahali się nigdy detonować bomb, by osiągnąć swoje cele.



Barometrem kryzysu jest zawsze ekonomia. W Zachodniej Europie ekonomia uległa dziwnej metamorfozie. Z nauki gospodarczej przekształca się na naszych oczach w dyscyplinę moralną. Kanclerze i ministrowie skarbu przejmują rolę, którą przez stulecia spełniał kościół i kler.

Dobrobyt i zamożność przestały być rezultatem sprawnej i wydajnej gospodarki. Dziś są to nagrody za dobre sprawowanie i cnotliwe życie. Ministrowie skarbu większość swych przemówień utrzymują w kaznodziejskim, moralizatorskim tonie. Zainteresowani są w coraz większym stopniu moralnością i w coraz mniejszym stopniu gospodarką.

Ekonomia w uderzającej mierze przypomina teologię. Raj dobrobytu ku któremu zmierzamy — to zawsze „jutro” — nigdy „dzisiaj”. Na to by osiągnąć ów raj musimy oszczędzać, przyciągać pasa, nie kupować luksusowych towarów, konsumować mniej, eksportować więcej, nie uprawiać hazardu, nie popadać w alkoholizm, stać z dala od narkotyków — jednym słowem musimy prowadzić cnotliwe życie.

Wierzę, że cnota jest jedyną pewną drogą, która wiedzie do rajy pozagrobowego. Czy cnota wiedzie do rajy ekonomicznego na ziemi — wątpię. Jestem agnostykiem w stosunku do współczesnej teologii ekonomicznej.

Jeden z ekonomistów brytyjskich w dyskusji, której się przysłuchiwałem — wyraził pogląd, że stopa życiowa w Ameryce

jest trzykrotnie wyższa niż w Wielkiej Brytanii. Wydaje mi się, że to jest sąd nieco przesadny — przyjmijmy więc dla pewności, że stopa życiowa w Stanach Zjednoczonych jest tylko dwukrotnie wyższa niż na tych wyspach.

Czy to oznacza, że Amerykanie dwukrotnie ciężiej pracują niż Brytyjczycy, dwukrotnie mocniej dociskają pasa, dwukrotnie mniej konsumują alkoholu i dwukrotnie mniej oddają się grom hazardowym?

Nonsens. Sądzę, że przeciętny Amerykanin nie jest ani bardziej ani mniej cnotliwy od przeciętnego Brytyjczyka. Podobnie jak jego kuzyn brytyjski, Amerykanin lubi dobrze zjeść i wypić, lubi ładnie mieszkać i co roku zafundować sobie nowy samochód. Amerykańska *prosperity* nie jest więc rezultatem heroicznych cnót moralnych.

Oszczędności od nikogo nie można się domagać. W państwie demokratycznym każdy ma prawo nie oszczędzać a nawet wydawać więcej niż zarabia, pod warunkiem, że swoje długi spłaca terminowo.

Oszczędność nie prowadzi do zamożności. Przeciwnie zamożność prowadzi do oszczędności. Człowiek ubogi kupuje bowiem wszystko najdrożej i na najmniej korzystnych warunkach. Człowiek zamożny nie kupuje niczego na raty, ma możliwość wykorzystania różnic cen sezonowych, nie płaci wysokiego czynszu, ponieważ mieszka we własnym domu itd., itp.

Moją opinię, opartą na wieloletnim doświadczeniu można streścić następująco: im się jest biedniejszym tym *de facto* żyje się drożej. Człowiek biedny, tzn. bez kapitału, nie może kupić zimowego płaszcza sobie czy żonie na letnich wyprzedażach, nie może zrobić zapasu danego gatunku mięsa wówczas kiedy jest tanie, bo nie ma kosztownej lodówki w której można przechowywać artykuły żywnościowe przez trzy miesiące — jednym słowem człowiek biedny nie kalkuluje, bo nie może kalkulować, tylko kupuje wówczas kiedy ma nóż na gardle. Za pożyczone pieniądze kupuje płaszcz zimowy gdy jest dziesięć stopni mrozu. Oczywiście kupuje płaszcz po najdroższej cenie. Lecz człowiek biedny liczy zawsze, że zima będzie łagodna, bo na co innego ma liczyć?

Brytyjczycy są narodem niezmiernie oszczędnym i nie oszczędzają tylko ci z nich, którzy dosłownie nie mają z czego oszczędzać.

Od czasu do czasu ktoś puka do moich drzwi i mówi, że jest z gazowni czy z elektrowni. Zdarza się, że w tej właśnie chwili wychodzę z psem na spacer. Zostawiam obcego człowieka w pustym domu, wierząc mu na słowo, że jest z gazowni i proszę

go tylko, by po zakończeniu swych czynności wychodząc zatrzasnął za sobą drzwi. Postępowanie tego rodzaju w każdym innym kraju byłoby lekkomyślnością. W Anglii wszyscy tak robią. Brytyjczycy są niewątpliwie jednym z najbardziej uczciwych społeczeństw pod słońcem.

Gdyby dobrobyt i bogactwo były bezpośrednim rezultatem cnót społeczno-gospodarczych — Wielka Brytania powinna być jednym z najbogatszych krajów na naszym globie. Niestety tak nie jest. Z tego wypływa logiczny wniosek, że moralizatorskie podejście do ekonomii nie trafia w sedno.

W tym miejscu pada słowo: strajk. Jeżeli dana fabryka pracuje normalnie to nie jest *news*. Jeżeli strajkuje dwa tysiące robotników to jest *news*. W rezultacie strajki są przez prasę dramatyzowane. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Reklamowana na jesieni ubiegłego roku tzw. grypa azjatycka okazała się w Wielkiej Brytanii na szczęście niewypałem. Lecz poważniejsza wielotygodniowa epidemia grypy — której nigdy nie można wyłączyć — spowodowałaby dla ekonomii znacznie większe straty niż wszystkie strajki w obrębie roku. Czy z tego należy wnioskować, że będziemy kwitnąć gospodarczo tylko wówczas gdy nie będzie epidemii grypy?

Strajki oczywiście powodują wielkie straty. Nie oznacza to jednak, że gdyby strajków nie było Wielka Brytania pozbyłaby się wszystkich swoich kłopotów gospodarczych.

Kryzys w Wielkiej Brytanii nie jest zjawiskiem izolowanym. Podobne kryzysy obserwujemy we Francji, we Włoszech a obecnie — o zgrozo! w Szwecji. Przez wiele lat Szwecja uchodziła za wzór i niedościgniony model zbiorowych umów negocjacyjnych pomiędzy kapitałem a pracą. Obecny kryzys w stosunkach przemysłowych w Szwecji jest nie mniejszy niż w Anglii i minister Barbara Castle nie miała powodu pielgrzymować do Sztokholmu.

W mojej opinii ekonomiści zachodnioeuropejscy zrobiliby dobrze gdyby mniej moralizowali a natomiast podjęli gruntowne studia socjologiczne. Wydaje mi się, że kryzysy o których mówimy — są w większym stopniu kryzysami społecznymi niż czysto gospodarczymi. Dlatego owe kryzysy są nie do rozwiązania w płaszczyźnie biurokratycznej.

Ekonomiści powtarzają uporczywie, że wzrost płac robotników musi się mieścić w ramach przyrostu dochodu narodowego. Jeżeli dochód narodowy wzrasta o 3 % rocznie płace robotnicze nie mogą wzrastać o 6 % rocznie.

To jest logiczna teza z punktu widzenia czystej ekonomii. Ta sama teza przetłumaczona na język socjologiczny brzmi nieco inaczej. Tłumaczy się robotnikom, że muszą zadawałać się pod-

wyżkami w racjonalnej proporcji do produkcji — mimo postępującej drożyzny — ponieważ w przeciwnym wypadku gospodarce grozi katastrofa. Mówiąc inaczej, żąda się całkowitej solidarności robotników z aparatem gospodarczym. Z czym aparatem?

Robotnicy są dzisiaj niepomnień bardziej oświeceni niż dwadzieścia lat temu. We Włoszech czytają roczne sprawozdania takich bogatych koncernów jak Fiat, Pirelli, Olivetti czy subsydiowanego przez państwo giganta ENI. Bilanse mówią o fenomenalnym sukcesie i olbrzymich zyskach. Równocześnie tysiące robotników włoskich co roku emigruje za kawałkiem chleba do Szwajcarii, Francji i Niemiec. Kto ma prawo domagać się od tych robotników solidarności z włoskim aparatem gospodarczym? Powtarzam: kto?

To jest jedna z przyczyn dla których ekonomiści winni zejść z moralizatorskiej kazalnicy ponieważ moralność nie zawsze jest po ich stronie.

Ekonomiści mają na wszystko gotową odpowiedź. Przejście kraju rolniczego w fazę szybkiego uprzemysłowienia pociąga za sobą dysproporcje i nierówności. To są nieuchronne „bóle porodowe” procesu, któremu na imię włoski cud gospodarczy. Nie sądzę by robotnicy włoscy byli zachwyceni powyższą teorią.

Osobiście nie dopatrzę się dramatu w strajkach, w niepokoju, w fermencie — jaki obserwujemy w klasie robotniczej większości państw zachodnioeuropejskich. Przyczyny dramatu tkwią gdzie indziej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że pod naciskiem trudności gospodarczych — w znacznej mierze wywołanych sytuacją międzynarodową — wielu przekonanych socjalistów utraciło wiarę w socjalizm. Owym przywódcom, którzy są ludźmi najlepszej woli — wydaje się, że opanować kryzys gospodarczy można tylko za cenę pewnych odstępstw od teorii i praktyki socjalistycznej.

Socjalizm demokratyczny — w przeciwieństwie do komunizmu — nie opiera się na dogmatyce i podlega prawom rozwoju i przystosowania. Oznacza to jednak, że w prawidłowo funkcjonującym ustroju socjalistycznym — socjalizmu winno stale przybywać a nie ubywać.

Robotnicy krajów wysoko uprzemysłowionych, jak Francja czy Anglia, są niezmiernie uczuleni na wszelkie próby odgórnego regulowania, kwalifikowania czy wręcz ograniczenia prawa strajku. Rezultatem tego typu reform byłoby nie zmniejszenie liczby strajków — tylko wydatne zwiększenie liczby strajków nieoficjalnych.

Robotnicy będą solidarni z kapitałem — a tym samym z całą siłą aparatu gospodarczego — jeżeli w owym kapitale będą

uczestniczyli. Jeżeli robotnikom nie można płacić tak wysokich stawek jakich żądają — trzeba im zapłacić czymś innym. Trzeba zwiększyć ich bezpośredni współudział w zarządzie przedsiębiorstw — trzeba uczynić ich współakcjonariuszami zakładów przemysłowych — trzeba jednym słowem zlikwidować choćby częściowo ów podział na „my” i „oni”. W ustroju socjalistycznym wszyscy muszą być „my”.

Klucz do sytuacji leży w socjologii a nie w ekonomii. Tylko bowiem poprzez reformy socjalne można będzie zreformować gospodarkę i przezwyciężyć kryzys.

Kultura nr 6/261, czerwiec 1969

CENA CUDU

Jaką cenę zapłacili Niemcy za swój „cud gospodarczy”? Anthony Harris w swej pracy pt. „Reverse the Miracle” twierdzi, że ową ceną był wzrost w nierówności społecznej. Cyfry statystyczne w pełni popierają tezę Harrisa. W roku 1950 prywatni kapitaliści i ich firmy byli właścicielami 53,5 % ogólnego majątku Niemieckiej Republiki Federalnej. W roku 1967 udział kapitalistów w majątku NRF wyrażał się już cyfrą 72,5 %. Przedsiębiorcy, którzy w roku 1950 dzierżyli w swym ręku połowę majątku NRF — w siedemnaście lat później dzierżyli już trzy czwarte owego majątku. W omawianym okresie dochód przedsiębiorców wzrósł pięciokrotnie.

Na pracowników najemnych przypadło w roku 1950 — 40,5 % majątku NRF. Stan posiadania tej grupy społecznej skurczył się w roku 1967 do 23,9 %.

Dochód na głowę mieszkańca w roku 1950 w klasie przedsiębiorców wynosił DM 3.030 — w klasie zatrudnionych DM 2.554. W roku 1967 dochód per capita przedsiębiorców wzrósł do DM 15.106 — natomiast dochód zatrudnionych wzrósł tylko do DM 8.388.

Niemiecki „cud gospodarczy” oznacza więc rozrost majątków i dochodów przedsiębiorców kosztem wszystkich innych warstw społecznych a w szczególności robotników. W sumie należy stwierdzić, że niemiecki „cud gospodarczy” stanowi w pewnej mierze odwrotność ideału równości i sprawiedliwości społecznej.

Niemcy zachodnie wydają bardzo mało na służby społeczne a w szczególności na oświatę. Na program kształcenia, kultury i oświaty Niemcy zachodnie poświęcają 3,5 % całkowitego dochodu narodowego (*Gross National Product*). Wszystkie państwa „Wspólnego Rynku” wydają znacznie więcej na powyższe cele

— nie wyłączając Włoch, które są niepomierzenie uboższe od Niemiec. Wielka Brytania wydaje prawie dwukrotnie więcej na kształcenie swej młodzieży niż Niemcy. Wielu ekonomistów niemieckich wyraziło pogląd, że o ile NRF nie zwiększy inwestycji w program kształcenia młodzieży — niedobory w tej dziedzinie — zagrożą za kilkanaście lat „cudowi gospodarczemu”. Należy jeszcze dodać — że synowie i córki robotników stanowią tylko 5 % ogółu uniwersyteckiej młodzieży w NRF.

Niemcy nie rozumieją, że podział dochodu narodowego jest równie istotny jak produkcja dochodu narodowego. Nowoczesne państwo demokratyczne nie może być super-przedsiębiorstwem obliczonym wyłącznie na zysk. Państwo, które premiuje przedsiębiorców kosztem robotników, które nie rozbudowuje w dostatecznej mierze służb społecznych, które skąpi na oświatę i szkolnictwo — zmierza łącznie ze swym „cudem gospodarczym” ku głębokiemu kryzysowi.

Jaskrawa nierówność i niesprawiedliwość w podziale dochodu narodowego — stanowiła w przeszłości i stanowi dzisiaj klasyczne źródło fermentu socjalnego. Przyzwyczailiśmy się uważać, że wyzysk oznacza płacę z której trudno jest przyzwoicie się utrzymać. Tradycyjnie wyzysk kojarzymy z nędzą. To są przesłanki często mylące. W rzeczywistości ofiarą wyzysku może być robotnik, który posiada dom i samochód. Wszędzie tam gdzie dochód i majątek przedsiębiorców rośnie dysproporcjonalnie szybciej niż dochód robotników — istnieje wyzysk.

Reżymowi Ulbrichta Niemcy zachodnie winny przeciwstawić ustrój realizujący program sprawiedliwości społecznej a nie państwo wiktoriańskiego kapitalizmu. Ufajmy, że nowy rząd Federalnej Republiki z socjaldemokratą na czele — zdaje sobie sprawę z zasięgu tych zagadnień.

Kultura nr 12/267, grudzień 1969

Młody Niemiec wychowany i wykształcony w NRD z narażeniem życia ucieka do Zachodniego Berlina i w tym punkcie rozpoczyna się dramat. Na Zachodzie razi go materializm, egoizm wyłącznie na zysk obliczonego *bussiness'u*, obojętność w stosunku do biednych i tandetność burżuazyjnej kultury. Powyższy problem stanowi temat wielu powieści i sztuk dramatycznych oraz pole do spekulacji politycznych socjologów.

Przed kilku laty wysunąłem tezę, że gdy w NRD skończy się era Ulbrichta — może się okazać, że wschodni Niemcy mają więcej do powiedzenia Niemcom zachodnim niż odwrotnie.

W Niemczech wschodnich podkreśla się ustawicznie w prasie i w książkach, że „Federalna Republika jest wprawdzie bogata lecz w znacznej mierze dzięki pomocy amerykańskiej”. Niemcom zachodnim — według tej interpretacji wszystko przyszło zbyt łatwo i w konsekwencji w Federalnej Republice obserwujemy upadek „tradycyjnych cnót niemieckich”. Natomiast w Niemczech wschodnich, które znikąd nie otrzymały żadnej pomocy — sukces gospodarczy łączy się harmonijnie ze spartańską socjalistyczną kulturą.

Sukces gospodarczy NRD jest bezspornym faktem. Niemcy wschodnie biorąc za miernik GNP w przeliczeniu (w dolarach) na głowę mieszkańca — znajdują się w czołówce najbogatszych narodów świata. Stany Zjednoczone — 1-sze miejsce, Szwecja — drugie, Kanada — trzecie, Niemcy Zachodnie — czwarte, Niemcy Wschodnie — piąte.

Powyższe dane dają wiele do myślenia Polakowi. Okazuje się, że można być gospodarnym i produktywnym *nawet* w systemie komunistycznym. Wydaje mi się również, że nie ma takiego systemu ustrojowego, który Gomułkę i jego ekipę przemieniłby w

twórców „cudu gospodarczego”. Ci panowie byliby partaczami w każdym ustroju.

Lecz wróćmy do Niemiec wschodnich. Co należy rozumieć przez ową „spartańską, socjalistyczną kulturę”? Oddajmy głos Spenglerowi:

„Mam na myśli pruską doktrynę Fryderyka Wilhelma I-go, doktrynę która powstała na wiele lat przed Marksem i która wydziedziczy w końcu jego teorię — doktrynę socjalizmu wewnętrznie zbliżoną do systemu antycznego Egiptu, która propaguje rozwój gospodarczy, wpaja jednostce poczucie obowiązku w stosunku do społeczeństwa i państwa i która gloryfikuje ciężką, wydajną pracę jako jedyną afirmację teraźniejszości i przyszłości”.

(Cytat wyjęty z książki Bruce Mazlish „The Riddle of History”, Harper & Row, New York).

Niezależnie od odpowiedzi na pytanie czy socjalizm pruski wydziedziczy kiedyś marksizm — przyjąć można za pewnik, że nacjonalistyczny niemiecki komunizm jest bliższy duchowi prusactwa niż zachodnioniemieckie *affluent society*. W przeszłości zjednoczycielem Niemiec były Prusy. Czy i w przyszłości powyższa rola przypadnie Prusom, tym razem „socjalistycznym”?

Gdy odejdzie Ulbricht — gdy reżym wschodnioniemiecki stanie się mniej agenturalny — wówczas może się okazać, że jeżeli przez niemczyzną rozumieć tradycję pruską — nikt nie jest bardziej niemiecki niż NRD. Dla Polaków prusactwo oznacza zespół cech charakterologicznych, które z Niemców czynią złych sąsiadów. Pouczająca jest geograficzna ewolucja Prus, które rosły jak na drożdżach. Na początku było tylko elektorstwo brandenburskie. W roku 1618 król polski Zygmunt III zgodził się nierozważnie na przyłączenie do Marchii Brandenburskiej Prus Książęcych. W roku 1701 elektor brandenburski Fryderyk Hohenzollern przybrał tytuł króla Prus rozciągając nazwę Prus na wszystkie swoje posiadłości. Tak to się zaczęło. Fryderyk II zagarnął Austrii Śląsk oraz oderwał od Polski Prusy Królewskie i okręg notecki. A później nastąpiło przyłączenie Hanoweru — wreszcie w roku 1871, król pruski jako Wilhelm I zostaje cesarzem Niemiec.

Tak wygląda idea pruska widziana z zewnątrz. Podbój, imperializm, ucisk i rojenia o hegemonii.

Idea pruska widziana przez Niemców jest nie tylko imperializmem lecz również symbolem tradycji i niemieckich cnót narodowych. Prusactwo reprezentuje pracowitość, czystość, obowiązkowość, dyscyplinę, a przede wszystkim podporządkowanie jednostki interesom narodu i państwa. Prusactwo w aspekcie spo-

łeczno-politycznym było zawsze ideą autorytatywną. Opierało się na elicie, której dostarczało junkierstwo pruskie.

W roku 1945 na obszarach Prus przeprowadzono reformę rolną bez odszkodowania. Spod pruskiego junkierstwa, w dosłownym tego słowa znaczeniu — usunęła się ziemia. Czy można mówić o renesansie prusactwa bez Prus i bez Junkrów, którzy dostarczali kierowniczej elity wojsku i służbie cywilnej?

Junkrów nie ma, pozostała jednak pruska tradycja, która stanowi pewną określoną koncepcję niemieczyny. Z naszego, polskiego doświadczenia wiemy, że do lamusa tradycji sięga się wówczas, gdy za sobą ma się klęskę a przed sobą bezprogramową pustkę. Bez tradycji obchodzą się ci, którzy mają dynamiczną ideę — program. Wietkong nie potrzebuje tradycji.

Likwidacja Prus, wywłaszczenie Junkrów, rozwiązanie sztabu generalnego, zmiana umundurowania i stylu armii — to wszystko nie gwarantuje wykorzenienia tradycji pruskiej. Prusactwo mógłby pogrzebać tylko pełny sukces demokracji zachodnioniemieckiej. W ustroju demokratycznym można być patriotą lecz nie nacjonalistą. Innymi słowy demokracja w Federalnej Republice musiałaby być nie tylko zachodnia lecz i rdzennie niemiecka — tak jak demokracja w Anglii jest nie tylko zachodnia lecz i rdzennie brytyjska.

Niemcy optowali za Zachodem i za zachodnią formą ustroju. Lecz w jakiej mierze ów ustrój jest niemiecki? Czy Niemcy gotowi są zrezygnować z nacjonalizmu na rzecz demokracji? Czy potrafią być prawdziwymi Niemcami nie będąc nacjonalistami? Problem jest trudny ponieważ tradycja niemiecka w 80 % jest nacjonalistyczna i autorytatywna. Można wyrzec się Hitlera lecz jacy Niemiec wyrzeczcie się Bismarcka?

W niemieckiej Republice Federalnej musi się wykrystalizować nowe poczucie narodowe zgodne z wolnościowym ideałem demokracji. Od siły i autentyczności tej metamorfozy zależeć będzie wynik konfrontacji z niemiecką Republiką Demokratyczną.

Autorytatywny nacjonal-komunizm — ku któremu ewoluuje NRD — jest daleko bliższy tradycji pruskiej niż demokracja typu zachodniego reprezentowana przez NRF. Osobiście nie wierzę w odrodzenie neo-hitleryzmu w Niemczech. Jeżeli w Niemczech miałby kiedyś odżyć nacjonalizm i idea autorytatywna — mielibyśmy, zgodnie z przepowiednią Spenglera Prusy czerwone a nie białe.

WARTOŚCI WYŻSZEGO RZĘDU W POLITYCE

Pragmatykami w cudysłowach według Lippmanna są: Erhard, Johnson i prem. Wilson. Owym trzem przyziemnym politykom nestor publicystów amerykańskich przeciwstawia mężów stanu, których nikt nie pomawiał o pragmatyzm: Churchilla, Adenauera i de Gaulle.

Trzej wymienieni mężowie stanu reprezentowali nie-materialną wielkość i dlatego byli natchnieniem dla swoich narodów. Owego natchnienia, czy wizji wyższego rzędu nie są w stanie dostarczyć swym narodom ani Johnson, ani Erhard, ani prem. Wilson.

W moim przekonaniu gen. de Gaulle umiał połączyć romantyzm z chłodnym pragmatyzmem. Gdyby nie był pragmatykiem nie byłby tym, kim jest. Churchill, któremu nikt nie odmawia wielkości, również łączył w sobie romantyzm z pragmatyzmem. Churchill był uformowany w „legendarnej” epoce imperializmu brytyjskiego i brał czynny udział w wypadkach opisanych w „W Pustyni i w Puszczy” (bitwa pod Omdurmanem).

Adenauer był znakomitym zarządcą „niemieckiej masy upadłościowej” i głównym architektem Federalnej Republiki. Odrobił klęskę — co jest niezmiernie wiele — nie miał jednak wizji przyszłości.

Lecz niewątpliwie Lippmann, może nie w pełni świadomie — poruszył niejako ubocznie temat niezmierniej wagi, znacznie ważniejszy niż chęć poniżenia Johnsona, co było głównym jego celem w omawianym artykule. Mam na myśli ową niematerialną wielkość i wizję — do której ma prawo każdy naród a nie tylko Amerykanie i Rosjanie.

Bertrand Russell w jednym z dawnych szkiców opisał swój dłuższy pobyt w rezerwacie amerykańskich Indian. Rezerwy są w pewnej mierze autonomiczne — szeryfami są Indianie i mogło-

by się wydawać, że czerwonoskórym powodzi się jak u Pana Boga za piecem. Mogą bowiem pielęgnować swe dawne tradycje i styl życia a równocześnie mają tuż pod ręką wszystkie zdobycze cywilizacji od aparatu radiowego po samochód.

80-letni Indianin rozważając z Russellem sytuację Indian wypowiedział następujący pogląd: „Nie jest nam źle lecz... *there is no glory in it*” (nie ma w tym chwały).

Słowo *glory* oznacza chwałę, sławę, wielkość — to co Lippmann określa terminem *immaterial plus*. Innymi słowy jest to owa „niematerialna wartość dodatkowa” bez której każda polityka wydaje się przyziemna, filisterska i niezadawalająca.

Polacy wybaczyliby Gomułce wiele, nawet bardzo wiele — gdyby w jego polityce był choć cień *glory*. W tym wypadku nie chodzi o romantyzm jako antytezę realizmu i zdrowego rozsądku. *Immaterial plus* stanowi nie-materialny wyraz pozytywnego działania, stanowi docelową wizję, która w oczach danego narodu reprezentuje wartość wyższego rzędu.

Weźmy następujący przykład. Gdyby w Polsce budowano prawdziwy ustrój socjalistyczny — gdyby z każdym upływającym rokiem widoczny był postęp zarówno w sferze gospodarczej jak i ustrojowej — gdyby wolności przybywało a nie ubywało — gdyby zanikał wyzysk i niesprawiedliwość — gdyby naród reprezentował rząd wyłoniony z powszechnych wyborów — wówczas socjalizm mógłby być uznany przez większość obywateli za ową wartość wyższego rzędu, która produkcji materialnej nadaje głębszy sens i znamię wielkości.

Technokraci skłonni są identyfikować gospodarkę, administrację, planowanie — z polityką. W rzeczywistości jednak wysoki rozwój technologii i potencjału gospodarczego nie zastępuje polityki, lecz przeciwnie, podkreśla niedorozwój myśli politycznej.

Willy Brandt powiedział, że Niemcy są gospodarczym gigantem i politycznym karłem. W tym jednym zdaniu ujęty jest cały problem Niemiec. Państwo potężne w sensie technologicznym i gospodarczym może nie mieć wykrystalizowanej koncepcji politycznej — nie oznacza to jednak, że gotowe jest akceptować status podrzędny. Nikt nie chce być politycznym karłem.

Sprawę komplikuje fakt, że Niemcy uważają, że są pozbawieni wszelkiej *glory* na skutek dyskryminacji.

Interesujące światło na ten problem rzuca szkic Dr. Theo Sommer'a pt. „The Objectives of Germany” w zbiorowej książce „A World of Nuclear Powers” (The American Assembly, Columbia University, 1966). Dr Sommer redaguje dział zagraniczny w *Die Zeit*.

Jak wiadomo kanclerz Adenauer, jednostronną deklaracją z

dnia 3. X. 1954, zrezygnował imieniem NRF z produkowania na niemieckim terytorium broni atomowych, biologicznych i chemicznych. Dr Sommer komentuje powyższą deklarację w następujących słowach: „Niemiecka Republika Federalna kupiła bezpieczeństwo i status partnera za cenę uinstytucjonalizowanej obcej kontroli nad swym aparatem militarnym. Przegrawszy wojnę, którą Niemcy rozpoczęli — NRF mogła odzyskać suwerenność tylko pod warunkiem zrzeczenia się jej części ponieważ sprzymierzeńcy Federalnej Republiki, choć pragnęli bezpieczeństwa dla Niemiec — pragnęli również zabezpieczenia przed Niemcami. Ceną, którą Niemcy miały zapłacić za swój nowy status była dyskryminacja zakamuflowana integracją wojskową.

Dr Sommer twierdzi, że Niemcy cenią więcej integrację i jedność obozu zachodniego niż własne ambicje atomowe. Lecz jeżeli spoistość NATO — już dziś bardzo wątpliwa — ulegnie dalszemu rozluźnieniu, to co wtedy?

Problem, który staram się przeanalizować nie ma bezpośredniego związku z widmem Wersalu. Sytuacje są nieporównywalne. NRF w przeciwieństwie do Niemiec powersalskich — jest potęgą gospodarczą o bardzo wysokiej stopie życiowej.

Casus Niemiec nie jest odosobniony. Według zgodnych ocen specjalistów amerykańskich Japonia, w najbliższych dwóch dekadach stanie się trzecim najbogatszym krajem świata. Japonia jest również, podobnie jak Niemcy, politycznym karłem.

Zarówno Niemcy jak i Japonia są krajami, które przegrały wojnę. Tak w Niemczech jak i w Japonii wielkiemu potencjałowi przemysłowo-technologicznemu nie odpowiada proporcjonalny status polityczny.

Można przyjąć pogląd, że na statusie politycznym nikomu nic nie zależy jak długo w danym kraju panuje dobrobyt i ład społeczny. Doświadczenie historyczne poucza nas jednak, że tak nie jest. Narody walczyły przede wszystkim o status polityczny. Kolonie zamorskie dostarczały nie tylko surowców — lecz umożliwiały budowę imperium o światowym znaczeniu. Dziś główne eks-kolonialne mocarstwa europejskie szukają polityk zastępczych. Gen. de Gaulle poprzez sojusz z Niemcami, poprzez zachodnio-europejskie formy wspólnoty gospodarczej — starał się przywrócić Francji blask wielkości.

Wielka Brytania złożyła w Brukseli oficjalną notę w sprawie przyjęcia do „wspólnego rynku” — powodowana analogicznymi motywami. Z chwilą gdy stało się oczywiste, że *Commonwealth* w jego nowej postaci nie spełnił pokładanych w nim nadziei — trzeba było szukać nowych dróg w celu uratowania Anglii przed klęską małości (*little England*).

W perspektywie tradycyjnej polityki brytyjskiej wejście Anglii do „wspólnego rynku” stanowi posunięcie rewolucyjne. Sprawy gospodarcze i technologiczne odgrywają w tym kompleksie zagadnień ogromną, lecz nie decydującą rolę. Anglicy — w zgodzie z odwiecznym założeniem polityki brytyjskiej — nie chcą mieć po drugiej stronie Kanału zjednoczonej zachodniej Europy, dominowanej przez Francję. Ponieważ nie mogą przeszkodzić procesowi zjednoczenia — postanowili zachodniej kontynentalnej Europie zaoferować swe przywództwo. Nie ulega wątpliwości, że gdy Wielka Brytania zostanie przyjęta do „wspólnego rynku” w układzie sił zachodnioeuropejskiej wspólnoty nastąpią wielkie zmiany.

Tak czy inaczej, należy stwierdzić, że Francja i Anglia zdobyły się na zastępczą, nową politykę, której celem jest wyrównać straty poniesione w „statusach wielkości” obu mocarstw na skutek likwidacji kolonializmu.

Najtrudniej zaprojektować jest nową politykę dla Niemiec. Co Niemcy winni zrobić, by przestać być politycznym karłem? Sytuacja NRF jest niezmiernie trudna, ponieważ Niemcy w znacznym procencie są konserwatystami i tradycjonalistami a na tradycyjną „wielką” politykę niemiecką nie ma miejsca ani w Europie ani poza nią. Od wschodu blokuje Niemcy Rosja i państwa satelickie — od zachodu Francja i Anglia, które są równie przeciwnie odrodzeniu się *glory* Niemiec jak Związek Sowiecki. Obserwując zmienne koleje sojuszu francusko-niemieckiego trudno oprzeć się wrażeniu, że Paryż wyznaczył Niemcom rolę „młodszego partnera”. Wejście Anglii do „wspólnego rynku” może spowodować za 10 czy 15 lat odrodzenie się francusko-brytyjskiej „Entente Cordiale” — co w każdym wypadku i w każdym układzie byłoby kombinacją antyniemiecką. Można uznać za pewne, że Londyn i Paryż nie dopuszczą w przyszłości do supremacji Niemiec w ramach zjednoczonej Zachodniej Europy.

Tak oto wracamy do wizji, którą Franz Josef Strauss — ujął w następujących słowach: „Niemcy, które byłyby poddane ograniczeniom drugiego wojkowego Wersalu, Niemcy, trzecia gospodarcza potęga świata upokorzone pomiędzy Wschodem a Zachodem — takie Niemcy musiałyby czynić wrażenie koszmaru na wszystkich ludziach o zdrowym rozsądku. W oparciu o przeszłość można wnioskować, że w Niemczech tak potraktowanych zjawiłby się *Führer*, który obiecałby i prawdopodobnie dokonał atomowego uzbrojenia Niemiec”.

Lecz tym razem to wszystko nie jest takie proste. Założmy, że w najbliższej dekadzie NATO ulegnie dalszemu rozwodnieniu, założmy dla przykładu, że „parasol” amerykański wyda się w przyszłości Niemcom niedostateczną gwarancją bezpieczeństwa. Gdyby

układ o nierozpowszechnianiu broni nuklearnych spalił na panewce i Japonia, Indie czy Izrael przekształciły się w państwa atomowe — wówczas i Niemcy prawdopodobnie sięgnęłyby po broń nuklearną. Lecz czy by je osiągnęły — to jest wielce wątpliwe.

W chwili obecnej „domowa” produkcja plutonium w Niemczech Zachodnich umożliwiałaby montaż 10 bomb atomowych rocznie. Powyższa cyfra mogłaby z łatwością ulec podwojeniu w okresie trzech lat. W najbliższych latach w Niemczech Zachodnich projektuje się budowę większych reaktorów — zdolnych do wydatnie zwiększonej produkcji („Capabilities of Non-Nuclear Powers”, Leonard Beaton).

Niemcy Zachodnie mają znakomite warunki umożliwiające szybką budowę potencjału atomowego. Posiadają bazę technologiczno-przemysłową, instytucje naukowo-badawcze na najwyższym poziomie i pieniądze. Niemniej myślę, że łatwiej byłoby małemu Izraelowi uzbroić się atomowo niż potężnej Federalnej Republice.

Pomimo, że przemysł i badania nuklearne dla celów pokojowych w Niemczech zachodnich stoją bardzo wysoko — Niemcy potrzebowałyby dłuższego czasu do wyprodukowania pierwszych generacji operatywnych pocisków atomowych. Jest więcej niż prawdopodobne, że gdyby Niemcy podjęli program zbrojeń atomowych — Rosja unicestwiłaby te zamiary w załężku błyskawiczną akcją prewencyjną. To nie jest moja prywatna opinia. Theo Sommer w cytowanej powyżej książce pisze, że „odpowiedzialne koła oficjalne w Bonn” oczekiwałyby w takiej sytuacji zajęcia przez Rosję Hamburga. Rosjanie oświadczyliby wówczas, że wycofają się z Hamburga jeżeli Niemcy porzucą program zbrojeń atomowych.

Wydaje się, że to jest trzeźwa i realistyczna ocena. „Atomowa Nadrenia” nie ma żadnej szansy powodzenia bo Rosja, w przeciwieństwie do Zachodu, nie zawahałaby się i podjęła na czas akcję prewencyjną.

20 % Niemców nie zna słów hymnu narodowego. Tylko 47 % cieszy się z widoku flagi narodowej, 63 % stwierdza, że nie ma wartości w imię której byliby gotowi poświęcić życie. Tylko 1 % Niemców w rubryce dotyczącej poświęcenia życia wpisał: „moja ojczyzna”.

A oto odpowiedź na pytanie najbardziej charakterystyczne: „Czy wierzysz, że Niemcy będą jeszcze kiedyś jednym z najpotężniejszych państw świata?”. W roku 1954 na powyższe pytanie 39 % respondentów odpowiedziało pozytywnie. W roku 1964 na to samo pytanie odpowiedziało pozytywnie tylko 19 % respondentów.

Można dwojako odczytywać powyższe odpowiedzi. Komentatorzy niemieccy przytaczają tego typu materiał statystyczny, by przekonać opinię na Zachodzie, że nacjonalizm niemiecki jest nie tylko martwy lecz i bez nadziei zmartwychwstania. Publicyści niemieccy przytaczają cytowane wskaźniki niejako z dumą — jako dowód pozytywnej i prawidłowej ewolucji.

Osobiście odczytuję owe wypowiedzi inaczej. Gdyby Niemiecka Republika Federalna nie była „karłem politycznym” lecz przeciwnie, posiadała nowy program odbiegający horyzontem i założeniami od poprzednich zaborczych koncepcji — wówczas można by twierdzić, że nacjonalizm ustąpił miejsca nowym ideom i zamierzeniom. Ponieważ jednak nie ma nowego programu ani nowej koncepcji politycznej — a tradycyjny rewizjonistyczny nacjonalizm sparaliżowany jest skutecznie sowieckimi MRBM — powstała pustka, której wyrazem jest frustracja. Ilustracją owej frustracji jest zarówno przyrównanie NRF przez ministra spraw zagranicznych do karła politycznego — jak i wypowiedzi ankietowe przytoczone powyżej. Z całą pewnością nie oznacza to ewolucji w prawidłowym kierunku — tym mniej nie oznacza sublimacji nacjonalistycznej polityki w ideał wyższego rzędu.

Drugim mocarstwem pokonanym w wyniku ostatniej wojny światowej była Japonia. „Cud gospodarczy” japoński przewyższa dokonania niemieckie. Japonia prześcignęła Niemcy w produkcji samochodów. Japonia przywodzi światu w budowie okrętów a w produkcji samochodów zajmuje drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych.

Leonard Beaton wyraża pogląd, że Japonia wśród państw nie-atomowych realizuje najbardziej ambitny program raketowy. Ów program jest tak wysoko zaawansowany, że rzeczoznawcy zachodni wyrażają przypuszczenie, iż rząd japoński ma na oku militarne możliwości związane z tym programem. Lecz o Japonii można powiedzieć to samo co powiedział Brandt o NRF. Japonia jest gigantem przemysłowym i politycznym karłem.

Japonia jednak jest w niepomniernie korzystniejszej sytuacji niż Niemcy. *Non-proliferation treaty* — na terenach Azji będzie świszkiem papieru ponieważ Chiny owej konwencji nie podpiszą. Nie wierzę by szok atomowy spowodowany Hiroszimą miał trwać w Japonii dziesiątkami lat. Jeżeli Chiny rozbudują swój potencjał atomowy — Japonia za 10 czy 15 lat nie będzie miała innego wyjścia tylko przyjąć status mocarstwa nuklearnego. Japonii — w przeciwieństwie do Niemiec nie grozi wojna prewencyjna, a Waszyngton jeżeli wówczas będzie miał pełne zaufanie do japońskiego sojusznika — nie wyrazi sprzeciwu. Amerykanie na dalszą metę potrzebują w Azji nie marszałków Ky czy Czang Kai-szeków,

lecz nuklearnego mocarstwa sojuszniczego o statusie równorzędnego partnera.

Byłoby tragedią — zarówno dla Japończyków jak i dla Amerykanów — gdyby Japonia zrezygnowała z prób przetłumaczenia swej potęgi gospodarczej i technologicznej na odpowiedni status polityczny. Asekurowanie się u Amerykanów jest niewspółmiernie tańsze niż budowa własnego potencjału siły. Oczywiście najwygodniej i najtaniej jest mieć amerykańską bazę atomową na jednej z wysp japońskich. Tego rodzaju układ umożliwia zaoszczędzenie gigantycznych sum, które zainwestowane w przemysł przynoszą proporcjonalne zyski. Japonia, po Hiroszimie, zależność od Stanów Zjednoczonych zdyskontowała gospodarczo. W porównaniu z astronomicznymi sumami, które na zbrojenia wydatkowały w ostatnich 20 latach Stany Zjednoczone — Japonia na ten cel nie wydała nic, względnie prawie nic.

Nie jestem entuzjastą zbrojeń atomowych — sądzę jednak, że bronie nuklearne w rękach Japończyków byłyby najbezpieczniejsze. Nuklearna Japonia dawałaby gwarancję, że bomba atomowa nie zostanie użyta przez inne narody azjatyckie.

Choć powstrzymywanie Chin jest niezmiernej wagi — przedmiotem analizy w niniejszym rozdziale jest inny problem. Chciałem wykazać, że rozwój technologiczno-gospodarczy musi czemuś służyć. Ci, którzy sądzą, że konsumpcja, dobrobyt i bogactwo są celem samym w sobie — popełniają podstawowy błąd. Nawet pobieżna lektura prasy amerykańskiej musi przekonać każdego obserwatora, że Amerykanie — najpotężniejszy i najbogatszy naród świata, szukają szczerze, i często burzliwie, polityczno-ideologiczno-moralnej nadbudowy, która nadawałaby głębszy sens owemu bogactwu i potędze. Wojna w Wietnamie wywołała dyskusję w skali narodowej na temat „wartości wyższego rzędu”, ponieważ umiera się nie za dolary i nie dla dolarów, tylko za ojczyznę, która musi reprezentować coś więcej niż dolary.

Ponieważ aparat polityczny po obu stronach „żelaznej kurtyny” jest zrutynizowany i zbiurokratyzowany — zawodowi politycy podchodzą z lekceważeniem do tych zagadnień. Lec nie oni idą na front i nie od nich wymaga się, by umierali z karabinem w rękę. Natomiast młody i naiwny Amerykanin walczący w Wietnamie jest przekonany, że broni demokracji i wolności a młody i naiwny partyzant Wietkongu jest przekonany, że wyzwala swój kraj spod obcej przemocy. Gdyby ci młodzi ludzie nie wierzyli w swoje systemy „wartości wyższego rzędu” — nie strzelaliby do siebie. Nie jest winą tych młodych żołnierzy i partyzantów lecz jest winą polityków po obu stronach barykady, że ów zestaw wartości wyższego rzędu jest fikcyjny — ponieważ w południo-

wym Wietnamie nie ma ani wolności ani demokracji, a wyzwolenie w wydaniu północnego Wietnamu nie byłoby wyzwoleniem.

Zawodowi politycy manipulują „wyższymi wartościami” w okresach kryzysów i wojen — ponieważ wiedzą z doświadczenia, że choć ludzie cenią dobrobyt nie są gotowi za niego umierać tym bardziej, że umierają zwykle ci, którzy owego dobrobytu mieli najmniej. Gdyby jutro wybuchła trzecia wojna światowa gen. Franco zaawansowałby na obrońcę wolności i demokracji a Gomułka na trybuna przedmurza najszlachetniejszego socjalizmu.

Pisze się o „kryzysie wartości”, o „zmierzchu ideologii”, o upadku życia religijnego itp. W państwach komunistycznych piętnuje się „postawę konsumpcyjną”, bezideowość i oportunizm.

W moim przekonaniu ludzie w przekroju statystycznym nie są mniej ideowi dziś niż byli 50 lat temu. Natomiast dzięki ogromnemu wzrostowi oświaty i rozprzestrzenieniu się mediów komunikacji — ludzie stali się niewspółmiernie lepiej poinformowani i krytyczni. W konsekwencji, manipulowanie „wartościami wyższego rzędu”, które nie mają pokrycia w faktach — napotyka dziś na znacznie większe opory niż 50 lat temu. Nie ma żadnego kryzysu socjalistycznego czy filozoficznego — tylko nie wszystko co usiłuje się sprzedać ludziom jako socjalizm jest socjalizmem, i nie wszystko co usiłuje się sprzedać jako filozofię jest filozofią. Lecz w gruncie rzeczy odpadły tylko plewy nie ziarno. Alarm o kryzysie podnoszą przede wszystkim sprzedawcy plew, których to plew już nikt nie chce brać za ziarno.

Wszystkie ekskomuniki, pouczenia, procesy, więzienia — stosowane przez władze sowieckie w stosunku do pisarzy i intelektualistów — stanowią ilustrację powyższego procesu. Tylko niewielu ludzi na Zachodzie docenia wymiar i znaczenie tych zjawisk. Wybitny naukowiec i powieściopisarz angielski C. P. Snow powiedział niedawno w wywiadzie radiowym, że zazdrości pisarzom rosyjskim ich pozycji społecznej. Pisarze w Rosji — w przeciwieństwie do pisarzy na Zachodzie — wpływają bezpośrednio na politykę, na przemiany wewnętrzne i są nie tylko sumieniem narodu lecz i aktywną opozycją. Owa opozycyjność wykazuje często charakter rewolucyjny i zwrócona jest przeciwko klasie, którą Konstantin Paustowski w odważnym przemówieniu w roku 1956 nazwał „sowiecką burżuazją”.

O ile zawodowi politycy na Zachodzie nie doceniają na ogół znaczenia intelektualnego fermentu w Rosji — o tyle przywódcy sowieccy nie mają na ten temat złudzeń. Chruszczow w jednym ze swych przemówień przypomniał pisarzom i intelektualistom sowieckim o decydującej roli jaką odegrali ich węgierscy koledzy w rewolucji i w powstaniu w roku 1956.

Chruszczow miał rację. Łatwiej jest nie doceniać niż przecenić znaczenie intelektualnej rewolty w Związku Sowieckim. To zjawisko przybierać zaczyna charakter masowy. Swietlana Stalin — dzięki swemu nazwisku i nieprzeciętnej sylwetce — skupiła na sobie uwagę prasy zachodniej. Lecz Swietlana nie jest jedna. Przywódcy sowieccy — w przeciwieństwie do Gomułki i Kliszki — dysponują półwiekowym doświadczeniem swojej partii i w pełni zdają sobie sprawę z faktu, że ideologię można „sprzedać” społeczeństwu tylko poprzez literaturę. Policją można ludzi zmusić (do czasu) — lecz tylko poprzez literaturę ludzi można przekonać i zjednać. I dlatego wybitnemu pisarzowi — dopóki nie przekroczy ruchomej linii opozycji — państwo oferuje wysoki status społeczny i wysoką stopę życiową. Nawet Pasternak umierał w luksusowej kolonii pisarzy w Pieriedielkino pod Moskwą („The USSR” — F. C. Barghoorn).

Linia opozycji jest ruchoma, ponieważ przywódcy sowieccy sądzą, że opozycyjność pisarzy można częściowo rozbroić zwiększeniem marginesu swobody. Koncesje nie łagodzą fermentu lecz przeciwnie wzmagają falę naporu. Wówczas partia przykręca śrubę i wszystko zaczyna się od nowa. Ów potężniejszy rytm przyływów i odpływów jaki obserwujemy od śmierci Stalina dowodzi, że fermentu nie da się już zdławić ani rozładować. Tym, którzy ów ferment oceniają jako burzę w literackiej szklance wody — warto może zacytować następującą wypowiedź Jewtuszenki: „Moja poezja stanowi jedynie wyraz nastrojów i idei nurtujących już w społeczeństwie sowieckim, których jednak do tej pory nie wyrażono wierszem”. (Evgeni Evtushenko „A Precocious Autobiography”, New York, 1963).

Jeszcze 50 lat temu rolę wartości wyższego rzędu w polityce spełniał niemal wyłącznie nacjonalizm. „Deutschland, Deutschland über alles”, „Polska to wielka rzecz”, „Rule Britannia” — wyrażały postawę Europejczyków. Lecz nawet narodowym szowinistom nacjonalizm wydawał się treściowo ubogi i etycznie niedotateczny. Koncepcje tego typu jak „przedmurze chrześcijaństwa”, „za wolność naszą i waszą”, „obrona cywilizacji zachodniej”, „misja białego człowieka” — miały przydać nacjonalizmowi wartości wyższego rzędu.

Faszyzm był nacjonalizmem podniesionym do najwyższej i jedynej normy działania politycznego. Komunizm (w teorii) stanowił antytezę faszyzmu — odrzucał bowiem nacjonalizm na rzecz ideologii uniwersalnej.

Faszyzm był barbarzyństwem — komunizm teoretyczny jest utopią. Gdzie więc należy szukać „wartości wyższego rzędu” — w polityce?

Każdy naród ma prawo do samostanowienia w sensie państwowym, ustrojowym i kulturalnym na swoim etnicznym terytorium. Nacjonalizm nie może oznaczać niczego więcej — lecz nie może również oznaczać niczego mniej. Naród — podobnie jak jednostka ludzka — nie jest wyspą i jego wielkość mierzy się w ostatecznym rozrachunku przydatnością dla innych tzn. rolą jaką pełni w społeczności narodów. Polska niezależna i uładowana potrzebna jest Polakom — lecz jej znaczenie zależeć będzie od tego w jakim stopniu będzie potrzebna narodom, które utworzą kiedyś nowy system w Europie Wschodniej.

Rozwój technologiczny umożliwia realizację „polityk wyższego rzędu” w znacznie szerszym zakresie niż było to osiągalne w przeszłości. Likwidacja głodu, chorób, ciemnoty oraz wypracowanie sprawiedliwych modeli społecznych, zapewniających dobrobyt i wolność setkom milionów ludzi — są dziś propozycją realną.

Frustracja, ferment, niepokój, bunt — które obserwujemy w różnych formach po obu stronach ideologicznej barykady — wskazują, że politycy współcześni nie umieli do tej pory zaprojektować „nadbudowy” która by nadawała postępowi technicznemu wymiar ogólnoludzki a tym samym stanowiła gwarancję, że ów apokaliptyczny potencjał nie obróci się przeciwko nam. „Człowiek na ulicy” wyczuwa lepiej niż biurokraci, którzy nim rządzą, że doszliśmy do punktu w którym podstawowym warunkiem przetrwania jest zastąpienie „drętwej mowy” z ambon i z politbiur — autentyczną moralnością. Ludzie stali się zbyt potężni, by mogli, jak dawniej uprawiać bezpiecznie polityki a-moralne.

Kultura nr 7/237-8/238, lipiec/sierpień 1967

ZJAWISKO FASCYNUJĄCE — LITERATURA NUDNA

Na temat „zimnej wojny” napisano wiele książek — przeważnie nudnych. Interesujący szkic na powyższy temat ukazał się w „Foreign Affairs” (Vol. 46, No. 1). Mam na myśli pracę A. Schlesingera jr., pt. „Origins of the Cold War”.

Mimo nudnej literatury samo zjawisko „zimnej wojny” jest w gruncie rzeczy fascynujące.

Weźmy dla przykładu jakąkolwiek instytucję amerykańską o charakterze „zimno-wojennym”. Oczywiście spotkamy w niej Polaków współpracujących z Amerykanami. Co łączy Amerykanina i Polaka w szrankach „zimnej wojny”? Łączy ich przede wszystkim kilka nieporozumień. Amerykanin uważa, że „zimna wojna” zrodziła się pod koniec drugiej wojny światowej a jej celem jest organizowanie oporu przeciwko komunizmowi. Natomiast dla Polaka „zimna wojna” zrodziła się nie pod koniec drugiej wojny światowej, lecz pod koniec XVIII wieku. Polak — podobnie jak jego amerykański kolega — jest antykomunistą lecz jest nim dlatego, że jest antyrosyjski, a nie dlatego, że jest liberalnym demokratą.

Z powyższych przyczyn Polakom trudno jest zrozumieć politykę amerykańską, ponieważ nawet przez „zimną wojnę” Polacy i Amerykanie rozumieją dwie różne rzeczy. Jeszcze trudniej jest Polakowi zrozumieć pogląd rewizjonistycznych historyków amerykańskich, którzy poddali dzieje „zimnej wojny” gruntownej krytyce.

Na to by ocenić rewizjonizm trzeba znać tezę ortodoksyjną. Zacznijmy więc od poglądu ortodoksyjnego.

Lecz wpierv mała uwaga na marginesie. W *Newsweek* z 4. XII. 1967 ukazał się artykuł Walter Lippmanna — w którym sędziwy publicysta amerykański stwierdza, że naszym naczelnym

zadaniem jest ugruntowanie pokoju — co z kolei zależy od odpowiedzi na pytanie: jak zmusić Amerykę i Rosję do wycofania się z zajętych terytoriów w Azji i w Europie?

Przytaczam powyższą opinię, ponieważ cytowane ujęcie reprezentuje drugi typ rewizjonizmu, który jest zaadresowany zarówno do Amerykanów jak i do Rosjan.

Ortodoksyjna teza, formułowana wielokrotnie przez kolejne rządy i historyków amerykańskich głosi, że „zimna wojna” była reakcją wolnych ludzi na agresję komunistyczną. W tej całej sprawie instrumentalnym słowem jest termin „agresja”. W każdej wojnie, czy to zimnej czy gorącej — podstawowe pytanie brzmi: kto jest agresorem?

Rewizjoniści (D. F. Fleming — „The Cold War and Its Origins”, David Horowitz „The Free World Colossus”, Gar Alperowitz — „Atomic Diplomacy: Hiroshima and Potsdam”) — reprezentują pogląd wręcz odmienny niż historycy ortodoksyjni. Według tej szkoły, po śmierci prez. Roosevelta — Ameryka z rozmysłem porzuciła wojenną politykę współpracy i dufna w bombę atomową podjęła akcje agresywne zmierzające do wyrugowania rosyjskich wpływów w Europie Wschodniej. Celem owej polityki byłoby odbudowanie na wschodzie Europy systemu kapitalistyczno-demokratycznego. Na ową agresję amerykańską Rosjanie odpowiedzieli „zimną wojną”, ponieważ nie mieli innego wyjścia.

(Podobnie swego czasu argumentował Isaac Deutscher podkreślając, że ponieważ Polska została wyzwolona przez Armię Czerwoną — przywrócenie ustroju kapitalistycznego obróciłoby w niwecz ofiarę krwi żołnierzy sowieckich. Żołnierze sowieccy nie walczyli bowiem w imię restaurowania wrogiego im systemu).

Rewizjoniści amerykańscy całość winy za wybuch i trwanie „zimnej wojny” przypisują rządowi amerykańskiemu. Walter Lippmann przypisuje winę obu stronom. Jego analiza zasługuje na chwilę uwagi. Gdy druga wojna światowa dobiegała kresu — Churchill i Roosevelt usiłowali zaprojektować nowy system międzynarodowy, który opierałby się na ścisłej współpracy trzech wielkich mocarstw czyli tzw. „Wielkiej Trójki”. Błąd tej koncepcji polegał na tym, że — jak się bardzo szybko okazało — choć Churchill był wielkim mężem stanu, nie reprezentował wielkiego mocarstwa. Anglia nie była już w stanie sprostać światowej roli w dyktandum trzech super-mocarstw. I tak oto, Wielka Trójka przemieniła się w wielką dwójkę i w ocenie Lippmanna ów fakt leży u źródeł dzisiejszej kryzysowej sytuacji z „zimną wojną” włącznie. Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone podjęły politykę ekspansji — nie notowaną w ich dziejach — co jeżeli nie zostanie zahamowane musi doprowadzić do katastrofy.

Zmierzch Anglii odegrał niewątpliwie rolę — nie sędzę jednak by ów zmierzch stał się główną przyczyną dramatu. Schlesinger przypisuje ogromną wagę brakowi komunikacji pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Amerykanie często wadliwie odczytywali intencje sowieckie.

Od samego początku starły się dwie koncepcje polityki międzynarodowej. W otoczeniu Roosevelta przeważali wyznawcy wilsonianizmu. Choć sam Roosevelt odbiegał czasem od doktryny — w opinii Schlesingera — pozostał zasadniczo do końca wilsonczykiem.

Wilsonianizm, jako filozofia polityczna, zrodził się z przekonania, że wszelkie zło, a w szczególności wojny światowe są rezultatem europejskich polityk mocarstwowych, sfer wpływów, przymierzy i kontr-przymierzy. Tego typu grę się i imperializmów, która w przeszłości była wylęgarnią wojen — trzeba zastąpić systemem międzynarodowym opartym o ścisłą współpracę wielkich mocarstw.

Wróciwszy z Jałty Roosevelt oświadczył Kongresowi, że ma nadzieję, iż osiągnięte porozumienie oznacza kres „jednostronnie podejmowanych akcji, ekskluzywnych sojuszków, sfer wpływów, równowag się i innych instrumentów politycznych, stosowanych przez stulecia — które zawiodły”.

Natomiast koncepcja sowiecka stanowiła dokładną odwrotność amerykańskiego uniwersalizmu. Rosjanie nie taili, że są zwolennikami sfer wpływów, bilateralnych sojuszków, równowagi się i polityki mocarstwowej — pod warunkiem, że przez „mocarstwo” rozumie się Związek Sowiecki.

Schlesinger jest światłym i wybitnym historykiem — nie jest jednak wschodnim Europejczykiem i pewne problemy pozostały mu obce. Uniwersalizm amerykański w wydaniu wilsoniańskim zbankrutował, ponieważ Liga Narodów była bezsilna i bez jakiegokolwiek egzekutywy. Po-wersalska Europa przedstawiała obraz idealnie anty-wilsonowski. Sparodiowane hasło samostanowienia służy często za przykrywkę do zaborczych polityk, jak w wypadku polityki hitlerowskiej w stosunku do Czechosłowacji. Całkowity paraliż systemu międzynarodowego spowodował, że Polska i inne państwa europejskie — szukały bezpieczeństwa w paktach dwustronnych.

Schlesinger pisze: „Historykom trudno jest potępiać Roosevelta, Stalina i Churchilla za to, że nie rozwiązyali problemów jakie pojawiły się pod koniec wojny, skoro oni sami, dziś, po latach, nie są w stanie tych problemów rozwiązać”.

Wydaje mi się, że nie ma najmniejszego powodu prezentować

Stalina jako współtowarzysza niedoli Roosevelta. Zawsze jest różniej jeżeli można powiedzieć, że wszyscy trzej starsi panowie zawiedli a nie tylko biedny Roosevelt. Lecz to niestety nie odpowiada prawdzie. Stalin — w przeciwieństwie do Roosevelta i Churchilla problemy polityki sowieckiej rozegrał korzystnie i w 90 wypadkach na 100 postawił na swoim.

Rosjanie oczywiście byli w Europie Wschodniej w sytuacji uprzywilejowanej. Lecz o sukcesie polityki sowieckiej zadecydowała nie tylko obecność siły wojskowej lecz przede wszystkim fakt, że w przeciwieństwie do Roosevelta i Churchilla, Stalin od początku dokładnie wiedział czego chciał.

Schlesinger pisze: „Roosevelt, Hopkins, Welles, Harriman — byli uniwersalistami i poważnymi ludźmi. Dlaczego więc odrzucali koncepcję stref wpływów?”

W opinii Schlesingera uniwersaliści odrzucali tę koncepcję ponieważ uważali, że zawiera ona w sobie zaród przyszłej wojny. W mojej natomiast opinii, Stalin na terenie Europy dążył do wygrania wojny z Amerykanami i w znacznej mierze to osiągnął.

Amerykanie wyobrażali sobie, że Organizacja Narodów Zjednoczonych zastąpi „równowagę sił”. Hull oświadczył, że w pełni rozumie pragnienie Stalina zabezpieczenia zachodnich granic Związku Sowieckiego — lecz cel ten najlepiej można osiągnąć poprzez międzynarodową organizację pokojową. Kto w to miał wierzyć?

Uniwersaliści mieli niewątpliwie rację głosząc, że strefy wpływów, pakt wojskowy i systemy równowagi sił, prowadziły w przeszłości na terenie Europy od wojny do wojny.

Lecz Rosjanie mieli również rację odnosząc się z nieufnością do mglistych koncepcji zbiorowego bezpieczeństwa — ponieważ koncepcje te, w przeszłości, nie zdały praktycznego egzaminu.

Można Rosjanom postawić zarzut — i amerykańscy historycy zarzut ten wysuwają — że realizm owych koncepcji zależał od poparcia rosyjskiego. Innymi słowy, gdyby Związek Sowiecki od końca wojny współpracował szczerze ze Stanami Zjednoczonymi — wówczas ONZ przekształciłaby się w sprawnie funkcjonującą organizację, stanowiącą fundament nowego porządku międzynarodowego.

Dlaczego tak się nie stało?

W moim przekonaniu nie stało się tak — z trzech przyczyn:

I. Rosja nie była gotowa do międzynarodowej współpracy z krajami kapitalistycznymi. Stalin był zainteresowany przede wszystkim w konsolidacji swojego nowego imperium i w strefach wpływów. Moskwa nie protestowała gdy likwidowano komunistów w Grecji. Jak wynika z relacji Dżilasa, Stalin doradzał

Tito zatrzymanie króla Piotra. Stalin był zainteresowany skomunizowaniem krajów Europy Wschodniej i nie-interferencję w jego strefie wpływów gotów był okupić rezygnacją z interferencji w zachodniej strefie wpływów. To nie była głupia taktyka. Stalin w myśl chłopskiej realistycznej zasady, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu — gotów był poświęcić komunistów greckich czy włoskich, by na zasadzie wzajemności, zapewnić sobie nie-interferencję mocarstw zachodnich w Europie Wschodniej. Gdyby chciał komunizować Wschodnią Europę oraz równocześnie wspomagać czynnie komunistów w zachodniej strefie wpływów — byłby nie dokonał niczego.

Oczywiście to wszystko była taktyka, która miała umożliwić podjęcie ofensywy w późniejszym okresie.

II. Nie podzielam opinii Lippmanna, że gdyby Wielka Brytania zdołała utrzymać status światowego mocarstwa — wszystko ułożyłoby się inaczej i zamiast „zimnej wojny” mielibyśmy harmonijną współpracę. Niewątpliwie jednak fakt, że Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka znalazły się w sytuacji jedynych pozostałych na placu rywali — wyłączał rzetelną współpracę. Rosjanie myślą dziewiętnastowiecznymi kategoriami. Przez współpracę rozumieją sojusz. Sojusz przeciwko komu? Gdyby kiedyś doszło do konfliktu zbrojnego z Chinami — nie można wyłączyć, że doszłoby również do ściślejszej współpracy sowiecko-amerykańskiej. Lecz i w takim wypadku Rosjanie byłiby gotowi współpracować wojskowo i gospodarczo — lecz nie byłiby gotowi do współudziału w przebudowie systemu międzynarodowego. Rosjanie bowiem, jako komuniści, mają od dawna zaprojektowany nowy system międzynarodowy, zgodny z założeniami ich ideologii.

III. Pax Romana stanowił uwięźnienie globalnej (w ówczesnych warunkach) polityki imperialnego Rzymu. Nie można zaczynać od Pax Americana — trzeba zacząć od polityki globalnej.

Roosevelt oświadczył w październiku 1944: „W tej wojnie światowej nie ma dosłownie sprawy, czy to wojskowej, czy politycznej w której Stany Zjednoczone nie byłyby zainteresowane”.

Po śmierci Roosevelta — Hopkins powtórzył Stalinowi co następuje: „Zasadniczą podstawą polityki prez. Roosevelta, którą w całości popierał naród amerykański — była koncepcja, że interesy Stanów Zjednoczonych mają zasięg światowy i nie są ograniczone do terytoriów obu Ameryk i Pacyfiku”.

Nie może być dwóch globalnych polityk na jednym globie. Warunkiem Pax Americana jest pełny sukces globalnej polityki amerykańskiej. Nowy system międzynarodowy, przekształcenie „zimnej wojny” w współpracę — to wszystko Rosji można narzucić, lecz nie można jej dla tych koncepcji zjednać. Z punktu wi-

dzenia Moskwy nie opłaca się bowiem współpracować z partnerem z którym na wielu polach można zwycięsko konkurować. Takie było stanowisko Rosji w 1945 i takie jest dziś. Tylko ustanowienie bardzo znacznej przewagi amerykańskiej i kolejne sukcesy globalnej polityki Waszyngtonu — mogłyby wpłynąć na zmianę powyższego stanowiska Moskwy.

Uniwersaliści amerykańscy myśleli o współpracy „równych z równymi”. W świecie polityki siły — a jak dotąd nie ma innej polityki — równi z równymi albo konkurują albo walczą. Współpracują tylko słabsi z mocniejszymi.

Kultura nr 1/243-2/244, styczeń/luty 1968

POLITYKA PRZECIWWAGI

Polityka winna obejmować jutro. Polityka na dziś jest tylko taktyką. Proszę by Czytelnik pod tym kątem widzenia odczytywał niniejsze refleksje.

Krytycy przedwrześniowej polskiej polityki zapominają często, że gwarancja brytyjska była wówczas czymś innym niż byłaby dziś. Anglia choć nieprzygotowana do wojny była światowym imperium o olbrzymich finansowych i politycznych możliwościach. Dziś w Zachodniej Europie nie ma ani imperiów ani światowych mocarstw.

Polacy — zwłaszcza na emigracji — patrzą na obecny stan rzeczy jako na prowizorium. Hitler rozciągnął swoje panowanie na cały kontynent lecz w końcu został pobity. Moskwę musi spotkać analogiczny los.

Rosja może kiedyś ponieść klęskę lecz to nie oznacza, że Anglicy czy Francuzi odzyskają swoje imperia. Klęska Rosji mogłaby podnieść znaczenie Niemiec lecz nie przekształciłaby Wielkiej Brytanii w światowe mocarstwo z 1939 roku.

Pomimo naszej pro-zachodniości nie możemy szukać sojuszników w Zachodniej Europie, ponieważ ich tam nie znajdziemy. Zachodnia Europa sama potrzebuje protektora i gwarancji i z tej prostej przyczyny nie może osłaniać innych.

Byłym żołnierzom — jak piszący te słowa, przychodzi bardzo trudno pogodzić się z myślą, że ów Zachód na którym żyjemy i którego broniliśmy na lądzie, na morzach i w powietrzu — nie jest i prawdopodobnie już nigdy nie będzie naszym sojusznikiem. Nawet jeżeli wyobrazić sobie najbardziej idealne i pokojowe rozwiązanie a więc układ sowiecko-amerykański, który gwarantowałby granice i niepodległość państw europejskich — i wówczas nie byłibyśmy sojusznikiem Zachodu. Europa Zachodnia zmaląta

nie tyle na skutek wzrostu potęgi Sowietów — ile w konsekwencji utraty kolonialnych posiadłości zamorskich. Amerykanie mogą kiedyś okupować Moskwę, lecz imperium brytyjskie już nigdy nie będzie obejmować jednej czwartej ziemskiego globu.

Mimo, że posiadamy Wrocław, którego nikt nie nazwie wschodnim miastem — jesteśmy w znacznie większej mierze częścią Wschodu niż kiedykolwiek w przeszłości. Owe fakty nie zapadły się jeszcze w naszą psychikę i dlatego ciągle wierzymy, że zbawienie nadejdzie z Zachodu.

Kardynalnym zagadnieniem polskiej polityki jest organizowanie przeciwwagi w stosunku do Rosji. Owa polityka przeciwwagi nie wyłącza bynajmniej polityki szukania rzetelnego porozumienia z Rosją. Nawet gdybyśmy kiedyś osiągnęli z przyszłą Rosją rzetelne i korzystne porozumienie to i wówczas potrzebować będziemy przeciwwagi, ponieważ „sam na sam” z tak potężnym partnerem pociąga za sobą znaczne ryzyko.

Niemcy nie wchodzi w grę ponieważ zgłaszają pod naszym adresem pretensje terytorialne. Mając do wyboru Polskę czy Rosję — Niemcy wybiorą zawsze Rosję.

Partnerem polityki przeciwwagi musi być mocarstwo o naturalnym antyrosyjskim nastawieniu. Stany Zjednoczone są antykomunistyczne lecz nie są antyrosyjskie. Trwałe, organiczne — jeśli wolno się tak wyrazić — antyrosyjskie nastawienie gwarantuje tylko spór terytorialny. Powyższe warunki spełniają Chiny.

Mao Tse-tung jest zjawiskiem przejściowym. Chiny zachowują się nienormalnie, ponieważ znajdują się w absurdalnej sytuacji. Nie należą ani do tzw. bloku wschodniego, ani do tzw. świata wolnego. Są w złych stosunkach zarówno z Waszyngtonem jak i z Moskwą. Chiny są wielkim mocarstwem lecz na arenie międzynarodowej nie odgrywają roli wielko-mocarstwowej. Należy jednak wnioskować, że w obrębie 15 czy 20 lat — Chiny zajmą należne im miejsce w systemie międzynarodowym i dynamikę rewolucyjną przekształcą w dynamikę technologiczno-przemysłową.

Nie można wykluczyć, że następcy Mao będą dążyć do wyrównania stosunków z Moskwą. Tylko Rosja mogłaby dopomóc Chinom w unowocześnieniu i rozbudowie przemysłów. Lecz nawet znormalizowane — zasadniczy spór terytorialny chińsko-rosyjski — pozostanie.

Polityka przeciwwagi, w ujęciu jakie proponuję — wymaga przede wszystkim re-orientacji polskiego społeczeństwa. Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że wszystko co się dzieje wzdłuż granicy sowiecko-chińskiej jest dla nas bliższe i ważniejsze od wydarzeń nad Tamizą czy Sekwaną. Musimy również zdać sobie wreszcie sprawę, że nie możemy wyjść z bloku wschodniego, bo

nie mamy gdzie pójść. Europa z roku 1939 nie istnieje. Europa jednoczy się tylko w okresie wojny i tylko na czas wojny. Na Zachodzie nie mamy czego szukać pomijając fakt, że do „klubu zachodniego” nikt nas nie zaprasza.

Przyjęcie tezy, że z Warszawy bliżej jest do Pekinu niż do Paryża — idzie pod włos tradycji stuleci. Niemniej, naród polski musi się zwrócić twarzą ku Wschodowi — jeżeli pragniemy odbudować naszą pozycję w Europie. Jest nie ważne to czy Zachód nas zdradził czy nie zdradził — natomiast należy sobie jasno uświadomić, że europejski Zachód zmalał, co pociąga za sobą poważne konsekwencje.

Przyjdzie chwila, że Chińczycy zrozumieją, że na blok państw komunistycznych można wpływać tylko od wewnątrz a nie zewnątrz. Unormalizowanie stosunków z Rosją wzmocniłoby pozycję Pekinu. Tego nie uczyni Mao — lecz dokonają tego jego następcy. Unormalizowanie stosunków pozwoli Chinom rywalizować z Moskwą w świecie komunistycznym.

Pekin potępił Rosję za agresję przeciwko Czechosłowacji. Gdyby pomiędzy Sowietami i Chinami istniały unormowane stosunki dyplomatyczne i gospodarcze — głos Pekinu w sprawie Czechosłowacji mógł być odegrać pozytywną rolę. Z członkiem obozu, choćby nieprzyjaznym, trzeba się liczyć — z otwartym wrogiem nie ma powodu się liczyć, bo cokolwiek Moskwa zrobi — Pekin zawsze potępi.

Unormalizowanie stosunków nie jest równoznaczne z pogrzebaniem sporu terytorialnego. Napór Chińczyków w kierunku Syberii będzie wzrastał a nie malał.

Polityka przeciwwagi jest polityką trudną. W tym wypadku nie chodzi o manewrowanie pomiędzy Rosją a Chinami — tak jak usiłowaliśmy manewrować pomiędzy Rosją a Niemcami. Celem naszej polityki winno być natomiast wypracowanie na dalszą metę dobrych stosunków z Chinami. Winniśmy interesować się kulturą chińską, językiem chińskim, gospodarką chińską. Katedry sinologii na uniwersytetach należałoby podwoić i otoczyć specjalną opieką.

Jeszcze raz podkreślam, że znaczenie Chin w kontekście polskiej polityki nie polega na tym, że Chiny są i prawdopodobnie pozostaną antyrosyjskie. Polityka przeciwwagi nie polega na szukaniu sojusznika przeciwko trzeciemu mocarstwu — w tym wypadku przeciwko Rosji. Nie szukamy sojusznika przeciwko Moskwie — lecz szukamy mocarstwa, które w chwili kryzysu poparłoby nas w Moskwie.

Polityka przeciwwagi jest trudna ponieważ nie może mieć charakteru demonstracji antyrosyjskiej. Przeciwnie, mając dobre

stosunki z Chinami moglibyśmy oddawać tak Rosji jak i Chinom wielkie usługi.

Czytałem w prasie krajowej, że w okresie przyjaźni sowiecko-chińskiej — technicy i doradcy rosyjscy byli w Chinach całkowicie izolowani. Natomiast Polacy byli chętnie widziani i zapraszani. W wielu wypadkach delikatne misje Rosjanie powierzali Polakom. Rosjanie w Chinach są znienawidzeni — natomiast Polacy cieszą się sympatią.

Oczywiście mówimy o przyszłych Chinach i o przyszłej Polsce. Lecz polityki tego typu — nowej i antytradycyjnej — nie można improwizować z godziny na godzinę. Dobra polityka musi wyrastać ze zrozumienia i w konsekwencji z poparcia większości narodu. Polacy — mówiąc obrazowo — muszą wpierw zwrócić się ku Wschodowi by mogli dojrzeć korzyści płynące ze zbliżenia polsko-chińskiego. Tylko wówczas Chiny przestaną być dla nas... chińszczyzną.

Następujące fakty wydają się nie podlegać wątpliwości:

I. Potrzebujemy partnera do polityki przeciwwagi w stosunku do Rosji.

II. Chiny z którymi — w przeciwieństwie do Niemiec nie mieliśmy nigdy sporów czy zatargów — potencjalnie stanowią idealnego partnera dla tego typu polityki.

Problemem rosyjsko-chińskim jest Syberia. Polacy mogliby odegrać ważną, a może decydującą rolę w rozwiązaniu tego problemu, gdyby swoje zaangażowanie zachodnie stopniowo, racjonalnie, przekształcili na zaangażowanie wschodnie. Możemy być kulturalnie ludźmi zachodnimi lecz tematem naszej polityki — jeżeli owa polityka ma mieć jakiś twórczy sens — musi być Wschód.

Kultura nr 12/255, grudzień 1968

INTELEKTUALIŚCI A WŁADZA

Amerykański ekonomista George Stigler obliczył, że w Atenach za czasów Peryklesa żyło około dwustu intelektualistów — czyli jeden intelektualista przypadał na 1500 mieszkańców. Stigler ocenia, że w Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie około miliona intelektualistów, a więc jeden intelektualista przypada na 200 mieszkańców.

Angielski powieściopisarz, technolog i scjentyista C. P. Snow napisał, że 80 % postępu naukowego dokonanego w ostatnich 20 latach w świecie Zachodu przypisać należy Amerykanom.

W okresie Października Kisielewski wystąpił z tezą, że „myślenie w Polsce ma kolosalną przyszłość”. W Ameryce, myślenie ma nie tylko przyszłość lecz i teraźniejszość. Myślenie jest lukratywnym przemysłem o czym świadczą „fabryki myśli” (*think factories*) jak The Rand Corporation w Santa Monica, Arthur D. Little w Bostonie czy Aerojet General w Sacramento. Wzdłuż słynnej autostrady 128 wiodącej do Bostonu naliczyć można ponad 1000 zakładów przemysłowych elektronicznych i kosmonautycznych w których intelektualiści są *businessmen*’ami — a *businessmen*’i intelektualistami.

Lecz kto właściwie jest intelektualistą? Kryteria w tej sprawie są zmienne i zależą od tradycji i zwyczaju. Według *Time* („The Flourishing Intellectuals”) w Stanach Zjednoczonych demokrata będzie daleko łatwiej uznany za intelektualistę niż republikanin o identycznych kwalifikacjach naukowych. Pisarze, nawet rangi Hemingwaya czy Faulknera nie są intelektualistami — natomiast krytyk literacki jest intelektualistą niejako z urzędu. Praktykujący lekarz nie jest intelektualistą natomiast psychiatra czy psychoanalityk posiada wielkie możliwości awansu w tej dziedzinie.

W tej notatce chciałbym naświetlić tylko jeden aspekt tego różnorodnego zagadnienia, a mianowicie jak kształtuje się współpraca nie-technicznych intelektualistów z władzą państwową.

Fizycy atomowi, technologowie, scjentyści są w pełni zatrudnieni i dobrze płatni po obu stronach ideologicznej barykady. Od scjentyistów możemy oczekiwać odpowiedzi na pytanie jak należy rządzić światem? Pół wieku temu byłoby to pytanie czysto retoryczne, bo nikt nie posiadał dostatecznej siły by rządzić światem. Dziś Amerykanie dysponują siłą i potęgą umożliwiającą rządzić światem i jeżeli Waszyngton nie rządzi naszą planetą to nie dlatego, że nie ma dość siły lecz dlatego, że nie wie jak to zrobić. Na obronę Amerykanów trzeba powiedzieć, że nikt nie wie jak należy rządzić światem i wydaje się, że jest to problem niepojemnie bardziej skomplikowany niż lot na księżyc.

Co z tym wszystkim mają wspólnego intelektualiści? Znacznie więcej niż przeciętny laik sobie wyobraża.

W Wietnamie mamy kosztowną wojnę i rewolucję. Kto zaręczy, że analogiczna sytuacja nie powstanie jutro w Argentynie, w Brazylii czy w Indiach? Dawniej Waszyngton opierał się na informacjach przekazywanych przez służbę dyplomatyczną i wywiad. Dziś owe tradycyjne metody zdobywania informacji okazują się w wielu wypadkach niedostateczne. Jeżeli w danym kraju — niejednokrotnie odległym o tysiące mil od Stanów Zjednoczonych — zanoszą się na przewrót społeczny — fachowa analiza złożonej struktury kryzysu socjalnego przekracza możliwości zarówno wywiadu jak i konwencjonalnej służby dyplomatycznej. Z drugiej strony, jest niezmiernie ważne wiedzieć w którym punkcie globu zanoszą się na burzę, bo tylko wówczas można uniknąć zaskoczenia.

Innymi słowy, polityka globalna musi posługiwać się biurem które analizuje i przepowiada „pogodę społeczno-gospodarczą” na całym świecie. Kto to ma robić? Oczywiście socjologowie i ekonomiści. I tak oto wróciliśmy do intelektualistów.

Istnieje tzw. SORO (*American Universities' Special Operations Research Office*) — która to organizacja skupia socjologów, antropologów i naukowców społecznych różnych specjalności, którzy przeprowadzają badania dla Pentagonu.

Pewne projekty jak np. „Camelot” doprowadziły do kontrowersji i dyskusji na najwyższym szczeblu, ponieważ dyplomacja amerykańska strzeże oczywiście zazdrośnie swych przywilejów — a „przedmiot badań”, w tym wypadku Chile, odniósł się bez entuzjazmu do programu analizy socjologicznej. Pewni Chilijczycy dali wyraz obawom, że zaczną się od ekipy amerykańskich socjologów a skończy się na amerykańskich czołgach.

Niemniej, sama idea jest niewątpliwie słuszna. Zarówno wy-

wiad jak i dyplomacja nie mogą dostarczyć tych wszystkich informacji i analiz, które są niezbędne dla sprawnego funkcjonowania polityki globalnej. Nie twierdzę, że dyplomacja i wywiady są przytykiem. Twierdzę natomiast, że jako źródła informacji są dziś niewystarczające.

Wszystkie dyplomacie i służby szpiegowskie w stosunku do Chin — centralnego problemu Azji — są wielce wątpliwym źródłem informacji. W roku 1962 rząd pekiński zezwolił antropologowi Jan Myrdalowi na osiedlenie się w miejscowości Liu Ling w północnych Chinach. W ten sposób powstała znakomita książka „Raport from a Chinese Village” (The New American Library, 1965), która może jak żadna inna książka z tej dziedziny umożliwić wniknięcie w psychologię Chińczyków i ich rewolucji.

Nie wystarczy być inteligentnym, czytającym, pełnym zrozumienia i dobrej woli. Opis i analiza złożonej problematyki społecznej obcego narodu są zadaniem, którego może się podjąć tylko antropolog, socjolog, specjalista, mający za sobą fachowe studia i wieloletnie doświadczenie. To nie jest zadanie ani dla dyplomaty ani dla agenta wywiadu.

Co robiły dyplomacie i wywiady w krajach w których groziła rewolucja? W 80 wypadkach na 100 ci panowie organizowali kontrrewolucję i — gdzie było to możliwe — torowali drogę zbrojnej interwencji. Lecz te metody zawodzą nawet w skali Wietnamu a cóż dopiero w skali polityki globalnej.

Antropolog czy socjolog czasowo zatrudniony przez Pentagon — jest nie tylko specjalistą w swojej gałęzi wiedzy, lecz również prywatnym człowiekiem o określonych poglądach politycznych, społecznych, religijnych itp. Spędziłem wiele lat w wojsku i wiem jak to się odbywa. Każdy cywilny specjalista kontraktowany przez armię jest rozszyfrowywany z największą dokładnością. Nie wydaje mi się, by najzdolniejszy nawet socjolog o zdecydowanie lewicowych przekonaniach miał szansę prowadzenia badań dla Pentagonu. Podanie takiego pana — gdyby je złożył — nie byłoby nawet rozpatrywane.

Należy również wnioskować, że znaczny procent zakontraktowanych specjalistów stara się spełnić pokładane w nich nadzieje informując władze zgodnie z obowiązującą oficjalną linią polityczną. Nikt nie chce utracić dobrze płatnego zajęcia i nie można się temu dziwić. I tak oto dochodzimy do odwiecznego dylematu: intelektualści *versus* władza.

W aspekcie polityki wewnętrznej: technologia, automacja itp. — w aspekcie polityki zewnętrznej: zaangażowanie globalne — powodują, że ośrodki władzy tak wojskowej jak i cywilnej w coraz większym stopniu zależne są od sztabów intelektualistów.

Pozycja naukowców polityczno-społecznych wszelkich specjalności zasługuje na szczególniejszą uwagę. Wydaje mi się, że eksper-tyza w tych dziedzinach posiada tylko wówczas wartość, jeżeli jest podejmowana z postawy całkowitej niezależności. Antropolog czy socjolog rozpracowujący zagadnienia interesujące armię czy wła-dze cywilne — winien być angażowany i płacony przez niezawisłą instytucję jak uniwersytety czy wielkie fundacje. Amerykanie — w przeciwieństwie do Rosjan zdają sobie z tego sprawę i dlatego nie Związek Sowiecki tylko Stany Zjednoczone są ojczyzną nowo-czesnej socjologii.

Niesłychany rozrost nauk społecznych i politycznych i ich sub-specjalności — jest konsekwencją całkowitej nieadekwatności (wybaczcie to słowo) konwencjonalnej aparatury polityczno-admi-nistracyjnej. Nikt nie wie jak rozładować konsekwencje społeczne rewolucji technologicznej i nikt nie wie jak wojskowo-polityczne zaangażowanie globalne przetłumaczyć na ustabilizowany ład mię-dzynarodowy.

Jest oczywiste, że odpowiedzi na powyższe problemy nie wy-czytamy w świętych księgach, lecz że wypracować je muszą wybit-ne mózgi. Intelktualiści nie rządzą, lecz doradzają i wychowują. Uczą i formują przyszłych prezydentów, senatorów, sekretarzy stanu i przywódców wojskowych. Dlatego skłonny jestem przy-puszczać, że jednym z zasadniczych czynników walki o przywódz-two nad światem jest problem: intelektualiści *versus* władza.

W ustroju komunistycznym ów kontrakt społeczny pomiędzy intelektualistami a władzą wydaje się kwadraturą koła. Ponieważ komuniści — zwłaszcza polscy — chętnie naśladują Zachód — podjęto w ostatnich latach próby rozbudowy nauk społecznych i politycznych. Wynaleziono nawet nowy termin „politologia”, której nauczaniem zajmuje się Ośrodek Metodyczny Nauk Poli-tycznych na Uniwersytecie Warszawskim. Poza tym mamy w sto-licy Wyższą Szkołę Nauk Społecznych przy KC PZPR, Zakład Wschód-Zachód przy Instytucie Spraw Międzynarodowych, Zakład Badań Krajów Słabo Rozwiniętych przy Szkole Głównej Planowa-nia i Statystyki itd., itp.

Politologia jest tylko nową nazwą ideologii — jedynej i obo-wiązującej. Jej celem jest walka z rewizjonizmem i wpływami burżuazyjnymi. Walka z postępową myślą i dążeniami ku refor-mie. Konsekwencją jest stały wpływ intelektualistów zarówno od partii jak i od politologii. O ile na Zachodzie i w Stanach Zjed-noczonych dyscypliny socjologiczne przyciągają młodzież najbar-dziej uzdolnioną i twórczą — o tyle w Polsce i w innych krajach komunistycznych politologia jest wylęgarnią i żerowiskiem opor-tunistów i amatorów lekkiego aparatczykowskiego chleba.

Bardziej cynicznie czy trzeźwo usposobiony Czytelnik zauważy w tym miejscu, że intelektualści są wszędzie do kupienia. To jest generalizująca opinia, w gruncie rzeczy fałszywa. Wszystko jest do kupienia lecz pewne rzeczy są do kupienia *tylko na wolnym rynku*. I do tych pewnych rzeczy należą intelektualści. W Stanach Zjednoczonych tysiące intelektualistów pracuje dla armii i rządu — tysiące intelektualistów jest w opozycji. Gdyby któregoś dnia owe tysiące intelektualistów, którzy są w opozycji wysłano do łagrów na Alasce — znakomita większość pro-rządowych intelektualistów odmówiłaby dalszej współpracy z Waszyngtonem.

Inaczej mówiąc, można mieć pro-rządowych intelektualistów tylko za cenę przyznania swobody przekonań i działania opozycyjnym intelektualistom. Współpracujący z rządem intelektualista musi wiedzieć, że z chwilą kiedy przestanie aprobować oficjalną politykę będzie mógł wrócić do swego macierzystego zakładu naukowego i podjąć otwartą krytykę rządu.

Dyskusje pomiędzy intelektualistami którzy są „za” a intelektualistami, którzy są „przeciw” — są niezbędnym i niezastąpionym elementem pracy zespołowej. Socjologia — w której wszyscy na wszystko się zgadzają — nie jest socjologią lecz politologią.

Intelektualista jest rewizjonistą z definicji. Postęp w każdej dziedzinie opiera się na rewizji przeszłości. Ilustruje tę tezę zarówno Einstein jak i Marks. Na współpracę z intelektualistami nie może liczyć ustrój, który rewizjonizm zalicza do siedmiu grzechów głównych. Proste, choć nie dla wszystkich.

Kultura nr 5/235, maj 1967

LEGAT LAT SZEŚCDZIESIĄTYCH

Co stanowiło najważniejsze wydarzenie w ubiegłej dekadzie? Dla Żydów w Izraelu owym wydarzeniem będzie wojna sześciodniowa uwieńczona zwycięstwem, dla Amerykanów Wietnam i lot na księżyc, dla Francuzów koniec ery de Gaulle'a itp.

Dla mnie — jako dla wschodniego Europejczyka — najważniejszym wydarzeniem ubiegłego dziesięciolecia był fakt, że armia sowiecka okazała się decydującym argumentem w sprawach naszego kontynentu a w szczególności wschodniej jego części. Nie wypracowaliśmy żadnej odpowiedzi na ów argument.

Sowietolodzy na ogół nie zajmują się armią sowiecką. Piszą natomiast o fermentcie a nawet rozkładzie ideologii. W mojej opinii Czerwona Armia w przeciwieństwie do wielu innych produktów sowieckich — wykazuje wysoki poziom zarówno organizacyjny jak i technologiczny. Hitler dał nam przykład, że można palić książki, likwidować miliony ludzi w komorach gazowych i równocześnie posiadać lojalną i doskonale wyposażoną armię. Dr von Braun, twórca amerykańskiej rakiety księżycowej — pracował dla Hitlera do „gorzkiego końca”. Fizycy, technolodzy, specjaliści atomowi — pracują dla tych, którzy finansują ich badania i umożliwiają realizację rzeczy, których dotąd nie było. W Sowietach nie ma w armii fermentu bo nie ma po temu powodów. Jakież inny rząd wydatkowałby tak olbrzymie sumy na zbrojenia i jaki inny rząd utrzymywałby owe setki dywizji w czasach pokojowych. Partia i rząd, które hołdują zasadzie pociski atomowe zamiast masła — mogą zawsze liczyć na poparcie armii.

Rosyjski Dubczek, który zmierzałby do przestawienia gospodarki sowieckiej ze stopy semi-wojennej na stopę konsumpcyjno-pokojową — miałby wszystkich marszałków przeciwko sobie. Tym panom nie zależy na mnogości dóbr konsumpcyjnych tym mniej

na wolności prasy — zależy im natomiast na rozbudowie technologicznego potencjału sił zbrojnych.

Najazd na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. uwypuklił z przerażającą plastyką fakt, że Sowiety nie tylko posiadają potężną armię lecz są gotowe jej użyć jako decydującego argumentu w sporze. To się nie zmieni dopóki armia sowiecka nie zostanie zaangażowana poza Europą — ponieważ w Europie nie ma siły, która mogłaby i chciałaby ją zaangażować.

Jak wynika z dokumentów, które przemycono na Zachód (*The Guardian* z 8. XI. 1969) — Breżniew oświadczył Dubczekowi, że nie zezwoli na wystąpienie Czechosłowacji z obozu socjalistycznego choćby kroki podjęte w tym celu przez Sowiety miały doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Z cytowanych dokumentów wynika również, że Dubczek — podobnie jak większość Europejczyków — do ostatniej chwili nie wierzył w interwencję zbrojną.

Podkreślam znaczenie armii sowieckiej jako decydującego czynnika sowieckiej polityki europejskiej ponieważ ów czynnik był niedoceniony i nadal jest niedoceniany. Ci sami politycy, którzy uważali inwazję Czechosłowacji za wykluczoną — dziś uważają za wykluczoną inwazję Niemiec.

Polityczni naukowcy czynnik armii wyłączają ze swych analiz ponieważ to jest inna specjalność. Rozpatruje się szczegółowo ewolucję, rewolucję, stagnację a nawet wewnętrzny rozkład Związku Sowieckiego. Znakomita większość autorów powyższych analiz prowadzi swe badania tak — jakby armia sowiecka w ogóle nie istniała. KGB nie jest wojskiem w ścisłym tego słowa znaczeniu i dlatego wchodzi w zakres omawianych opracowań.

Reformacja czechosłowacka to nie było powstanie ani rewolucja studencka — tylko ruch odnowy wyłoniony przez partię. Dubczek i jego ludzie realizowali prognozy „ewolucjonistów” zachodnich. Lecz wszystko zostało zlikwidowane jednego dnia przez armię sowiecką. Z naukowcem politycznym można dyskutować sytuację w europejskim bloku wschodnim przez dwie godziny i słowo „armia” w ogóle nie padnie. Natomiast w rozmowach z Polakami czy z Czechami z najnowszej emigracji termin „armia sowiecka” pojawia się zawsze już w pierwszych minutach rozmowy.

Armia sowiecka jest podporządkowana partii. Wnioskuje się więc, że jeżeli w partii nastąpią zmiany — armia pozostanie posłuszna odnowionej partii.

Technokraci i menadżerowie pragną stabilizacji i unormowanych warunków. Aparat biurokratyczny i armia reprezentują tendencje konserwatywne i nacjonalistyczne. Znaczenie kompleksu

wojskowo-przemysłowego w obu super-mocarstwach stale rośnie. Nie ma porównania między tym czym był Pentagon w okresie Pearl Harbour, a czym jest obecnie.

Partia w Sowietach niewątpliwie rządzi wojskiem — lecz klasa biurokratów i armia wywierają coraz większy wpływ na partię. Armia w Polsce czy w Czechosłowacji jest bez żadnego znaczenia — lecz armia sowiecka stanowi fundament władzy w satelickim imperium i wpływów Rosji w świecie.

W ubiegłej dekadzie Europa i Stany Zjednoczone przestały być „oblężonym miastem”. Po zgnieceniu powstania węgierskiego, po wojnie koreańskiej, po moście lotniczym do Berlina — w roku 1962 wybuchł kryzys kubański. Chruszczow w jednym ze swych przemówień oświadczył, że następna wojna będzie rozegrana na ziemi amerykańskiej. W owych latach zagrożenie komunistyczne było czymś bezpośrednim i widocznym dla wszystkich.

Izrael stanowi pewną analogię dla ówczesnej sytuacji Zachodu. W Izraelu przepaść pokoleniowa jest daleko większa i daleko bardziej dramatycznie skonstrastowana niż w Ameryce i w Europie. Rządzi pokolenie w większości urodzone nie na ziemi Izraela — Armia jest dowodzona w większości przez wyższych wojskowych, którzy służyli w armii brytyjskiej i kończyli brytyjskie szkoły wojskowe. Młode pokolenie urodzone w Izraelu mówi po hebrajsku jako swoim językiem macierzystym i reprezentuje nie naród emigrantów lecz Izrael i naród autochtoniczny. Autorzy zbiorowego studium pt. „Youth in Turmoil” (Adapted from a special issue of *Fortune*) wydanego w formie książkowej przez *Time-Life* — podkreślają fakt, że studenci żydowskiego pochodzenia odgrywają znaczną rolę w ruchu protestu i w ramach nowej lewicy w Stanach Zjednoczonych. Studia przeprowadzone w tej sprawie wykazują, że młodzież studencka w Izraelu myśli podobnie jak zrewoltowana młodzież amerykańska. Myśli podobnie — lecz zachowuje się inaczej. Młodzi Izraelczycy zachowują się inaczej niż ich amerykańscy rówieśnicy — ponieważ Izrael jest „miastem oblężonym”. Wówczas kiedy Stany Zjednoczone były „miastem oblężonym” — młodzież amerykańska również zachowywała się inaczej niż dziś. To jest problem do którego wrócimy w dalszej części tych rozważań.

Chruszczow utracił twarz i wycofał ofensywne rakiety z Kuby — monolit komunistyczny rozpadł się — Nikitę Sergiejewicza, który bił butem w stół OZN — zastąpił Kossygin, który według określenia jednego z amerykańskich korespondentów — wygląda jak prowincjonalny buchalter cierpiący na nadkwasotę. W każdym razie to nie jest demon zagrażający światu. Oblężenie zostało zdjęte. Jednym z ubocznych efektów zdjęcia oblężenia był wybuch

i Kosygin nie grożą Stanom Zjednoczonym wojną na ziemi amerykańskiej — lecz bilans obłączeniowy tych panów jest niepomier- nie bardziej imponujący niż bilans Chruszczowa.

W ubiegłej dekadzie Rosjanie dokonali olbrzymiej rozbudowy swojego potencjału militarnego. Obecnie Sowiety posiadają więcej operowanych z ziemi ICBM — niż Stany Zjednoczone. Rezygnując z wyliczania wszystkich SS-9 czy MIRV — które stanowią galaktykę coraz bardziej skomplikowanych i groźnych instrumentów masowego zniszczenia — należy stwierdzić, że o ile Rosjanie stracili kilka punktów w wyścigu kosmicznym — o tyle w wyścigu zbrojeniowym idą łeb w łeb z Ameryką.

Jak powszechnie wiadomo w ostatnich 20-tu latach Rosjanie dokonali „cudu morskiego”. Z kraju typowo kontynentalnego Sowiety przekształciły się w drugą potęgę morską świata. Celem owej gigantycznej floty nie jest tłumienie rewolucji w Czechosłowacji czy w Polsce — lecz szachowanie Amerykanów na wszystkich morzach i oceanach globu oraz wspomaganie rewolucji komunistycznej we wszystkich częściach świata.

Nikt nie rozbudowuje potencjału zbrojeniowego na ziemi, na morzu i w powietrzu — bez celu. Rosjanie w przeciwieństwie do Amerykanów — nie wierzą w równowagę terroru. Wnioskują natomiast, że w systemie podwójnej hegemonii — bezpieczeństwo zapewnić może tylko przewaga. I do owej przewagi Sowiety konsekwentnie dążą.

W ubiegłej dekadzie Rosjanie wszystkim zainteresowanym dali do zrozumienia, że w ich opinii wszystko co nie zostało podzielone w Jaście — jest do podziału. Może Śródziemne, Środkowy Wschód, Południowo-Wschodnia Azja — Indie — stanowią ilustrację powyższej tezy. Zwłaszcza wpływy sowieckie w Indiach po roku 1965 — dostarczają przykładu, że sukcesorami Anglików nie są Amerykanie tylko Rosjanie (zainteresowanych w tej

przypisywany proces przetrwania w zachodnioeuropejskich partiach komunistycznych. Wiktor Zorza poświęcił tej sprawie obszerny artykuł (*The Guardian* z 12. IX. 1969). Włoska partia komunistyczna postanowiła przeprowadzić marksistowską analizę wypaczeń charakteryzujących system sowiecki. Wyniki tych badań ogłoszono drukiem. Należy podkreślić, że po raz pierwszy postępowe koła w ramach komunistycznych partii Włoch, Francji, Wielkiej Brytanii i Austrii — oceniły inwazję Czechosłowacji nie jako wydarzenie oderwane lecz jako bezpośredni skutek i konsekwencję podstawowych schorzeń systemu sowieckiego. Charakterystyczne w tym względzie było wystąpienie Rogera Garaudy, członka francuskiego politbiura, który w swej analizie wykazał bezpośrednią łączność pomiędzy inwazją Czechosłowacji z wypaczeniami całego systemu sowieckiego.

Oczywiście Breżniew i Kosygin mogą przyjąć pogląd 'wyrażony przez Stalina, że więcej jest wart jeden traktor sowiecki niż dwudziestu zagranicznych komunistów. W rzeczywistości jednak tak mógł powiedzieć tylko Stalin, lecz nie jego następcy, których sytuacja jest zupełnie inna.

Prasa i periodyki komunistycznych partii Zachodu dostępne są dla obywateli sowieckich zwłaszcza w prenumeracie. *Morning Star*, którego kolumny odzwierciedlały przedzjazdową dyskusję na temat Czechosłowacji — jest do nabycia w Moskwie czy w Leningradzie. Gerald Brooke czytywał periodyki jugosłowiańskie w czasie swojego pobytu w łagrze. Nie należy przez to rozumieć, że wszyscy łagiernicy mają dostęp do komunistycznej prasy zachodniej. Faktem natomiast jest, że pomimo czasowych zakazów i utrudnień — prasa komunistyczna z Zachodu czytana jest przez znaczną część intelektualistów i inteligencji sowieckiej.

O Czechosłowacji ukazało się na Zachodzie w ostatnich miesiącach dwadzieścia a może trzydzieści razy więcej książek niż o Polsce w okresie ubiegłych 30-tu lat. Ani najazd na Polskę

Historia Czechosłowacji od stycznia 1968 do stycznia 1970 — umożliwia studium — jak na preparacie anatomicznym — węzłowej problematyki komunizmu wraz z jego centralnym zagadnieniem: rewolucyjny rewizjonizm contra stalinizm. W Czechosłowacji Rosjanie na oczach całego świata zademonstrowali wymiar i głębię swojej własnej dekadencji — co spowodowało proces rewizji stosunku do Sowietów w zachodnioeuropejskich partiach komunistycznych.

Jeżeli imperium sowieckie upadnie — jak przepowiada sowiecki historyk Andrej Aleksiejewicz Amalrik w swej książce — skłonny jestem przypuszczać, że historycy analizujący rozkład Sowietów z perspektywy roku 2000 — przyjmą za datę przełomową nie tajny referat Chruszczowa lecz dzień 21 sierpnia 1968 roku — datę inwazji Czechosłowacji.

Konflikt rosyjsko-chiński, rozkład monolitu komunistycznego, wzrost rewizjonizmu, który nabiera cech rewolucyjnych, krytyczna w stosunku do Rosji postawa postępowych grup w ramach zachodnioeuropejskich partii komunistycznych — wszystko to dowodzi, że stalinizm upada.

Osobiście uważam również, że stalinizm wykazuje cechy degeneracji — niemniej wydaje mi się, że nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że obłężenie zostało zdjęte. *Detente* — jak miłość bez wzajemności — jest aktem jednostronnie podjętym przez Zachód. Stalinowcy stanowią mniejszość w europejskim bloku komunistycznym — mniejszość znienawidzoną — lecz niemniej owa mniejszość dzierży w ręku władzę i armię. Dni stalinizmu są niewątpliwie policzone lecz z tego faktu nie wolno wyprowadzać wniosku, że złe minęło i że możemy przystąpić do negocjowania nowego *modus vivendi* z Sowietami. Byłoby katastrofą — dosłownie katastrofą — gdyby w przyszłości miało się okazać, że konflikt

na froncie środkowoeuropejskim Sowiety posiadały 56 dywizji i 13.000 czołgów. Amerykanie wycofali z Europy 32.000 żołnierzy — a w obrębie najbliższych trzech lat zamierzają wycofać 100.000 ludzi. Brytyjczycy i Kanadyjczycy wycofali po 50 % swych kontyngentów z NATO.

Jeszcze gorzej przedstawia się równowaga balistyczna. Sowiety posiadają 1000 IRBM w Zachodniej Rosji wymierzonych przeciwko celom w Zachodniej Europie. Amerykanie posiadają wprawdzie (w Europie) 7.000 pocisków taktycznych z głowicami atomowymi — lecz zasięg owych pocisków nie przekracza 400 mil. Innymi słowy owymi pociskami można zniszczyć pewne węzły kolejowe w Polsce lecz nie w Rosji.

Proponowana przez Sowiety „europejska konferencja bezpieczeństwa” — miałaby na celu ratyfikowanie i ustalenie *status quo*. *Status quo* obejmuje nie tylko satelizację krajów Europy Wschodniej — lecz również wyżej cytowane 56 dywizji, 13.000 czołgów i przede wszystkim 1000 IRBM wymierzonych w centra przemysłowe i strategiczne w Zachodniej Europie. Należałoby więc zapytać Rosjan czyje bezpieczeństwo mają na myśli? Nie ulega bowiem wątpliwości, że bezpieczeństwo Zachodniej Europy wymagałoby wycofania sowieckich dywizji w Wschodniej Europie i rozbrojenia tysięcy IRBM wymierzonych w Zachodnią Europę. Oczywiście Rosjanie na tego rodzaju propozycję się nie zgodzą. Bezpieczeństwo można negocjować i osiągnąć tylko z pozycji siły — względnie z pozycji równości. Rosjanie zdają sobie z tego sprawę i dlatego wystąpili z trzecią z kolei inicjatywą konferencji europejskiej. Politycy na Kremlu sądzą bowiem, że Europa Zachodnia zgodzi się na pokój i bezpieczeństwo na warunkach sowieckich ponieważ nie mamy atutów siły, które można by wygrać w negocjacjach.

kosmiczny i dalekosiężne odkrycia w biologii i medycynie.

Krajem technologicznie najwyżej zaawansowanym są Stany Zjednoczone i patrząc na ich rozwój można w przybliżeniu wnioskować co czeka Zachodnią Europę gdy „dośćgnie Amerykę”.

Z socjologicznego punktu widzenia najważniejszym wydaje mi się fakt następujący. Młoda generacja amerykańska, która studiuje na uniwersytetach względnie świeżo ukończyła studia — obejmuje 8 milionów ludzi. W ubiegłej dekadzie cyfra młodzieży studenckiej uległa podwojeniu. Nie było do tej pory w historii społeczeństwa, które byłoby skonfrontowane z 8 milionami młodych wykształconych ludzi. Masowość owego zjawiska wyznacza mu nowy i odrębny charakter.

Drugi punkt dotyczy genezy. Rewolucja studencka wybuchła niespodziewana i nieprzewidywana przez nikogo. Młodzież amerykańska w okresie lat 50-tych i w początkach lat 60-tych była bierna i niezaangażowana. Kenneth Keniston, profesor psychologii (Yale Medical School) ogłosił w roku 1962 pracę dotyczącą młodzieży studenckiej. W jego ocenie studenci (ówcześni) byli „ostrożni, nie angażujący się, intelektualni i pedantyczni”. Nieświadom bliskiej przyszłości prof. Keniston zaryzykował następującą diagnozę: „nie wydaje mi się prawdopodobne by amerykańscy studenci byli kiedykolwiek radykałami — tym mniej by podjęli rolę rewolucjonistów w naszym społeczeństwie”.

To było tzw. „milczące pokolenie” (*silent generation*).

Czym należy wytłumaczyć, że owe „milczące pokolenie” w ostatniej dekadzie zostało zastąpione pokoleniem buntu i masowej rewolty?

Jak wynika z cytowanej zbiorowej książki pt. „Youth in Turmoil” i innych badań specjalistycznych — na rewolucję studencką złożył się szereg różnorodnych przyczyn. Jedną z owych przyczyn jest zamożność. „Milczące pokolenie” nie mogło nawet

ścioła. Zamiast stanąć twardo i jednoznacznie po stronie ujarzmionych, wyzyskiwanych, krzywdzonych — kościół po dawnemu gotów jest oddać „co cesarskie cesarzowi” — obojętne czy tym „cesarzem” jest Gomułka, gen. Franco czy reakcyjny rząd reprezentujący kapitalizm i ucisk. Postawa kościoła w stosunku do głodnych i biednych jest jeszcze ciągle postawą zamożnego wiktoriańskiego filantropa, a nie postawą zaangażowanego społecznie reformatora.

Chrześcijaństwo współczesne winno być awangardowym ruchem socjalnym ponieważ człowieka w historycznym obrachunku można wybawić i zbawić tylko poprzez społeczeństwo. Społeczeństwo jest czymś innym i czymś więcej niż określoną sumą jednostek. Nie człowiek tworzy społeczeństwo — tylko odwrotnie — społeczeństwo tworzy człowieka. Z tej przyczyny religia, która zakłada udoskonalenie człowieka — musi być reformatorskim ruchem społecznym z tego świata — ponieważ tylko poprzez ten świat indywidualna nadzieja chrześcijanina może być spełniona. Tradycyjna teza — która głosi, że im człowiek będzie doskonalszy tym i społeczeństwo będzie doskonalsze — jest historycznie i socjologicznie błędna. Niemcy jako suma jednostek tworząca dany naród — nie byli ani gorsi ani lepsi w roku 1913 od sumy jednostek, która tworzyła naród niemiecki w roku 1939. Natomiast społeczeństwo niemieckie zdeprawowane przez hitleryzm było czymś innym w roku 1939 niż w roku 1913.

W jednym szkicu nie można wyczerpać problematyki przekazanej nam przez ubiegłe dziesięciolecie. Można tylko odnotować pewne fakty i pewne „trendy”. Niepokój budzi „trend” najogólniejszy lecz może najistotniejszy. Mam na myśli fakt błyskawicznego niemal rozwoju technologii, która obejmuje arsenał nuklearnych instrumentów zagłady — i równoczesną anemię humanistyki. Filozofia została zredukowana do statusu „panny służącej” nauk

ścisłych. Kościoły przechodzą kryzys głębszy i szerszy niż się na ogół przypuszcza. Literatura odegrałaby ogromną rolę we Wschodniej Europie gdyby była wolna — lecz na Zachodzie nie odgrywa wielkiej roli mimo, że jest wolna. Czas na lekturę został w trzech czwartych okupowany przez telewizję. Dysponując jedną czwartą czasu na lekturę — współczesny człowiek sięga po książkę fachową, względnie po tzw. „poważną literaturę” — biografie, dzieła historyczne, polityczne itp.

Wspaniałego renesansu doczekała się muzyka, która jest ukończonym dzieckiem epoki technologicznej. Muzyka jest sztuką matematyków, którą technologia udostępniła każdemu człowiekowi w jego własnym domu. W żadnej innej epoce tylu ludzi nie słuchało tak wiele i tak różnorodnej muzyki jak dzisiaj.

Ci z nas, którzy dożyją końca bieżącej dekady — będą znali odpowiedzi na wiele pytań, które nas niepokoją. Będą wiedzieli — między innymi — czym był i co osiągnął w rzeczywistym wymiarze protest zbuntowanego pokolenia.

Kultura nr 1/268-2/269, styczeń/luty 1970



SPIS RZECZY

SŁOWO WSTĘPNE: O <i>pobrzeżnych kasztelaniach</i>	7
---	---

CZĘŚĆ PIERWSZA

<i>Modele i praktyka</i>	13
<i>Wariant sytuacyjny pierwszy</i>	21
<i>Wariant sytuacyjny drugi</i>	30
<i>Stare wino w nowych beczkach</i>	38
<i>Futurologia polska</i>	52
<i>Dialogi i konwencje</i>	60
<i>Rozmowy z młodymi</i>	69
<i>Realści i romantycy</i>	79
<i>W 13 lat później</i>	83
<i>Rewolucja jedna i niepodzielna</i>	88
<i>Rozważania emigracyjne</i>	98
<i>Mit a rzeczywistość</i>	107

CZĘŚĆ DRUGA

<i>„Malaria”</i>	117
<i>Refleksje globalne</i>	126
<i>Praga i Pekin</i>	135
<i>Motyw społeczny sojuszków</i>	145
<i>Czyja krowa?</i>	156
<i>Pieniądz i wyzysk</i>	166
<i>„Power Game”</i>	171
<i>Cena cudu</i>	180
<i>Spengler-Marks-Prusy</i>	182
<i>Wartości wyższego rzędu w polityce</i>	185
<i>Zjawisko fascynujące — literatura nudna</i>	195
<i>Polityka przeciwagi</i>	201
<i>Intelektualiści a władza</i>	205
<i>Legat lat sześćdziesiątych</i>	210

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 4 JUILLET 1983
PAR L'IMPRIMERIE
DE LA MANUTENTION
A MAYENNE

N° 8289